

# Godden Rumer

## Fuks na torze

Przełożyła Jadwiga Olędzka

### Prolog

We wczesnych latach trzydziestych urodził się w Irlandii duży źrebak o nogach dłuższych, niż zwykle miewają źrebięta, szczupłych, lecz mocnych, zdradzających zaczątki przyszłej siły. Jego oczy, jak u wszystkich źrebaków, wydawały się za duże w wąskiej głowie o delikatnych kościach. Nozdrza były także szerokie. Urodził się kary, z jaśniejszą pręgą wzdłuż grzywy i gęstego ogona. Matką jego była klacz Black Tulip, a ojcem ogier Bold Crusader. Źrebak został wpisany do ksiąg jako Dark Invader, lecz przez dwa dni w swoim życiu miał być znany jako Piękniś.

Gdy miał rok, zobaczył go i kupił za radą swego trenera Michaela Traherne'a młody, bogaty, zblazowany kapitan Peter Hay. Zapłacił za niego dużo, ale był to koń pełnej krwi, a „po przyjeździe do Dublina Peter miał zamiar tak czy owak coś kupić - powiedział Mi-chael swej żonie Annette - a ten źrebak wygląda obiecująco”. Wyrośnięty roczniak został przewieziony statkiem do stajni Traherne'a w Dilbury, miejscowości leżącej na otwartym płaskowyżu w hrabstwie Berkshire, i szczęśliwie dla siebie dostał się pod opiekę stajennego Teda Mullinsa odznaczającego się wyjątkowo niskim wzrostem. Pod koniec ich wspólnej kariery trudno było nawet pomyśleć o jednym bez drugiego.

5

### Rozdział pierwszy

Każdego ranka w sezonie wyścigowym Matka Morąg, przełożona klasztoru sióstr od ubogich, widziała całą „stawkę”, długi szereg idących koni: gniadych, skaro-gniadych i kasztanowatych - najgorsza maść w upale - trafiał się też wśród nich deresz, srokacz lub se-pak. Matka Morąg nie tylko widywała te konie, lecz umyślnie wchodziła na piętro do swojej celi, której okno wychodziło na drogę, aby się im przyglądać, ale to nie było Dilbury ani Anglia; brakowało mgieł i świeżej zieleni pastwisk, i doliny, w której kryło się wśród drzew miasteczko, nieregularne skupisko dachów i kominów wokół szarej kościelnej wieży. Tam pierwszym porannym głosem był śpiew chóru ptaków, zwłaszcza skowronków. Tu - krakanie wron. W okresie chłódów wstawała mgła, lecz kłębiła się nad suchym pyłem, bo to była Kalkuta w Indiach, a „stawki” nie trenował Michael Traherne, zaprzyjaźniony z członkami rodziny królewskiej i innymi słynnymi hodowcami, tylko John

Quillan, ten, co tak odważnie zrezygnował z kariery. Kiedy Matka Morąg w roku 1923 zobaczyła te konie po raz pierwszy, było ich tylko siedem. Teraz, po dziesięciu latach, blisko czterdzieści. Tak, Johnowi

6

Quillanowi wszystko się udaje, pomyślała, dlatego po prostu, że jest świetny.

Wiadomości wyścigowe przekazywał jej odźwierny klasztoru, Gurkha, Dii Bahadur o przydomku Dzielne Serce.

- Zasłużył na to miano - powtarzała często Matka Morąg. - Dii Bahadur w czasie wojny walczył we Francji i na Pograniczu. Widzieliście jego blizny i medale? -- i mogłaby dodać: „Widzieliście jego kukril”, brzydką, zakrzywioną, krótką szablę o płaskim ostrzu, używaną przez Gurkhów. Dii Bahadur podzielał pasję Matki Morąg do koni. To on podał jej nazwisko Johna Quillana.

- Sahib John Quillan był kapitanem, ale już nie 3est - powiedział.

Matka Morąg już dawno zauważyła Quillana. Prowadził zawsze swoją kawalkadę na tor wyścigowy, siedząc na gniadej klaczy, „podporze” stajni, która, jak sądziła, należała do niego. Zauważyła, z jakim wdziękiem, wysoki i szczupły, siedział w siodle, jak spokojne były jego ręce i głos - nigdy nie słyszała, by krzyknął na konia czy chłopca stajennego. Znała stary filcowy kapelusz, który nosił, gdy wszyscy wkładali hełmy tropikalne. Zauważyła rozmyślną, jak się również przekonała, niedbałość w ubraniu; zauważyła nawet sygnet na małym palcu jego ręki. Dwa wspaniałe płowe dogi biegły szybko obok niego. Budziły w ludziach strach, ale nie patrzyły ni w prawo, ni w lewo i zawsze siedziały na skraju drogi, póki John nie gwizdnął dając w ten sposób znak do przebiegnięcia na drugą stronę.

7

- Chciałabym mieć taki autorytet, jakim pan się cieszy - powiedziała mu kiedyś.

- A ja chciałabym mieć autorytet wielebnej matki - odparł szczerze i przyjaźnie.

Opowiedziała mu, jak przyglądała się jego koniom, i dodała:

- Jest pan naprawdę świetny.

- Świetny? Może mam trochę więcej szczęścia niż inni partacze. - Nagle na twarz opadła mu „zasłona”, jak to nazywała. - Choć większość z nich to byli dżokeje. Ja nie jestem dżokejem, a w tym mieście liczy się to na moją niekorzyść.

- Dlaczego? - spytała Matka Morąg. Jej pytania były zawsze bardzo bezpośrednie.

- Ludzie wiedzą, czego się mogą po tamtych spodziewać. A nie wiedzą, czego spodziewać się po mnie, co jest dla nich kłopotliwe.

- A dla pana?

- Dla mnie? - Wzruszył ramionami. - Mam skórę grubą jak nosorożec i przestałem się przejmować.

- Nie wierzę panu. Myślę, że tak naprawdę zależy panu na tym, co pan robi, tak jak nam zależy na naszej pracy.

- Zgadła wielebna matka - odrzekł i uśmiechnął się na moment. Potem spoważniał i dodał: - Nie możemy się porównywać. Ja po prostu bawię się na szczęście czy na nieszczęście zabawkami ludzi bogatych - kpiący ton powrócił - nababowie nie dbają o to, ile te zabawki kosztują. Jedyna trudność to ta, że chcą mieć z nich pewny zysk oczywiście. Handlarze. - Han-

dlarz to biznesmen. Matka Morąg czuła, że gdyby rozmawiał nie z nią, a z kim innym, powiedziałby:

„cholerni handlarze”. - Koni nie da się tak urobić, by się mieściły w księdze rachunkowej - dokończył John Quillan.

Matka Morąg po raz pierwszy zetknęła się z nim, gdy, jak inni, przyszedł do niej w sprawie terenu, na którym stał klasztor.

Nie wszyscy właściciele koni, dla których pracował John, byli handlarzami. Miał pod swoją opieką konie nababa z Barasol i trzy należące do kapryśnej lady Mehty, żony milionera, Persa z Bombaju, którego nazywano Pogotowie Finansowe, bo pozwalał swojej wytwornej Meenie kupować, gdzie chciała i co chciała.

- Niestety - westchnął John.

Nieraz miał z jej powodu kłopoty. Jego klientami byli też dwaj Australijczycy, którzy, jak wielu ich ziomków, każdej jesieni przysyłali statkami konie ze swoich ferm hodowlanych w Nowej Południowej Walii do kalkuckiej „bazy remontowej”. Wysyłali też tą drogą kucyki do gry w polo i zostawiali w Kalkucie przez sezon, a potem sprzedawali najlepsze z nich. Dwaj przyjaciele Johna przywieźli cztery czy pięć koni wyścigowych - lub mających możliwości startowania na torze - i wstawili je do jego stajni, ale istotnie większość hodowców, z którymi miał do czynienia, to byli biznesmeni, a Brytyjczycy stanowili wśród nich elitę. „Lub raczej uważają się za elitę”, mawiał John.

Kalkuta była miastem handlowym, odkąd powstały pierwsze niewielkie punkty handlowe na bagnistych

8

9

brzegach Hugli, dużej rzeki, którą z Zatoki Bengalskiej płynęły najpierw żaglowce, potem statki pasażerskie, a jej dopływami z głębi lądu parowce, barki i stare łodzie tubylców, niezdarne, wykonane z drewna, z postrzępionymi, połatanymi żaglami lub jednym tylko żaglem i ogromnym kołem łopatkowym. Przyplwały

dzień w dzień, noc w noc - Kalkuta nigdy nie spała - przywożąc i ładując towary, na których tak nieprawdopodobnie bogacili się kupcy.

To dla tych nababów - ludzi, którzy przemyślnie handlowali jutą lub herbatą, a dawniej opium, skórami, szelakiem, węglem, klejnotami - hinduscy gospodarze budowali rezydencje w ozdobnym renesansowym stylu Palladia, z portykami, obszernymi werandami, ogromnymi pokojami o posadzkach i schodach z importowanego marmuru. Każdy z nich miał stajnie, wozownie, pomieszczenia i podwórza dla służby, ogrody przypominające parki, a nie zauważał niezliczonych ruder, które wokół nich wyrastały. Rząd tych wielkich domów obrzeżał literę L, którą tworzyły Esplanada i Chowringhee, najszersza ulica Kalkuty. Frontem zwrócone były na Maidan, centralną otwartą przestrzeń zieloną, tak jak domy przy londyńskiej Park Lane - także niegdyś należące do bogaczy - wychodzą frontem na Hyde Park. Niektóre z nich rozsiały się przy ulicach biegnących od Chowringhee w głąb miasta; inne zbudowane zostały wzdłuż \_ ocienionych drzewami dróg prowadzących na bogate przedmieścia Alipore i Ballygunj i właśnie przy jednej z takich dróg, przekazanej im przez dawnego bogatego patrona, siostry Mat-

10  
ki Boskiej od Ubogich miały swój klasztor i przytułek dla starców.

- Co za marnotrawstwo - mówili ludzie. - Co za marnotrawstwo!

- Dlatego tak często do mnie przychodzą - mówiła Matka Morąg.

Było to z pewnością położenie korzystne - w najprzyjemniejszym miejscu tego nieprzyjemnego miasta. Maidan był rozległy. Mieścił się na nim stary brytyjski fort, stojący w odosobnieniu, aby w razie ataku kule armatnie mogły ostrzeliwać nieprzyjaciela z każdej strony. Teraz, w czasie pokoju, na Maidanie nie było nieprzyjaciół, tylko Klub Futbolowy, tereny hokejowe, dwa place do gry w polo i oddzielony od nich drogą pomnik królowej Wiktorii z białymi marmurowymi kopułami, oraz ogrody o wykładanych marmurem ścieżkach, gdzie w chłodne wieczory lubili spacerować najzamożniejsi obywatele Kalkuty. Na Maidanie były ogromne sadzawki, przy których siadywano dla ochłody. Było tam kilka dróg i jeszcze dość miejsca na organizowanie zebrań politycznych lub religijnych oraz przestrzeń, na której pasły się kozy i chude, żylaste bydło, i teren do zabaw dla dzieci, a dla żebraków i pielgrzymów do rozłożenia się obozem. Nocami ich małe migocące ogniska jaśniały z dala wśród ciemności. Było jeszcze miejsce dla jeźdźców, a przede wszystkim tor wyścigowy z trybunami, dwoma torami i wewnętrznym „kółkiem” do treningów. Najważniejsze w tym wysuszonym, zatłoczonym mieście były drzewa, trawa, a przede wszystkim przestrzeń. Najdalszy kra-

11  
niec Maidanu graniczył z rzeką, tak że gdy wiał nawet lekki wiaterek, było tam świeżo i chłodno.

- Takie drogie miejsce - mówili prawnicy przysyłani nieustannie do Matki Morąg przez swoich klientów, w większości trenerów wyścigowych. - Niecałe czterysta jardów od Lower Circular Road.

Lower Circular Road, prowadząca do Ballygunj, stykała się z Circular Road, przebiegającą obok toru wyścigowego.

- Konie musiałyby tylko przejść drogę...

Nie chodziło jedynie o korzystne położenie. Klasztor miał wiele zabudowań, które można by zamienić na stajnie.

- Na pewno to wszystko nie jest wam potrzebne. - Był tam i ogród. - Na co wam tyle ziemi? Proszę pomyśleć, ile można by za to dostać - tłumaczono przełożonej. - Proszę tylko pomyśleć, jak przydałyby się te pieniądze.

Matka Morąg pozostawała niewzruszona, ale uparcie „gnębiono” ją dalej.

John Quillan spytał o ewentualną sprzedaż gruntu tylko raz, choć dla niego byłoby to o wiele korzystniejsze niż dla innych. Jego stajnie mieściły się tuż przy drodze i gwałtownie wymagały rozbudowy. Projekt wydawał się korzystny dla obu stron.

- Mogłybyście przesunąć się dalej - tłumaczył Matce Morąg. Nie przystał adwokata, tylko przyszedł sam. -

Na teren tańszy, gdzie można by zbudować, co by się chciało. - I spytał: - Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie, gdzie mieszkają siostry zakonne?

12

- Oczywiście, że ma. Niech pan się zastanowi. - Te słowa cofnęły go w przeszłość.

- Będziesz musiał bardzo uważać, co powiesz i jak postąpisz - ostrzegł go Bhijai, młody maharadża z rodu Malwa. Wydawało się dość dziwne, że ten lekkomyślny, choć czarujący playboy przyjaźnił się z Matką Morąg, jak również z Johnem; był jednym z jego nielicznych przyjaciół. - Mój nieżyjący już ojciec znał jej ojca - opowiadał Bunny. Jak inni hinduscy mod-nisie, przybrał sobie to angielskie zdrobniałe imię. - Gdy tu przyjechała, jej ojciec prosił mego ojca, żeby się nią zaopiekował. Kiedy umarł, obowiązek ten spadł na mnie, ale w rzeczywistości to Matka Morąg opiekuje się mną. Często zasięgam jej rady - zakończył. - Kocham ją, ale trochę jej się boję.

- Co onieśmiela w działaniu - droczył się z nim John, lecz gdy stanął przed Matką Morąg, zrozumiał, że mogła wzbudzać lęk. Stwierdził, że choć wydawała się bardzo młoda na przełożoną, miała w sobie zadziwiająco godność. Była wysoka, prawie jego wzrostu, choć o wiele szczuplejsza. Podobała mu się jej

postawa, regularne rysy twarzy i orzechowe oczy, których barwę uwydatniał obcisły biały czepek. Biały habit był też nieskalanie czysty, choć połatany. Czekąca go jeszcze inna niespodzianka. Kiedy napomknął o Bunnym, w jej oczach zamigotał figlarny ogień i John zrozumiał, czemu tych dwoje to prawdziwi kompani. Ale teraz patrzyła mu w oczy prawie surowo i spytała:

- Nie ma znaczenia, gdzie mieszkamy? Niech pan się zastanowi. ; , .

13

John częściowo rozumiał, co chciała przez to wyrazić. Dla większości cudzoziemców, czy to przybywających z zachodu, czy z Japonii, Kalkuta była jedynie , miastem krótkiego pobytu, gdzie załatwiali interesy lub odbywali służbę wojskową czy państwową, a potem wracali do domu.

- Ale nie dla nas - wyjaśniła Matka Morąg. - My zazwyczaj jesteśmy tu na całe życie. - Mogłaby dodać: „Jak mogę się domyślać, pan nie”. - Oczywiście z własnego wyboru - powiedziała głośno - ale proszę pamiętać, że zakonnice nie mają wakacji ani urlopów, więc dla zdrowia na ciele i na duchu - rzuciła mu uśmiech - potrzebna nam ta przystań.

Nie powiedziała, że dzieliła tę przystań z dwiema setkami innych ludzi. Dostateczną nagrodą była świadomość, że ci starcy po ciężko przepracowanym lub spędzonym w nędzy i głodzie życiu mogli je kończyć w warunkach, które im się wydawały nieprawdopodobnie luksusowe. Matka Morąg uśmiechnęła się znowu, gdy wzrok jej spoczął na drzewach klasztornej ogrodu. Rosły tam gol-mohrs, zwane drzewami pawimi, akacje, mango i jacarandy, pyszniące się wiosną i latem bogactwem owoców i kwiatów, pośród których śmigwały jasnozielone papużki długoogoniaste o czerwonych dzióbkach.

- I czy przyszło panu na myśl, że stąd mamy blisko do miejsca pracy?

Była to prawda. Siostry nie przebywały w swojej przystani. Można je było zobaczyć w wąskich uliczkach i zaułkach slumsów, tworzących gęstą, zagmat-

14

waną, pełną zła sieć na tyłach eleganckiej fasady Kalkuty, a więc niedogodnie blisko. Jeśli na tych pełnych brudnych ścieżkach ulicach zasadzono jakieś kwiaty lub drzewa owocowe, kozy i krowy natychmiast je zjadały. Krowy - tłuste, o lśniącej jak atlas skórze, pokryte kapami zdobionymi starannym haftem i paciorkami - jadły samowolnie, co chciały, bo dla Hindusów były to zwierzęta święte, którym niczego nie wolno zabronić. „Jedno z niezliczonych tabu, tak utrudniających nam pracę”, mówiły siostry. Kozy jadły, bo były głodne, ale nie tak wygładzone jak roje mężczyzn, kobiet i dzieci.

We wsi hinduskiej, chociaż ludzie głodują, rzadko umierają z głodu; nakarmić głodnego to cnota. Ale w dużym mieście trudno o tę cnotę.

- Jest ich po prostu za dużo - opowiadała Matka Morąg. - Żywimy jakiś tysiąc dziennie, ale to kropla w morzu. Po prostu kropla.

- Nie wiem, w jaki sposób to się siostronom udaje -- odparł John.

- My też nie wiemy, ale mamy nasze liny ratunkowe - wyjaśniła Matka Morąg.

Niezbędną liną ratunkową był dla sióstr od ubogich ich koń Salomon.

- Jeśli można go nazwać koniem - mawiała Matka Morąg.

Siostra Mary Fanny, ładna mała Eurazjanka, nie rozumiała jej słów.

- Czy matka wielbna nas prowokuje? Myślałam, że wszystkie kochamy Salomona.

15

- Oczywiście, że go kochamy - odpowiedziała łagodnie Matka Morąg. - Ja żartowałam. Jest taki dzielny, pewny i ma jeszcze inne zalety - dodała.

Wszyscy znali Salomona. Był to silny, krótkonogi koń, jasnogniady w białe plamki, masywny jakby wypchany, „i jest wypchany - mówiła Matka Morąg - smacznymi kaskami”.

Stajenny Gulab, stary Hindus, czyścił go tak długo, aż jego gęsta sierść nieomal lśniła, i polerował mosiężne i skórzane części uprzęży, tak że nikt nie mógł odgadnąć jej wieku. Lecz nie tylko wygląd Salomona i ciężka praca, jaką wykonywał dla celów dobroczynnych, sprawiały, że wszyscy go lubili. Sympatię budziły jego łagodność i spokój, bo pozwalał się głaskać nawet najbrudniejszym dzieciakom, sposób, w jaki przyjmował każdy poczęstunek, a także pełen godności, choć powolny chód. Poruszał się ciągle jeszcze z wygiętą w łuk szyją i wyrzucał wysoko przednie nogi, co wskazywało, że był kiedyś dobrze wyćwiczony w zaprzęgu, „choć nigdy bym nie uwierzyła, że para kopyt może pozostawać tak długo w powietrzu i nie sprowadza jej na ziemię siła ciężkości”, mówiła Matka Morąg.

Klasztor miał dwa środki transportu - trudno nazwać je pojazdami. Jednym z nich było wysokie rozklekotane pudło na czterech kołach, takie jak tikka ghar-ries - pojazdy do wynajęcia w każdym hinduskim mieście - ale pod opieką Gulaba lepiej od nich utrzymane. Wyjeżdżało codziennie po południu, wioząc dwie siostry do firm handlowych po ofiary pieniężne i dary. W tym celu Matka Morąg wysyłała młodsze zakonnice,

16

siostrę Brygidę, pulchną, wesołą, zawsze skora do żartów, albo siostrę Joannę, młodą Angielkę, stanowczą i pełną dystynkcji; jej piwne oczy, nawet gdy nic nie mówiła, umiały zapłonąć oburzeniem, a bywały też łagodne lub roześmiane. Siostry zazwyczaj przyłapywały mężczyzn przy biurkach.

- To nie bardzo uczciwe - mówiła siostra Joanna. - Zwłaszcza wobec młodych. Te baranki nie wiedzą, jak powiedzieć „nie” zakonnicy.

- Wiedzą, jak powiedzieć „nie”, gdy zobaczą rachunki swoich krawców czy szewców. - Stara siostra Ignacja, zastępczyni przełożonej i jej prawa ręka, była równie cięta w słowach, jak lojalna.

W inne popołudnia Salomon jechał na Newmarket. Był to wielki kalkucki bazar pod dachem, gdzie siostry zbierały z poszczególnych straganów worki nie sprzedanych jarzyn; niekiedy dostawały kilka kwiatów do kaplicy, a Salomona, który czekał przed halą, chłopcy i dziewczęta przychodzili głaskać i dawali mu, jak mówiła siostra Brygida, „łakocie”.

- Tak. On też żyje z jałmużny - oświadczał z dumą Gulab. Dla Hindusów zasługę ma ten, co otrzymuje, nie ten, co daje.

Z boku wozu przymocowana była obita blachą puszka, z wyrytym na niej krzyżem i z otworem, w który ręce brązowe, a czasami białe wkładały annas, najmniejsze srebrne monety, i miedziane pice - pice ma wartość...jednej czwartej anny. Zdarzały się nawet dro- bniejsz\*\*mtftteW, pies, przypominające farthingi z da-  
fg Filia DeЛ

2 - № natf\*arze fi

17

U 13 f/

wnych czasów, których szło cztery na jedną pice, i muszelki będące nadal w pieniężnym obiegu.

- Zdziwiłby się pan, ile przynosi nam ta puszka - mówiła siostra Emanuela, szafarka. - Sądzę, że często żyjemy z pieniędzy biedaków.

Lecz najważniejszą pracą Salomona była tura nocna. Zaprzęgano go wtedy do wozu zbliżonego wyglądem do wozów, które ciągnęły woły, ciężkiego, z drewnianymi kołami o źle dopasowanych obręczach, tak że trząsał i klekotał. Buda z płótna upodabiała go do krytego wozu policyjnego; drewniane siedzenia były twarde. Nocna tura przynosiła najobfitsze żniwo Salomonowi, Gulabowi i siostram.

Reguła większości zakonów zakazuje zakonnicom przebywania po zachodzie słońca poza klasztorem, ale musiały istnieć wyjątki. W klimacie Kalkuty zbieranie przez siostry żywności w dzień, w upał, byłoby stratą czasu. Przechowywana w pojemnikach w gorących kuchniach psuła się.

- Nikt inny nie traciłby czasu na sortowanie i chłodzenie tej żywności - powiedziała Matka Morąg.

Kiedy więc o bladym świetle patrzyła z okna swojej celi na idące szeregiem konie, była już od godziny? pierwszej na nogach, i ubrana, bo jako przełożona uważała za swój obowiązek rzucić okiem na Salomona z wozem i dwie siostry, zanim wyruszą na nocny objazd po restauracjach miejskich w momencie ich zamykania, aby zebrać w duże, zniszczone pojemniki klasztorne resztki dań podawanych gościom.

- Niektóre ledwie tknięte - dziwiły się siostry. -

18

Zamawiać takie drogie dania, a potem ich nie jeść! - To im się wydawało szczytem bogactwa.

- Szczyt obżarstwa! - Język siostry Ignacji był ostrzejszy niż zwykle. - Powinno się odesłać im to do domu.

- Wtedy nie miałybyśmy żywności - stwierdziła siostra Joanna z bezlitosną młodzieńczą logiką.

- Patrzcie, jak z grzechu wynika dobro. - Siostra Mary Fanny miała skłonność do wygłaszania banałów lub „naiwnych stwierdzeń”, jak je określała Matka Morąg. Lecz w tym wypadku była to prawda.

- W jaki inny sposób mogłybyśmy żywić naszych starców? - spytała siostra Joanna.

- My, siostry od ubogich, prowadzimy niecodzienną kalkulację - opowiadała Johnowi Quillanowi Matka Morąg. - Najpierw znajdujemy bezradnych potrzebujących pomocy i bierzemy ich do siebie, a potem szukamy środków, żeby ich utrzymać.

- Dla mnie brzmi to po wariacku - odrzekł John. - Jak możecie pomagać ludziom, nie mając na to środków?

- Potrzeby istnieją, więc dla ich zaspokojenia znajdują się środki. Zawsze - dodała z naciskiem Matka Morąg - jeśli nie traci się nadziei. Przed blisko stu laty nasza założycielka Teresa Hubert, która nie miała pojęcia, że coś zakłada, brała koszyk i obchodziła domy w Bruges, zbierając resztki dla dwojga starych ludzi, których wzięła do swego małego domku. Dostawała nie tylko żywność, ale i odzież, meble, opał.

19

- Ale było ich- tylko dwoje! - zaprotestował John. - A teraz?

- Według ostatnich obliczeń nasz zakon opiekuje się przeszło pięćdziesięciu tysiącami starców. Mamy domy na całym świecie, lecz oczywiście w krajach biednych - lub tych, gdzie biednych są tłumy, jak w Indiach - jest to trudniejsze. Nie chcą mieć więcej żebraków - dorzuciła z uśmiechem. - A my jesteśmy żebrakami.

- No i co w tej sytuacji?

- Funkcjonuje to dalej. Wierzmy, że przez nasze „zbiórki”, jak je nazywamy, działa Opatrzność. To budzi w ludziach sumienie. Niech pan nie myśli jednak, że łatwo jest żebrać. Pamiętam, jak siostra Joanna zaczynała swoją pracę. „Co powiedziałby mój ojciec, gdyby mnie teraz zobaczył?”, pytała. - Matka Morąg mówiła dalej poważnie: - Trzeba być bardzo pokornym i bardzo opanowanym, prosię pana, żeby wyciągnąć rękę,, uśmiechnąć się i powiedzieć: „Niech Bóg pobłogosławi”, kiedy zatraskują nam drzwi przed nosem, kiedy nas traktują protekcyjnie lub wyszydają jak utrapieńców, którymi w gruncie rzeczy

jesteśmy. - Na jej twarz powrócił uśmiech. - Ustawicznie przypominamy o tym, o czym ludzie nie chcą wiedzieć. Często żałuję, że nie opiekujemy się sierotami - sieroty są znacznie atrakcyjniejsze od starców - ale zdarzają się cudowne rzeczy. W ostatnich latach swego życia Teresa Hubert opowiadała, jak w jednym z domów po nakarmieniu starców nie pozostało nic dla sióstr, ale one zgromadziły się wokół pustego stołu - tak każe reguła - i odmawiały modlitwę. Wtem roz-

20

legło się pukanie do drzwi. Ktoś nieznan przysłał cały obiad.

- Właśnie wtedy? - Na twarzy Johna odmalowało się rozbawienie pospołu ze współczuciem, lecz Matka Morąg odpowiedziała z naciskiem:

- Właśnie wtedy. Zwykle pomoc nadchodzi bardzo szybko. Nie na wiele by się zdała, gdyby nie nadchodziła szybko, prawda?

Nocna zbiórka była ciężka, nie tylko dla sióstr, ale i dla Salomona i Gulaba. Salomon często musiał stać po pół godziny - niektóre restauracje jak gdyby znajdowały przyjemność w tym, że kazały siostronom wyczekiwać - a w miesiącach chłódów koń i Hindus trzęśli się z zimna. Potem jechali do następnej restauracji, odbywając po wiele razy tę samą drogę, bo w kuchniach nic jeszcze dla nich nie przygotowano.

Siostry często spotykały się z lekceważeniem, o czym wspomniała Matka Morąg. Musiały czekać w kuchennych przedścionkach pośród brudnych naczyń, krzyków, ordynarnych żartów. Niekiedy kelnerzy albo kucharze byli pijani - częściej kucharze. Matka Morąg nie mogła wysłać młodych zakonnice na tę nocną rundę. Posyłała siostrę Tymoteę o spiczastych łokciach, Eur-azjatkę, od dzieciństwa nawykłą dawać sobie radę, albo siostrę Janinę, bardzo brzydką, albo Francuzkę, siostrę Urszulę z wstrętnymi brodawkami na nosie, z owłosioną brodą, w okularach przypominających gogle.

- Mnie nikt nie zaczepi - mówiła.

W niektórych restauracjach było jednak miło. Kelner Włoch u Firpa miał zawsze dla sióstr filiżankę ka-

21

wy, a wielu Hindusów żywiło wrodzony szacunek dla zakonnice. Niektórzy dawali nawet kwiaty z wazoników na stołach, ale żywność rzadko była właściwie porozdzielana do odpowiednich pojemników, które siostry zostawiały ze starannie wypisanymi nalepkami: „Mięso”, „Ryby”, „Jarzyny”, „Curry”, „Ryż”.

- Czasem jedzenie jest tak zmieszane, że nawet my nie możemy go zjeść - mówiła Matka Morąg - ale siostra Klaudyna, nasza kucharka, potrafi zamienić większość z tego, co dostajemy, w smaczne dania i miło patrzeć, jak starcy nabierają ciała i siły. Kłopot w tym, że mają się tak dobrze, że... - Urwała. - Nie to miałam oczywiście na myśli. Tylko chciałam powiedzieć, że taki u nas tłok, a tylu czeka. - Westchnęła.

Kiedy wreszcie wóz wjeżdżał do klasztoru, bez względu na to, jak było późno i jak były zmęczone, siostry zawsze dawały Salomonowi zaoszczędzony kawałek chleba z solą, przygotowany przez szafarkę, siostrę Barbarę. Często dostawał także kawałki cukru trzcinowego, który Gulab kupował za własne pieniądze. Potem Gulab odprowadzał Salomona do stajni, wycierał, okrywał starym kocem i karmił. Matka Morąg wysyłała siostry do łóżek, a najcięższa nocna praca rozpoczynała się wtedy, gdy dwie następne zaczynały wnosić pojemniki i segregować tłuste potrawy.

- Trudno wyobrazić sobie zapach curry o drugie nad ranem - opowiadała Matka Morąg Johnowi. Siostry wszystko starannie magazynowały, na lodzie albo w chłodnej spiżarni, a gdy to ukończyły, musiały jeszcze szorować pojemniki gorącą wodą ze środkiem de-

22

zynfekcyjnym, a potem wyparzać. Często, widząc, że zataczają się ze zmęczenia - zazwyczaj pracowały też przez cały dzień - Matka Morąg odsyłała je do łóżek i kończyła pracę sama.

- To dobrze, że jestem silna - mówiła, a gdy na koniec zdejmowała wielki niebieski fartuch i „zarękawki”, chroniące biały habit, szła na górę umyć twarz, szyję i ręce. Choć prawdopodobnie brakowało tylko półtorej godziny lub godziny do chwili, gdy przychodziła zakonnica budzić je wszystkie na trzydziestopięciominutowe rozmyślanie przed mszą, rozsądnie było zdjąć przynajmniej buty i czepek i położyć się, by dać odpocząć obolałym plecom i nogom.

- Nie młodnieję już - mówiła sobie, ale o dziwo krzepiło ją, gdy usiadła w oknie czekając, aż ukaże się sznur koni.

Słyszała je, zanim zobaczyła - lekki stukot kopyt na torze i podzwanianie wędzideł, szelest machających ogonów, pomruk słów. Potem nadchodziły. Piękne konie, okryte derkami albo kapami w jasnobrązowym kolorze stajni. Każdego prowadziło dwóch stajennych lub chłopaków. Głowy mieli osłonięte czadarami - małymi bawełnianymi szalami, których jeden koniec osłaniał zazwyczaj nos i usta. Ubrani byli w długie płaszcze z porządnego materiału, lamowane brązowymi wypustkami, i solidne buty, odpowiednie do ich odpowiedzialnych funkcji.

- Chciałabym, żebyśmy mogły sprawić Gulabowi taki płaszcz - w Matce Morąg odzywała się zakonni-

23

ca. - Ci ludzie nie potrzebują wyjeżdżać na nocne zbiórki.

A potem zapominała, że jest zakonnica - z czystej radości, jaką odczuwała patrząc na konie. Niektóre szły równo; na innych, bardziej nerwowych, zbaczających z drogi, szarpiących się i płoszących na widok kawałków papieru lub starej kobiety zmiatającej gałązki na drodze, jechali chłopcy. Wszystkie utrzymane były doskonale. Boki, barki i szyje, które można było dojrzeć, lśniły; mięśnie marszczyły się, gdy konie stapały na smukłych, mocnych, ale jak wiedziała Matka Morąg, wrażliwych nogach. Wszystkie prowadził John Quillan jadący na swojej klaczy Matyldzie. Po bokach biegły dogi, Gog i Magog. Matka Morąg знаła ich imiona.

Dark Invader miał dwa lata. W niczym nie przypominał długonogiego źrebaczka czy niezgrabnego obiecującego roczniaka. Sierść miał teraz skarogniadą z jedną jaśniejszą plamką. Dumnie wygiętej szyi nie pokrywała jeszcze grzywa dorosłego konia płci męskiej, lecz majestatycznie sklepione barki, idealnie postawione szerokie pięciny i kształtne, mocno osadzone nogi czyniły z niego pięknego konia. Dzień drugich urodzin uczczony został paru dodatkowymi marchewkami i pół funtem kostek cukru. Ted nie chciał pozwolić na więcej.

- Nigdy nie widziałem takiego żarłoka. Sądząc po szorstkiej surowości Teda nikt by nie zgadł, że Dark Invader jest jego chluba.

24

- Nikt jeszcze nie miał takiego, sir - powiedział do Michaela.
- Zawsze tak mówisz - droczył się z nim Michael. Ale Annette wtrąciła:
- Mam przeczucie, że Ted ma tym razem rację.
- Muszę przyznać, że rzadko trafiał mi się źrebiak wyglądający lepiej od tego.

Michael wyrażał się oględnie, ale Peter Hay powiedział do Annette: „To paw z dwoma ogonami”. I próżny jak paw, mógłby dodać.

- Darkie wystartuje w Lingfield - orzekł Peter - i ściągniemy Toma Bacona, żeby na nim pojechał.
- Jeśli się nam uda - odrzekł Michael.
- Mnie się uda. - Była to prawda. Peter potrafił załatwić sobie prawie wszystko. W czasie swojej następnej wizyty powiedział: - Bacon się zgodził. Prawdopodobnie przyjedzie tutaj. To będzie wspaniałe połączenie: Darkie i Streaky. - Zatarł ręce. - Co o tym myślisz, Ted?

Peter zawsze starał się żyć dobrze ze stajennymi. Młodzi podziwiali jego ubiory i samochody, ale gdy przychodziło do koni, „nie zanadto się zna”, orzekali, a od Teda nie otrzymał nigdy nic więcej poza cieniem uśmiechu.

Ted Mullins był dosłownie karzełkiem. Suchy, zahartowany, z włosami w połowie siwymi, a w połowie jasnymi jak u dziecka, które tworzyły czub na głowie, wyglądał o wiele starszej niż na swoje czterdzieści dziewięć lat, ale jego wyblakłe błękitne jak ostróżki oczy

25

były nieustannie czujne na rozkaz lub pytanie o formę konia.

- Jaka jest historia tego człowieka? - spytał Peter. - Zawsze chciałem o to spytać.
- Teda? Znam go od lat. Mój ojciec wziął go jako piętnastoletniego chłopaka, Ted chciał zostać dżokejem - to było przed wojną. Sądzę, że zabrakło mu ta lentu, żeby być dżokejem najwyższej klasy. Jest z tych, co w ważnych dniach przyprowadzają i odprowadzają konie. W czasie wojny zajmował się „remontami”; gdy go zdemobilizowano, dowiedział się, że żona mu zmarła na gripę, stracił kontakt z wyścigami, a dużo obiecujących młodych dżokejów współzawodniczyło w nielicznych jazdach. Znalazł pracę na północy kraju u jakiegoś mniej znanego trenera, który został jednak zwolniony, i Ted stracił licencję. Potem już mu chyba na tym nie zależało, nie było nikogo, dla kogo można by walczyć, a on sam, nawet w najlepszej formie, nie był na tyle cenny, żeby walczono o niego. Whisky też mu nie pomogła - ciągnął Michael. - W gruncie rzeczy myślę, że to picie go dobijało. Potem przypomniał sobie mego ojca, a ja sobie przypomniałem, że ojciec był bardzo dobrego zdania o nim i o jego żonie Elli.

- I ty też - rzekł Peter.

- To najlepszy stajenny, jakiego miałem w życiu - odparł gorąco Michael - i uważam, że nie powinien wykonywać tej pracy. Do niczego nie doszedł przez zwykłego pecha, ale nigdy nie narzeka. Od czasu do czasu ma atak pijaństwa, lecz się z tym nie zdradza.

28

Jeździ konno wspaniale i ma do koni niezwykłą rękę. Spójrz, co zrobił z Darkiego.

- Zgadza się z tobą - odrzekł Peter i powtórnie spróbował zagadnąć małego człowieczka.
- Co myślisz o Lingfield, Ted?

Spodziewał się przynajmniej słowa uznania, ale usłyszał tylko:

- Ja się o tym nie mogę wypowiadać, sir. Zaszuszone twarz Teda przypominała maskę.

Parę minut później Peter z rykiem silnika i warkotem odjechał najnowszym modelem Bugatti w kolorze jaskrawoczerwonym.

- Co sądzisz, Ted, o Baconie i Darkiem? -- spytał Michael.
- Takie pytanie to chyba komplement pod moim adresem, sir.

Nie chciał powiedzieć nic więcej, lecz po próbnym galopie z Baconem wyjątkowo pozwolił sobie wejść za Michaeliem do biura i powiedział:

- Nie, sir. Nigdy.

- Nie? Myślałem, że to był sukces.

- Patrzył pan na konia?

-: Tak. Wygląda zupełnie dobrze.

- Nie. Trzeba go było widzieć, jak przyszedł do mety. To był tylko galop. A powinien być wyścig, sir. - Ted, zazwyczaj małowówny, wybuchnął: - Niektóre konie biegają normalnie, niektóre zbyt szybko, co im wychodzi na dobre, jak pan wie, ale niektóre są powolne. Invader - Ted nigdy nie mówił o swoim pupilu Darkie - jest właśnie jednym z takich. Nie znaczy to,

27

że jest niekarny, na to jest za bystry. Może dlatego, że jest taki duży i taki inteligentny, potrzebuje czasu, żeby się rozejrzeć i pomyśleć.

- Daj spokój, Ted. Konie nie myślą.

- Większość myśli. Gdybym ja miał wybierać...

- Pleciesz jak stara baba. Bacon ma dobrą reputację. Darkie jest w pierwszorzędnej formie. To właściwa pora. Właściwy wiek.

- Powiedziałem, że gdybym mógł wybierać... Michael się zawahał.

- Kapitanowi Hayowi bardzo na tym zależy.

- On - rehot Teda, ochrypli od lat spędzonych w słońcu, deszczu, na wietrze i od whisky, był pełen pogardy. - Konie, samochody, statki, wszystko takie samo jak on.

Michael musiał przyznać mu rację i westchnął, ale powiedział:

- Ted, konie muszą mieć właścicieli, inaczej nie byłoby wyścigów.

- A właściciele muszą mieć konie, inaczej nie byłoby wyścigów - odpowiedział Ted.

John Quillan odwiedził powtórnie Matkę Morąg Przyszły z nim Gog i Magog, ale zostawił je u wejścia na dziedziniec, gdzie usiadły po dwóch stronach bramy jak dwa olbrzymie ornamenty, co bardzo zwiększyło prestiż Dila Bahadura. John podszedł do drzwi frontowych i siostra furtianka zaprowadziła go na pierwsze

28

piętro do gabinetu przełożonej, która pracowała tam z siostrą Ignacją.

- Nie przyszedłem się naprzykrzać - powiedział John.

- Bardzo jesteśmy za to wdzięczne - odrzekła ze śmiechem Matka Morąg. A potem spytała: -- Więc po co pan przyszedł?

John przystąpił prosto do rzeczy.

- Siostry mają konia.

- Tak. Salomona.

- Znam go oczywiście. Ale siostry mają tylko jednego konia, więc pewnie jest wolne miejsce w stajni, a ja mam nowego klienta. Niejakiego pana Leventi~ ne'a.

- Leventine! - robił mu przedtem wymówki Bun-ny. -• Dlaczego, na Boga, angażujesz się w sprawy nieznajomego?

- Chodzi o jego konie - odrzekł John.

Nikt nie mógł zaprzeczyć, że pan Leventine ma do koni niezwykłego nosa, ale jego wylewność, lśniąca, pulchna twarz, perfumy, zbyt bogate stroje, niezmienna różowa róża w butonierce - „kolor różowy przynosi szczęście”, powtarzał często z promiennym uśmiechem - jego kędzierzawe kasztanowate włosy i ciemnowa cera, wszystko to było dziwne dla oczu ludzi Zachodu. A wymawiane ze zbytnią emfazą syczące spółgłoski „są trochę zaskakujące”, przyznawał John.

- Johnny, w jaki sposób potrafisz być taki szczupły? - John zgrzytał zębami, gdy ktoś mówił do niego „Johnny”. - Taki szczupły! - biadał pan Leventine

29

- Pocę się - odpowiedział John - i nie jem lunchu w Klubie Bengalskim.

Klub Bengalski miał najlepszą kuchnię na wschód od Suez, zwłaszcza cieszył się tam sławą udziec wołowy przyprawiony korzeniami i pudding grecki, w skład którego wchodziły sago, cukier palmowy i orzech kokosowy. Klub był też słynny ze swojej piwnicy i podawanej zwyczajowo po lunchu szklaneczki madery. Pan Leventine nie jadał tam lunchu - ktokolwiek by pomyślał o zaproszeniu go, spotkałby się ze strony sekretarza klubu ze spokojną perswazją, aby tego nie\* czynił - „jak postąpiliby i ze mną - mawiał John - z innego, jak sądzę, powodu”, ale głos Johna brzmiał obojętnie, gdy powiedział do Matki Morąg:

- Pan Leventine sprowadza konie z Anglii i z Francji. Potrzebuję dla nich miejsca i zastanawiam się, czy wielebna matka nie zechciałaby wynająć nam kilku boksów.

Zaległo kłopotliwe milczenie-. Potem przełożona' powiedziała:

- W naszych boksach musimy lokować ludzi.



- I nie mają oni elektrycznych wiatraczków, i nie są żywieni pięć razy dziennie. - Siostra Ignac ja nie mogła się powstrzymać od tych słów. - Bo to tylko ludzie, nie konie wyścigowe.

- Siostro, proszę... - zaczęła Matka Morąg, ale John przerwał:

- Rozumiem i przepraszam. - Odwrócił się i był już prawie przy drzwiach, kiedy przełożona odwołała go:  
30

- Panie Quillan!

- Słucham?

- O ile wiem, pana żona jest katoliczką.

- Tak. - Gotował się do defensywy, ale Matka Morąg mówiła dalej:

- Zastanawialiśmy się nad tym, że ponieważ do kościoła Świętego Tomasza jest dość daleko, może żona pańska chciałaby przychodzić na mszę do naszej kaplicy. Jesteśmy bardzo blisko.

Milczenie trwało tak długo, że myślała, iż go obraziła, ale po chwili odpowiedział:

- Po raz pierwszy w tym mieście parweniwszy ktoś nazwał Dahlię moją żoną i zaprosił ją. Dziękuję.

- Dzieci mogą przyjść również, oczywiście. Na jego twarz natychmiast opadła „zastona”.

- To się nie da zrobić.

John miał gromadkę dzieci, które w Kalkucie świeciły złym przykładem. Miła i łagodna Dahlia kochała niemowlęta, „ale nie potrafiła kierować dziećmi, a niemowlęta wyrastają, niestety, na dzieci”, mawiał John. Jego dzieci były równie urodziwe jak on i tak samo ładne jak matka; miały jej brzoskwińową cerę, duże, ciemne oczy i jedwabiste rzęsy, były jednak niesforne, chodziły boso, ubierały się, w co chciały, i robiły, co chciały. Kiedy miały na to ochotę, potrafiły wysławiać się w dobrej angielszczyźnie - naśladowując nieświadomie doskonałą wymowę Johna, a nie świergotanie Dahlii - ale wołały paplać w narzeczu hindu lub bengali. Uciekały z każdej szkoły, do której je posłano.

31

- Rozsądne dzieci - kwitował to John. Wydawał się dziwnie wobec nich bezradny.

- Niech pan pamięta, że są skażone krwią eurazja-tycką - powiedziała siostra Ignacja (w latach trzydziestych była to prawdziwa skaza). - Tutaj - wśród sióstr od ubogich były Eurazjatki i Hinduski - nie czyni to różnicy, ale dla naszych starców to ogromny problem. - Hindus tubylec trzymał się z daleka od najbiedniejszego białego i Matka Morąg pomyślała, że stałe rozgoryczenie Johna, jego zjadliwość i defensywna postawa nie miały źródła w nim samym ani w Dah-iii - zbyt czule ją kochał - lecz w dzieciach, o których mówił bandar-log, małpoludki.

- Dlaczego to się nie da zrobić?

- Dahlia próbowała zabrać je na mszę, ale nie chciały się przyzwocicie ubrać.

Matka Morąg łatwo mogła się domyślić, jak zawstydzona czułaby się Dahlia - wielu jej ziomków uczęszczało do kościoła Świętego Tomasza. Nabożeństwo było przeciwko kościelnej rewią mody.

- My nie zważamy na to, jak ludzie są ubrani - powiedziała - byle przychodzili. Niech pan przyprowadzi dzieci.

Wydawał się tak zaskoczony - a może wzruszony? - Ze się zastanawiała, czy go czymś nie obraziła i czy nie po raz pierwszy pomyślał o swoich małpo -ludkach jako o ludziach. Nie dowiedziała się, co myślał, ale po tej rozmowie co miesiąc bez słowa czy listu John Quillan przysyłał własnego podkuwacza do podkucia Salomona - bezpłatnie.

32

- Naprawdę muszę pójść podziękować panu Quilla-nowi - powiedziała Matka Morąg. - To już trzecie podkowy.

- Niech matka weźmie parasol - rzekła siostra Ignacja. - Na słońcu jeszcze gorąco.

Nie był to prawdziwy parasol, lecz parasolka dla ochrony przed słońcem, zbyt duża, by nazwać ją parasolem, zrobiona z mocnej bawełnianej tkaniny, podbita zieloną podszewką. Klasztor otrzymał ją kiedyś w podarunku, a Matka Morąg idąc drogą z wdzięcznością przyjmowała tę osłonę.

John mieszkał w domu o wytwornej architekturze; który w osiemnastym wieku był wiejską rezydencją jakiegoś nababa i nosił nazwę Scattergold Hall\*, gdyż rzadko wydawano na budowę domu tak dużo pieniędzy i tak szybko je marnowano. Budujące się miasto dogoniło dom, otaczały go - jak również klasztor - brudne rudery. Na miejscu rozległego niegdyś ogrodu stały teraz stajnie, ale były tam jeszcze kwietne rabaty i splecione pnącza, bougainville, róże, jaśminy. Były też kępy kwitnących krzewów i wysokie drzewa; fontanny, co prawda potłuczone, i puste sadzawki. Dom, po kryty stiukiem, miał okna z okiennicami, z których część zwisała poprzekrzywiana. Duże werandy wspierały i zdobiły filary, a ganek był tak wysoki i tak szeroki, że zmieściłby się na nim słoń z baldachimem. Tłuczona cegła zastąpiła na ścieżkach i na podjeździe mięk-

\* W swobodnym przekładzie z angielskiego Dora Marnotrąwców Złota (przyp. tłum.)

3 - Fuks na torze

33

ki piasek, a gęsi, kaczki australijskie i pogardzane koguty i kury grzebały i tarzały się w morzu czerwonego pyłu. Były tam domki dla królików, zagrody dla kogutów karłowatych i dla świnek morskich.

- Papa dał nam pieć, a teraz mamy już czterdzieści dwie - opowiadał jeden z małpoludków Matce Morąg. - Udajemy pasterzy, którzy gnają swoje stada.

Dzieci wypędzały świnki na miejsce, gdzie kiedyś rozciągał się trawnik. W domu unosiły się zapachy kuchenne, zwłaszcza curry, i dziwna mieszanina odoru końskiego i woni kwiatów. Dahlia nie była dobrą gospodynią. Zabawki, spodeczki z jedzeniem dla zwierząt, miseczki ze słodyczami i orzechami, wachlarze, jej ulubione czasopisma, wypolerowane do połysku wędzidła, które John sprawdzał, długie i krótkie baty, dziecięce buciki, nie używane już helmy tropikalne - wszystko to zaśmiewało pokoje, umeblowane przez Dahlię wygodnymi fotelami, kanapami krytymi błyszczącym pstrym perkalem, stolikami o mosiężnych blatach, bawełnianymi dywanami, „którym już nic nie zaszkodzi”, stwierdzała rozsądnie, bo dzieciaki i zwierzęta załatwiały się, gdzie popadło. Były tam lampy z abażurami, ozdobionymi frędzlami; wazony pełne papierowych kwiatów, najwidoczniej cenionych przez nią dużo bardziej niż doniczki z fiołkami, liliami, goździkami i chryzantemami, które ogrodnicy ustawiali na werandzie. Lecz mimo tego całego bałaganu Scattergold Hall był domem bardzo miłym i wiele osób z przyjemnością by tu przychodziło, gdyby John się na to zgadzał.

Matka Morąg zastała go na podjeździe. Gog i Magog

34

przepuściły ją bez trudności, odźwierny Sikh ukłonił się. Podziękowała Johnowi w imieniu sióstr i Salomona za podkuwanie.

- Och, za to! - powiedział niedbale John.

- Tak, za to. To nie tylko dowód szlachetności, ale i wyobraźni - odrzekła Matka Morąg. - A skoro już tu jestem, czy mogłabym odwiedzić panią Quillan?

- Panią Quillan? - Te słowa wstrząsnęły Johnem. - Oczywiście - odrzekł. - Dahlia będzie zachwycona. - Wprowadził zakonnice do domu.

- Nie sądzę - powiedział potem Matce Morąg kapitan Mack, weterynarz chirurg - żeby jakaś angielska dama wchodziła przedtem w progi tego domu.

-i "Właściwie to ja nie jestem angielską damą - odrzekła Matka Morąg. - Jestem siostrą.

I tym słowem Dahlia w swojej prostocie powitała ją, lecz dodała:

- Gdybym wiedziała, że pani przyjdzie, byłabym się ubrała.

Ale to „pani” wyrzekła ze śmiechem.

- Cieszę się, że pani tego nie zrobiła. Tak czuję się swobodniej.

Dahlia miała na nogach haftowane pantofle na niskich obcasach, a ubrana była w luźny szlafrok, który uwydatniał jej ciepłą brzoskwińowobrunatną skórę. Rozpuszczone włosy spływały na ramiona. Matka Morąg pomyślała, że ubrana na jakąś specjalną okazję wyglądałaby fatalnie, ale ona na szczęście nie miała żadnych ambicji poza tym, by każdemu stworzeniu dwu- czy czworonożnemu, które pojawiało się w jej or-

33

bicie, dogodzić -i uprzyjemnić żywot - zaczynając od Johna, którego uwielbiała, poprzez dzieci, konie, owce, koty, szpaki, Goga i Magoga naturalnie, ale także sukę przybłądę, która właśnie się szczeniła pod stołem na werandzie.

- To bardzo miło - powiedziała Dahlia do Matki Morąg. Szczebiotliwy akcent ma zwykle ton przenikliwy; w jej ustach brzmiał miękko. - A to nasz przyjaciel, drogi kapitan Mack, który przyszedł w samą porę.

Suce pod stołem pomagało lub raczej przeszkadzało czworo małpoludków, siedzących w kucki obok niej.

- Mamo, ją boli! Okropnie ją boli!

- Niedługo będzie zdrowsza. Patrzcie, przyszedł Sandy. - Dahlia uspokoiła dzieci i zwróciła się do Matki Morąg: - Kapitan Mack to nasz wielki przyjaciel.

- Nasz także - odrzekła Matka Morąg.

Wysoki, rudowłosy, piegowaty Szkot był urzędowym weterynarzem chirurgiem w Klubie Wyścigowym, ale do cierpiącej suki odnosił się tak samo, jak odnosiłby się do cennego konia pełnej krwi. „I jak często odnosi się do nas”, powiedziała Matka Morąg. Problem psów i kotów był dla sióstr problemem bolesnym. Niewielu spośród starców Hindusów, Eurazjatów czy Europejczyków, którzy u nich mieszkali, miało ulubione zwierzęta. Zbyt ciężko było wyżywić ich samych, by godzić się na utrzymywanie tych faworytów, ale niektórzy przynosili je z sobą.

- Przykro mi, nie możemy jednak przyjąć Moti, Perełki, Toby czy Dinkie - musiała odmawiać Matka

38

Morąg. - Kiedyś miałyśmy zabiedzonego pawia - opowiadała. - Wziął go Bunny. I mamy szpaki. Na szczęście ptaki możemy brać.

- Nie jesteśmy schroniskiem dla zwierząt. - Siostra Ignacja uważała, że jeśli już trzeba załatwić sprawę boleśnie, to lepiej zrobić to szybko, co często oznaczało szorstko.

- Ależ, siostró, mam go od dziesięciu lat. Czy siostra nie mogłaby zrobić wyjątku? Matko, siostró, proszę. Tylko jego jednego.

- Nie. Wkrótce byłby jednym z dwudziestu. Matka Morąg próbowała tłumaczyć:

- Widzi pani, jeśli przyjmiemy jedno zwierzę, musimy przyjąć wszystkie. Bardzo mi przykro.

To właśnie kapitan Mack taktownie zabierał Motie-go, Toby'ego czy Dinkiego i zwykle nie przysyłał rachunku.

Ukrył zdziwienie na widok Matki Morąg i powiedział tylko:

- Odsuńcie się, łobuziaki, dajcie mi popatrzeć. - I ukląkł na podłodze koło stołu.

John oprowadził Matkę Morąg po stajniach. Twar? jej płonęła rumieńcem.

- To prawdziwa rozkosz - powiedziała.

Gog i Magog wstały posłusznie, by im towarzyszyć, ale przedtem jeszcze dzieci szarpały ją za habit, chwytaly za rękę, ciągnęły, żeby przysła i obejrzała kuce, ich własne i inne. Małpoludki przydawały się do ujeżdżania kuców, „należących do innych, grzeczniejszych dzieci”, orzekł surowo John.

37

- Które nie umieją jeździć i marnują swoje śliczne kucyki.

Najstarszy małpoludek mówił tak podobnie do ojca, że Matka Morąg nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Rozumiała jednak, że to rzecz poważna. Quillano-wie byli zawsze poważni, jeśli chodziło o konie, a wszystkie dzieci jeździły konno „jak anioły - lub jak diabły”, powiedział John.

Po raz pierwszy usłyszała w jego głosie dumę.

W przeciwieństwie do nieporządnego, źle utrzymanego domu stajnie były w stanie nienagannym. Trzy strony kwadratowego placu otaczały boksy, każdy z przysłonią werandą. Pan Leventine pożyczył Johnowi pieniędzy na wybudowanie betonowego bloku, którym się zamknął po czwartej stronie czworobok. Mieściło się tam dwadzieścia nowoczesnych obszernych boksów z instalacją wodną, wentylatorami i wiatraczkami, ale też z werandami i, pod naciskiem Johna, z dachami krytymi starą dachówką. Było mnóstwo dachówek z budynków, które się zawaliły.

- To musiało kosztować blisko pięćdziesiąt tysięcy rupii - powiedział Bunny.

- Pożyczonych na sześć procent. - Bank brał trzy lub cztery. - Ale mnie by nie dali pożyczki bez zasta wu, więc wziąłem na sześć.

- Sześć! Leventine policzył panu sześć procent! Mówiłem, że to łobuz.

- No, nie - odparł John. - Wiedział, że muszę mieć pieniądze, a on nie jest głupi. Prawdę mówiąc, to

38

ja jestem głupcem, ale przynajmniej nie ma pośpiechu ze zwrotem tej sumy.

Stare boksy i werandy miały ceglane podłogi; w każdej był też elektryczny wiatrak, a nad wejściem ujęte w drewniane listwy wisiały zwinięte khus-khus, czyli grube maty z trawy, które w upały opuszczano i zraszano wodą, by dodatkowo chłodzić wnętrza. Każdy koń miał własną uzdę zawieszoną obok boksu, a nad .nim wypisana była nazwa konia. Matka Morąg idąc odczytywała te nazwy: Ace of Spades, Rigoletto, Flaming Star, Flashlight.

- Te dwa, Ontario Queen i Belisarius, są własnością lady Mehty --powiedział John. - Gangster to najświeższy zakup wicekróla.

Rzucono już do boksów ściółkę na noc, a przed wejściem do każdego z nich chłopcy stajenni rozciągnęli gruby warkocz ze słomy, by zapobiec rozwłóczeniu ściółki. Konie, uwiązane na zewnątrz, czekały gotowe do wieczornego obrządku.

Brunatny pas z kory otaczał zielony, gładki trawnik pośrodku placu. Matka Morąg domyślała się, że podlewano go codziennie. Pod drzewami stały pomalowane na białą ławki i krzesła; tu zbierali się właściciele koni, żeby się przyglądać, jak wyczyszczone idealnie defilowały wieczorem w kółko przed nimi.

- Są szczegółowo badane i starannie trenowane - powiedział John.

Kiedy John i Matka Morąg szli od konia do konia, towarzyszył im główny stajenny Jemadar podając jej, jako gościowi, stosowne dla każdego smakołyki. Łby

39

końskie się obracały, wyciągały się szyje. Kilka koni położyło uszy, błyskając białkami, ale John i Matka Morąg nie bali się wcale.

- Zawsze znajdzie się jedno czy drugie ziółko - powiedziała. Poza tym chłopak stajenny stał zawsze w pobliżu, gotów do ostrej ręcznej nagany.

- Ari ʔap! Shaitan!

Matylda, klacz Johna, nie czekając, aż się zbliżą, zaczęła cicho rzeć na odgłos jego kroków.

- Proszę dać jej banana - powiedział. - Sama zdejmie z niego skórkę.

- Jaka piękna! - Matka Morąg poklepała atlasową szyję. - Zupełnie wyjątkowa.

- Była wyjątkowa. Miałem ją w pułku. - Podniecony zachwytem Matki Morąg, ujawnił nieopatrznie ten fakt. -- Nie do wyścigów, oczywiście, ale do gry w polo. Ma już czternaście lat. - Pogładził pieśczośliwie szyję

klaczy, a Matka Morąg znów spostrzegła sygnet z zatartym herbem na jego małym palcu. - Poradzilibyśmy sobie, mając parę takich jak ty, co, stara? - zwrócił się do Matyldy. - Inne przy niej to niewypały.

- Niewypały! Widzę tu parę wspaniałych koni, ale zaciekawił mnie pan - mówiła Matka Morąg. - Polo a potem trening koni wyścigowych. To rzeczy zupełnie różne. Skąd się pan nauczył...? - Urwała. - Przepraszam. Człowiek nie powinien być ciekawski, ale konie ponoszą nie tylko w dosłownym znaczeniu John Quillan był jednym z nielicznych znanych jej

40

mężczyzn, który potrafił spojrzeć na nią z góry. Teraz spojrział tak właśnie, lecz prawie przyjaźnie.

- Skąd się nauczyłem? - powtórzył. - Nie pamiętam czasów, kiedy nie miałem do czynienia z końmi. Mój dziadek, gdy go zdymisjonowano z wojska, hodował trochę i trenował konie w Mulcahy, naszym domu w Irlandii.

Mulcahy! Więc to jeden z tych Quillanów. Oczywiście! Powinna się była domyślić, pomyślała Matka Morąg i zadała sobie pytanie, czy John naprawdę chciał jej o tym powiedzieć.

- Mój ojciec robił to samo, tylko w większym zakresie, a brat zdecydował się na wielką skalę. Wtedy... - Zająknął się i dokończył krótko: - Przyszła pora, gdy musiałem coś robić, i to dość szybko. Nie mogłem... nie pojechałem do domu - poprawił się. - Tu w Kalkucie był trener, stary Anglik nazwiskiem Fin-dlay. Miał niedużą stajnię. Był dobrym fachowcem. Miałem u niego konia, po prostu dla rozrywki. Kiedy przestało to być zabawą - stary już nie dawał sobie rady - potrzebował kogoś, kto by się wszystkim zajął. Wziął mnie, za skromne wynagrodzenie, ale go lubiłem. Umarł w rok później. Odziedziczyłem po nim stajnię i jako tako ją rozbudowałem.

- Jako tako! Bunny mówi, że zdobywa pan nagrodę za nagrodą.

- Ale nie są to duże nagrody.

- Dlaczego?

- Bo wciąż nie chcą mi dawać tych najlepszych.

41

- Z jakiego powodu? - Orzechowe oczy patrzyły tak szczerze, że musiał odpowiedzieć.

- Z powodu mojej osoby, jak sądzę. Nie otrzymuję złotych pucharów.

Wzruszył ramionami, ale Matka Morąg wiedziała, jak wiele znaczyły: Puchar Wellesley, Puchar Króla Cesarza, Puchar Cooch Behar i gwóźdź sezonu - Puchar Wicekróla, zdobywany w drugim dniu świąt Bożego Narodzenia. Położyła Johnowi Quillanowi rękę na rękawie. Była to lewa ręka, na jej trzecim palcu widniał pierścienek, prosta złota obrączka bez herbu czy insygniów, oznaka jej zaślubin z Chrystusem i Kościołem.

- Nie mam żadnych złotych pucharów.

- Będą i złote - powiedziała Matka Morąg.

Tego wieczoru czuła się wyjątkowo zmęczona, może dlatego, że wizyta w stajniach Quillana obudziła dawne wspomnienia, a pojemniki wydawały się tej nocy wyjątkowo ciężkie, tłuste jak nigdy, bardzo cuchnące. Nie mogła też zapomnieć o Johnie Quillanie. „Będą i złote”, przepowiedziała.

- Droga matka wielebna - uśmiechnął się do niej. Jak na twardego, szydlerczego mężczyznę uśmiech Johna Quillana był wyjątkowo miły. - Droga matka. Zawsze pełna nadziei.

- Czyż to nie moje powołanie? - odparła, a teraz oparłszy zmęczone ręce na parapecie okna zastanawiała się, co sprawia, że zwierzę lub człowiek, jeden na

42

tysiąc albo na sto tysięcy, wyróżnia się nie tylko niezwykłym talentem - talent mają i inni - ale i jakimś szczególnym darem, magnetyzmem działającym na otoczenie i zdobywającym jego sympatię. Nagle wydało jej się, że czuje zapach szczodrzeńca, złocistego szczodrzeńca, mokrej trawy i końskiego potu, że słyszy śpiew skowronków. Była myślami daleko od Kalkuty. Usnęła i we śnie nie powtórzyła: „Będą i złote”, ale: „Pewnego dnia będzie ten najważniejszy”.

43

Rozdział drugi

Zapach kwitnącego szczodrzeńca i mokrej trawy przenikał powietrze, gdy Michael Traherne i Peter Hay wjechali na pastwiska w Dilbury i usłyszeli śpiew skowronków. Peter przenocował u Michaela i Annette, a teraz dwaj mężczyźni jechali po trawie rosnącej tu kępkami, iskrzącej się kroplami rosy w promieniach słońca.

Poranne zajęcia zostały ukończone. Kiedy dotarli wyżej na teren falisty, daleko w dole na wyboistej drodze dojrzelili chłopców stajennych przykrywających derkami konie, gotowe do dwumilowego spaceru powrotnego do stajni w miasteczku, którego dachy i wieżę kościelną widać było między drzewami.

Michael jechał na swojej nowej klaczy, wspaniałej kasztance, wciąż równie nerwowej, gdy wyjeżdżała na spacer, jak tancerka na pierwszym występie. Peter zadowolił się wałachem ze stajni.

- Wolę je, jak już zsiądę, niż gdy na nich siedzę - wyznał kiedyś.

Przejechali skrótem ponad grzbietem wzgórza. Watach walił kopytami w niespiesznym krótkim galopie, klacz próbowała mu dorównać, póki się nie spłoszyła

44

na widok królika; okręcała się w miejscu, a Michael ściągał wodze, aż uspokoiła się zupełnie, poddając się jego doświadczonej ręce.

- O mało mnie nie zrzucił - poskarżył się Peter.

- Ty miałbyś spać z naszego starego pocziwiny! Niemożliwe! Annette mówi o nim, że to gwarantowane bezpieczeństwo.

Na szczycie wzgórza zatrzymali się bez słowa. Potem Michael przerwał milczenie.

- Mam kupca na Invadera - powiedział.

- Tak? Kto to taki i ile daje?

- Dwa tysiące. Nazywa się Leventine. Mieszka w Kalkucie.

-- Kalkuta! Biedny Darkie!

- Niekoniecznie. Konie wyścigowe są tam traktowane jak udzielni księżęta... Ale Peter nie słuchał.

- Leventine. Środkowy Wschód. To pewnie Żyd?

- Nie sądzę, może być każdej narodowości. Jego pełne nazwisko brzmi: Casimir Alaric Bruce.

- Boże! To rzeczywiście nie po żydowsku. Kim on może być?

- Jakaś mieszanina. Szalenie bogaty.

- Ma, zdaje się, więcej pieniędzy niż rozsądku - rzekł Peter. Michael puścił te słowa mimo uszu. - Czym się zajmuje?

- Nie wiem, ale jego dziadek zrobił podobno milion.

- Drogie kamienie? Skóry? Herbata? Już wiem -

43

ciągnął Peter. - Jego dziadek to ten, który pierwszy sprowadził do Indii parasole.

- Gdyby tak było, to Leventine byłby multimilionerem. Ale może jeszcze zostać z tego, co wiem. Nie rezygnuje z niczego. Nazwisko „Bruce” nasuwa myśl o jakichś Szkotach w rodowodzie, dlatego prawdopodobnie jest ostrożny, ale to pocziwa dusza, marzyciel.

- Marzyciel! Ależ, mój drogi!

- Tak - odrzekł Michael. - Myślę, że jego marzeniem są konie i że chce zostać jednym z najbardziej liczących się hodowców w Indiach, poza paroma radżami lub bogaczami z Bombaju.

- A co z niego za człowiek?

-i Niemożliwy, ale go polubiłem. Po raz pierwszy przyjechał tu przed dwoma laty. Bez wątplenia rewelacja, tak jak kiedyś France.

- Widziałeś go w Longchamps?

- Tak, widziałem, i w tym roku znowu. Tym razem zauważył go sam Aga Khan.

- Niesłychane! - wykrzyknął Peter. - A w Kalkucie?

- Nie jest jeszcze nawet na krawędzi toru, ale chyba się tym nie przejmuje. Dlaczego miałby się zajmować? Jest członkiem Klubu Wyścigowego i na najlepszej drodze do zostania kimś w tym świecie. Może prezesem, nim zamknie oczy. Pan Leventine wie dokładnie, czego chce.

- A teraz chce mieć naszego konia. Ciekawe dlaczego.

- Sądzę, że chodzi mu o to, co nazywają wyścigiem

46

klasycznym - odrzekł Michael. - Otwarty wyścig na dystansie mili i więcej. Świadczy o tym pomijanie formy Darkiego, a uwzględnianie tylko jego pochodzenia.

- A to go oczywiście stawia na szczycie w każdej klasie. Ale jakie ten bydlak ma osiągnięcia? - W głosie Petera zabrzmiała nagle nuta gniewu. Jest tak zepsuty, że czuje urazę do konia, który go rozczarował, pomyślał Michael, zamiast traktować to jak zwykły pech. - A więc jakie ma osiągnięcia? - powtórzył Peter. - Żadne. Żadne od czasu gdy wygrał gonitwę w Lingfield.

Lingfield. Milczeli przez chwilę. Michael myślał o dużym skarogniadym dwulatku, który wystartował śmiało, wysunął się swoim długim krokiem do przodu, w połowie dystansu został przyhamowany przez zwartą grupę rówieśników i w końcu w zacieklej finiszu wygrał wyścig o szyję.

- Wspaniale pojechał na nim Bacon - powiedział Peter.

- W każdym razie tak uważaliśmy. - I Michael dodał z zakłopotaniem: - Bo Darkie został mocno zsie-kany.

- Mówiłeś, że nie było na nim śladu bata.

- Nie było, ale Bacon nie potrzebuje konia bić. Pamiętasz ten drugi wyścig w Doncaster?

- Byłem wtedy w Ascot.

Szkoda, że cię rnie było. Michael nie powiedział tego głośno, ale ciągnął dalej:

- Darkie zrzucił Bacona przez łeb i pogalopował do stajni.

47

- Czy Streaky'emu coś się stało?

- Nie. Jest niezniszczalny, ale był wściekły. Oczywiście dwulatki zrzucają czasem dżokejów, ale to było co innego. Wyczyn zręczny i zdecydowany, jakiego w życiu nie widziałem. To samo zrobił Darkie w New-bury, tylko tym razem nie pozwolił nawet, żeby Streaky go dosiadł. W gruncie rzeczy zaczynam się zgadzać z Tede. - W pamięci Michaela zabrzmiały jak echo słowa: „To nie Invader, sir. Koń jest w porządku. To wina tego Streaky'ego. Na pewno”.

- Ted! - W głosie Petera brzmiała pogarda. - Ten mikrus. Ciągłe jeszcze pije?

- W tej chwili nie - odrzekł Michael. - Od czasu jak kupiłeś Invadera, Ted ani razu się nie zalał. Kiedy ma jakiś cel...

- Jakiś cel! Mikę, wiesz przecież, że wszystkie gęsi to u Teda łabędzie.

- Ted pozna łabędzia, jak go zobaczy - odparł stanowczo Michael. - I sądzę, że ma rację. Streaky potrafi konia skrzywdzić. Darkie po tym pierwszym wyścigu nie chciał jeść przez tydzień, a wiesz, jaki z niego żartok.

- Uważasz, że Darkie miał osobistą urazę do Bacona. A czy to nie były po prostu nerwy?

- Bez wątplenia. Znow się to powtórzyło tu na miejscu. Streaky przyszedł, żeby go próbować w galopie, a Darkie wprost oszalał. Nie pcfewałał mu do siebie przystąpić, mieliśmy z nim piekło. Byliśmy cali mokrzy. Ted dosłownie padał przeprowadzając go.

- A co robił Streaky?

43

I

- Śmiał się.

- Mógł się śmiać. Co mu tam krnąbrny dwulatek. Powie tylko słowo i wygra każdy wyścig.

- Ale nie lubi takich niespodzianek. Jego śmiech nie był miły - rzekł Michael. - Nie miałem od tamtej pory czasu z nim porozmawiać, ale wszystko sprowadza się do tego, że Darkie wie, że jeśli wysunie się do przodu, czeka go jakaś duża kara, fizyczna czy inna, więc przezornie zostaje w tyle.

- Na co ja się zgodzić nie mogę - powiedział Peter. - Dwa tysiące to piekielnie wysoka cena za bezwartościowego konia, którym niestety Darkie jest.

- Moglibyśmy puścić go na płoty - zaproponował Michael. - To się czasami udaje. Gdyby się do tego nadał, mógłby wrócić do handicapów w wyścigach płaskich albo mógłbyś go wykastrować i posłać na przeszkody. Jest dostatecznie duży.

Peter milczał chwilę, a potem powiedział:

- Mówiąc szczerze, Mikę, nie mam ochoty więcej na niego wydawać. Miałem zamiar ci to powiedzieć.

Michael nie odezwał się na to słowem, tylko rzekł:

- Patrz, nadjeżdżają. - I zamilkł ze wzrokiem utkwionym w powierzone sobie konie.

Zbliżały się. Wszystkie szły spokojnie, tylko Taran-tella i Bagatelle szarpały się w prawo i w lewo, jak zwykle. Gromada koni minęła ich i ukazał się Invader.

Michael zwrócił się do Petera:

- Oto nasze trudne dziecko. Frank mówi, że do domu pędzi tak, że zostawia wszystkie konie w tyle, więc go odsyła do stajni oddzielnie. Ale tak jest tylko

4 - Fuks na torze

49

w drodze powrotnej. Jak ma iść do przodu, trzeba go prawie kopać.

- Leniwe bydło! Ale jak chce, to potrafi iść. Popatrz na niego teraz.

Wszystkie konie potrafią, jedne lepiej, drugiej gorzej, ale niektóre poruszają się z kocim wdziękiem, niedbałym, płynnym, równym krokiem, który raduje wzrok. Dark Invader w błogiej nieświadomości, że waży się jego los, szedł w cudownym rytmie, kołysząc dużymi barkami, marszcząc mięśnie pod aksamitną skórą na bokach, skoncentrowany tylko na jednym - na śniadaniu.

-• Chwileczkę, Ted.

Ted zjechał z drogi i zatrzymał się.

- No, jak on chodzi? - spytał Peter.

- Pierwszorędnie, sir - odparł sztywno Ted.

- Ostry?

- Dość ostry. Galop to dla niego zabawa. I taki przy tym dżentelmen - dodał Ted wyzywająco. - To cholernie sympatyczny koń, sir.

- Ted się nie myli, Peter. Popatrz tylko na tego konia.

Zrezygnowany wobec przerwy w drodze, Dark Inva-der stał zupełnie spokojnie, interesując się widokami i odgłosami w budzącej się okolicy. Uszy miał trochę za długie jak na konia pełnej krwi i luźno osadzone, Zwisły na boki w chwilach odpoczynku, zadowolenia lub zakłopotania. Teraz były postawione, żywe i chętne. Strzygł nimi, by pochwycić dalekie dźwięki i głosy. Wyglądał jak żywy portret konia pełnej krwi.

50

- Rzeczywiście miło na niego popatrzeć - powiedział Peter, a Ted wybuchnął jak kiedyś, gdy zwracał się do Michaela:

- To nie Invader, sir. Koń jest w porządku. To wina tego Streaky'ego. Jasne, że to Streaky. On...

- ...jest jednym z najlepszych brytyjskich dżokejów - rzekł lodowatym tonem Peter. - Jeśli nie potrafi dać sobie rady z Invaderem, nikt sobie nie da.

Siedzący na dużym koniu Ted mógł patrzeć z góry na Petera, co niewątpliwie robił, i jeśli ton Petera był lodowaty, to tak samo lodowato pogardliwy był wyraz twarzy Teda.

- Czy to wszystko, sir? - spytał Michaela.

- Dziękuję, Ted.

Ted zawrócił Invadera i odjechał. Peter był trochę zmieszany, lecz szybko się opanował,

- Cały kłopot w tym, Mike, że wspaniała budowa to mało, jak nie ma animuszu i werwy. Musimy sobie powiedzieć, że Darkie to wielkie piękne zero.

Wrócili na podwórze i zsiadli z koni, które zostały odprowadzone do stajni. Oczy wszystkich chłopców utkwione były w samochodzie Petera, nowym czarnym trzylitrowym Sunbeamie, z przednimi błotnikami jak w samochodzie lekkiego typu i trochę pod kątem ostrym wmontowaną chłodnicą, co było charakterystyczne dla wozu tej marki. Peter położył już swoją walizkę na tylnym siedzeniu.

51

- Co chcesz, żebym zrobił? - spytał szorstko Michael. - Muszę dać Leventine'owi odpowiedź.

-- Uważam, że te plany wyścigowe nie mają sensu - odpowiedział Peter - i jak mówiłem, z pieniędzmi trochę krucho. Poza tym postanowiłem spędzić zimę za granicą, więc...

- Więc?

- Sprzedaj go, Michael. Nie ma sensu wiązać się z takimi tępyimi bydlakami.

- Dobrze, sprzedam. Jak ci się podoba twoja nowa zabawka?

Peter nie zauważył ironii w jego tonie i odpowiedział z powagą:

- Chodzi dość dobrze, ale nie ma charakteru jak mój stary 30/98.

Przerzucił nogi ponad bokiem niskiej otwartej karoserii, pomijając szczytkowe drzwiczki. Samochód ruszył z warkotem, który przeszedł w zwykły stłumiony pomruk rury wydechowej.

- Do widzenia. - Peter uniósł rękę.

Uliczka rozbrzmiewała rosnącym warkotem. Michael słuchał triumfalnego odgłosu ostatniej zmiany biegów na zakręcie na szosę. Potem ciężkim krokiem wszedł do biura.

Głos w telefonie był stanowczy i ostry, niczym kwakanie dużej złej kaczki. Do małego zaśmieconego pokoju, pełnego kartotek z rachunkami za paszę, postrzępionych egzemplarzy „Kalendarza” i „Przewodnika

52

Ruffsa”, pogniecionych starych kart uczestnictwa w mityngach wyścigowych wtargnął oddech światowych targów i ogromnych sal, w których dziesiątki tysięcy przechodziły z rąk do rąk na dźwięk jednego słowa lub znaku zrobionego kredą na tablicy. Tak, pan Leventine podtrzymuje chęć kupna (kwak), jeśli cena nie odpowiada, pan Leventine gotów jest dołożyć jeszcze pięćset, ale to jego ostatnie słowo (kwak). Umowa stoi? (kwak?) Pod warunkiem przedstawienia świadectwa weterynarza (kwak). Parę nowych koni zostanie niebawem załadowanych na statek i jedna klatka będzie pusta. Weterynarza pan Leventine przyśle jutro. A czek zaraz po otrzymaniu świadectwa lekarskiego Krótki kredyt - długa przyjaźń. Śmiech (kwak, kwak) Cisza.

-r Będziesz musiał powiedzieć o tym Tedowi.

Śniadanie w towarzystwie Annette w ciepłej jadalni było dla Michaela najmiłą chwilą dnia. Zziębniętemu i głodnemu po trzech godzinach wyętej pracy o świcie talerz owsianki ze śmietanką, a potem jajka na bekonie, gorący tost z marmoladą i ogromna filiżanka kawy wydawały się czymś niebiańskim. Dziś rano odchodził z podwórza nie rzuciwszy okiem na ostatni boks, gdzie Dark Invader wyciągał szyję, domagając się uwagi i jabłka albo kilku kostek cukru, które Michael nosił w kieszeniach. Sprzedaż to sprzedaż, to też należy do codziennej pracy, mówił sobie, ale ze straszną pewnością przewidywał przyszłość Darkiego. Ten

53

koń nienawidzi wyścigów; poniesie całkowitą klęskę i zakończy życie zachłostany na śmierć między hołbami rozklekotanej drożki czy nawet wozu. Michael odsunął talerz.

- Chcesz jeszcze trochę kawy? - spytała bystra Annette, a gdy trzymał już gorącą filiżankę w rękach, które wciąż były zimne, powiedziała łagodnie: - Powiedz Tedowi, zanim to usłyszy od kogoś innego.

- Zwłaszcza że Ted jest częścią transakcji - odpowiedział Michael. - Ma odwieźć Darkiego.

- Ted! Ma jechać do Kalkuty!

- Jeśli zechce. To jeden z warunków Leventine'a. Widocznie przeprowadził dokładny wywiad. - I Michael zacytował: - „Ponieważ to koń z charakterem, byłbym rad, gdyby jego stajenny mógł go odwieźć”.

- Co na to Peter?

- A jak myślisz? „Kto płaci?” - Peter, który nigdy nie potrzebował się martwić, który zawsze wiedział, skąd weźmie pieniądze na opłacenie kosztów utrzymania stajni, nie mógł się jednak zdobyć na wydatek związany

z utrzymaniem Invadera jeszcze przez pewien czas. Zanadto dramatyzujesz, mówił sobie Michael, ale zima za granicą, nowy samochód za dwa tysiące funtów - tyle samo co cena konia - Peter, który powiedział przed odjazdem: „Skoro Leventine chce wydać tyle na Teda, to może byłby skłonny dorzucić jeszcze paręset funtów. Spróbuj, czy potrafisz to z niego wyciągnąć, Mikę. Ale nie popsuj interesu. - I stosunków z hodowcami, chciał dodać z wściekłością Michael, ale Annette mu przerwała:

54

- Ten pan Leventine... on to robi ze względu na konia. Podoba mi się ten Leventine.
- Ale czy Ted zechce jechać?
- In'ja - powiedział Ted. - In'ja! To znaczy, że pan wysłał Invadera tak daleko? Do tych pogan. - W jego głosie brzmiała udręka.
- To nie są poganie, Ted. Ale Invader ma jechać do Indii. I nie tylko on, ty także.
- Ja! - Chyba po raz pierwszy w życiu głos Teda zabrzmiał ostro.
- Pan Leventine - wyjaśniał Michael - chcąc zapewnić Darkdemu najlepsze warunki podróży, prosił, żeby pojechał z nim jego opiekun. To znaczy ty.
- Do Kalkuty? - Głos Teda scichł niemal do szeptu.
- Do Kalkuty.

Zaległo milczenie. A potem Ted powiedział:

- To znaczy, że ten dżentelmen - słowo rzadko przez niego używane - że ten 'dżentelmen zapłaci mi bilet tam i z powrotem?
- Tam i z powrotem i tobie też zapłaci.
- Tylko po to, żeby Invader się nie denerwował?
- Tak.
- To pojedę - rzekł Ted.

55

Rozdział trzeci

Z papierami w ręku John Quillan czekał na molo w Doku Króla Jerzego, podczas gdy żurawie przetrzucały konie na brzeg.

- Jest jedna rzecz pocieszająca, jeśli chodzi o Dar-kiego - powiedział Michael do Annette. - Pójdzie do Johna Quillana.

-- Do Johna Quillana? - Annette była zaskoczona

- To trener Leventine'a.

- John? Trenerem w Kalkucie! John! Przecież on służy w pułku królowej.

- Służył. Powinien być już majorem.

- John wystąpił z pułku? - Annette, sama córka pułkownika, nie mogła w to uwierzyć. Nie ten John Quillan, którego znała, gdy miała' lat dwadzieścia, nie ten, z którym tańczyła, jeździła konno, któremu się przyglądała, gdy grał w polo. - Ale dlaczego? Dlaczego? - pytała.

- Była jakaś awantura, niestety. John był młodszym synem w rodzinie, ale miał dość mocną pozycję. Jakiś wysoko postawiony wuj czy ojciec chrzestny czuwał nad nim i, jak przypuszczam, wspomagał go finan-

56

sowo. Zdaje mi się, że kiedy się to stało, John był adiutantem w straży gubernatora Bengalu.

- Kalkuta zimą. Darjeeling w upalnych miesiącach. - Annette znała ten rytuał.

- Tak. Mógł być jednym z wybrańców, głupiec, gdyby nie...

John Quillan pamiętał ten dzień. Wezwał go do siebie attache wojskowy gubernatora, pułkownik Maxwell.

- Siadaj, John.

- Dziękuję, Max.

- Jego ekscelencja - pułkownik nie powiedział J. E., co dowodziło, że ich rozmowa ma charakter urzędowy - jego ekscelencja zdecydował, że zostajesz natychmiast zwolniony. Wrócisz do kraju - pułkownik wyrzekł z naciskiem te słowa - do swego pułku.

Milczenie.

- Nie potrzebuję ci mówić, dlaczego zapadła ta decyzja - dorzucił pułkownik Maxwell.

John poznał Dahlię na przyjęciu, na przyjęciu „B”.

- W tym mieście - wyjaśnił Johnowi, gdy przybył on do Kalkuty, jego kolega, Robert Kerr, również adiutant - są dziewczyny A i dziewczyny B; te ostatnie tylko na upały. Wtedy naturalnie większość naszych wyjeżdża do kraju.

- Rozumiem - odpowiedział John. - I co się dzieje na takim przyjęciu?

57

- Zwykle rzeczy. Zachowują się bardzo dobrze, a my bardzo źle, a potem i one zachowują się gorzej.

Dahlia miała wtedy osiemnaście lat. Na przyjęcie przyprowadziła ją kuzynka, namawiając: „Potrzebują więcej dziewczyn”. Dahlia siedziała w kącie w jaskrawej taniej tiulowej sukience, jak mała rybka wyjęta z wody.



Johnowi zrobiło się jej żal.

- Nie podoba się tu pani.

- Ależ tak, tak. - Ale wiedział, że w duchu mówiła: „Nie, nie”.

- Pozwoli pani odwieźć się do domu? Gwałtownie zaczerpnęła tchu. Ostrzegano ją przed takimi propozycjami.

- Ma pan na myśli... mój dom?

- Tak. - Uwierzyła mu.

- Odtąd zawsze mi wierzyła - powiedział Matce Morąg.

Nawet już wtedy czuł obrzydzenie do „hipokryzji i gruboskórności tego wstrętnego miasta - jak opowiadał przełożonej - do niekończącego się protokołu i snobizmu gubernatorskiego pałacu”. Zbuntowany, zaprzyjaźnił się z ojcem Dahlii, mechanikiem kolejowym pochodzenia irlandzko-euroazjatyckiego, ożenionym z Hinduską. John lubił Patricka McGinty i jego tęgą, spokojną żonę, a niebawem zaczął otwarcie odwiedzać ich dom ze względu na Dahlię i opiekować się nią na przyjęciach, na które nadal chodził, „chyba z nudy w porze deszczowej”. Dahlia była prześliczna. Miała świeżość i niewinność, które wzruszały Johna.

58

Wymykali się często jego samochodem w noc, gdzie wśród potoków deszczu na Maidanie, wśród gęstej zieleni i ciemności nikt nie mógł ich widzieć, z wyjątkiem dużych gwiazd, jasnych jak hinduskie złote cekiny, które lśniły na niebie, gdy rozsuwały się chmury. Wtulona w jego ramiona Dahlia była rozkoszna i w przeciwieństwie do innych kobiet w Kalkucie absolutnie szczerą.

- Ile jest takich ludzi? - spytał John Matkę Morąg i pomyślał: Bardzo mnie pragnęła, ale nie mógł powiedzieć tego zakonnicy.

Młody, lecz bardziej doświadczony Robert ostrzegał go:

- Nie daj się zanadto oczarować, John. To mogłoby cię dużo kosztować, wiesz.

- Kosztować?

- Jeśli się chce zaspokoić ich pretensje... z określonego powodu - wyjaśnił Robert.

John, ku swemu zaskoczeniu, został też ostrzeżony przez ojca Dahlii.

- Chcieliśmy bardzo prosić pana, kapitanie Quillan, aby pan więcej nie zabierał Dahlii na spacer.

- Dlaczego? - John był wściekły, ale pan McGinty się tym nie speszył.

- Dahlia to nasze jedyne dziecko. Wydaje nam się, że ona pana pokochała, a wiemy, i pan wie także, co się przytrafia takim dziewczynom jak Dahlia.

- Nie wiedzą państwo nic - odrzekł John.

- Nie wiemy? Jest pan kapitanem Quillanem ze sławnego pułku. Jest pan także adiutantem w pałacu

59

gubernatora. Gdy przełożeni dowiedzą się o pańskich kontaktach z Dahlią, dla uniknięcia kłopotów odeślą pana do Anglii. W naszym świecie jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że się łamie obietnice i serca, ale proszę, niech pan oszczędzi Dahlię. - Pan McGinty nie był zagniewany, tylko smutny.

John milczał chwilę, a potem spytał:

- Czy pan gra w szachy?

- W szachy?

- Tak. W szachach są królowe, królowe, laufry, koniki - nie jestem żadnym z nich. Są też pionki, które można przesuwac tak, jak zechce gracz. Ale nie jestem też pionkiem, proszę pana.

- Zamówiliśmy ci miejsce w wagonie sypialnym w Pociągu Błękitnym na dziś wieczór - powiedział pułkownik Maxwell. - Na dziś wieczór, John. We wtorek odpłyniesz na „Orionie”. Jego ekscelencja napisał już do twego pułkownika.

- Mógł sobie oszczędzać fatygi - odrzekł John. - Sam napisałem do pułkownika. I załączyłem w liście moje papiery.

- Johni

- Poślubiłem dziś rano pannę McGinty, rozumiesz?

- Co? - wykrzyknął Max, a zrozumiawszy dodał: - Ty głupcze!

- Takich właśnie gratulacji oczekiwałem - odparł John.

- Postąpił bez wątpienia idiotycznie - mówił Michael do Annette. - Mógł zapłacić dziewczynie pewne

eo

odszkodowanie, jeśli czuł, że powinien, jak robi wielu innych. Może była w ciąży, ale on już na to nie zważał. Pomyśl, Annette, jego ojciec i dziadek, i pradziadek, wszyscy służyli w tym pułku! Ale John był zawsze nieprzeciętnym donkiszotem.

- Albo nieprzeciętnie uczciwym człowiekiem - odrzekła Annette. - Dziwne. Zawsze sprawiał wrażenie cynika, ale pamiętam, jak się oburzał na rzeczy prze? nas wszystkich akceptowane, i myślę, że choć to ukrywał, był najlepszym ze znanych mi młodych ludzi.

W ten październikowy poranek słońce na molo przygrzewało już mocno. Koszula lepiała się Johnowi do pleców, czuł na szyi pot spływający z mokrej wstążki opasującej kapelusz. Dahlia widziałaby chętnie na jego głowie hełm tropikalny, oznakę prawdziwego Anglika w jej mniemaniu. Biegała wciąż za swymi małpoludkami, wciskając im takie hełmy, których i one nie chciały nosić. „Nic nie szkodzi”, stwierdzał John.

Na molo czekali też inni trenerzy, ale po przywitaniu trzymali się z daleka. Jego stajenni i ich stajenni Hindusi czekali na swoich nowych pupilów, siedząc w kucki, plotkując i paląc; częstowano się nargilami i birisami, małymi indyjskimi papierosami o mocnym zapachu. Niektórzy mężczyźni żuli betel. Przeszedł jeden z hodowców, najwyraźniej w drodze do biura, chciał bowiem porozmawiać z trenerem australijskim Danem Reganem. Skinął głową Johnowi i odwrócił się. Na bocznym torze kolejowym gromada złożona

61

z dwudziestu brunatnoskórych bosych mężczyzn o krótko przyciętych włosach, z brudnymi przepaskami na biodrach, ustawiała się za zamkniętym wagonem towarowym. Jeden z nich, ubrany w płaszcz, wykrzyknął jakiś rozkaz, a reszta zaczęła śpiewać: „Hull a lai, Hull a lai”. Wagon drgnął, zakolysał się i zaczął się toczyć. Niewidoczna kania nawoływała: Kii-ii-ii, wydawało się, że głos ten powtarzał się bez końca, nieskończenie daleko.

Boże! To trwa wieki, myślał John.

Dark Invader i Ted, wraz z dwunastoma innymi wyścigowymi końmi, zostali załadowani na statek „City of London” w Birkenhead. Było to w ponury, zimny dzień deszczowy, a teraz, w miesiąc później, statek przybił do brzegu w upalnym słońcu, by wyładować swych pasażerów na molo na szerokiej rzece, gdzie drapieżnikanie spadały z góry rzucając się na pływające w wodzie odpadki i staczały bitwy powietrzne, wydając przenikliwe krzyki. Oparty wraz z innymi stajennymi o poręcz Ted widział kopuły wielkich gmachów z oślepiającego białego marmuru, górujące nad rozległymi przestrzeniami porośniętymi trawą i obsadzonymi drzewami.

- Myślałem, że wszystko tutaj będzie wysuszone, zbrązowiałe, brudne •- powiedział Ted. - A patrzcie, są kwiaty.

Byli też biali, niektórzy konno, pośród wałęsających się Hindusów. Przejeżdżały samochody, a w oddali widniał kościół z wieżą, przypominający kościół w Anglii.

62

Ted z błyskiem radości w oku dostrzegł także dobrze znane białe bariery dużego wyścigowego toru.

- To miejsce nie wydaje się takie obce, jak myślałem - powiedział.

Konie i stajenni nie mieli zejść tu jeszcze na ląd, dopiero nazajutrz statek popłynął w dół rzeki do doków i żurawie przeniosły na brzeg klatki z końmi.

- No, nareszcie - odetchnął John.

Konie wychodziły, stąpając ostrożnie na wyrosniętych nie podkutych kopytach pod palącym słońcem. Jasny blask oślepiał, niektóre się cofały, a stajenni trzymali je krótko, ledwie mogąc sami utrzymać się na nogach. Hinduscy stajenni podbiegali gotowi pomóc.

Siedem z nowo przybyłych koni miał trenować John Quillan. Dwa należały do lady Mehty, pięć kupił pan Leventine. Trudno było zgadnąć, co się dostanie od lady Mehty. Spędzała każde lato we Francji i kupowała konie kierując się kaprysem. „Nie ma sensu radzić Meenie - mówił Prakash Mehta. - Już taka uparta się urodziła”. John zobaczył teraz jasnogniadą klacz z jedwabistą grzywą, śliczne, chwytające za serce stworzenie, ale „cielęce kolano - mruknął - i cienka jak deska postawiona sztorcem”. Przerzucił papiery, by znaleźć orzeczenie weterynarza. „Zdrowa” - widniało tam słowo wypisane zielonym atramentem energicznym charakterem pisma.

-i Mogłaś być wtedy zdrowa, możesz być teraz, ale nie będziesz za rok. - John starał się, by w jego głosie nie było litości, gdy głaskał jedwabistą skórę na łbie klaczy. Następny koń wyglądał lepiej; był to mocno

63

zbudowany, ciemny gniadosz o szerokich, dobrze umięśnionych nogach sprintera. - Bogu dzięki, z tobą coś może da się zrobić. - Ale największe jego zainteresowanie budziła piątka koni pana Leventine'a, jego pierwsze doświadczenie z tym zagadkowym kupcem.

Dwie klacze, wałach i młode źrebię, ostre koniki, dobre do wyścigów na dystansie dwóch trzecich mili do mili. Mocne nogi i dobre kopyta, jasna, lśniąca sierść, nawet po długiej podróży, i mało lub wcale nie wyczesane. Materiał do pokazywania tydzień po tygodniu w zimowych handicapach, konie mogące znieść duszny upał i wytężony finisz w batach na mityngach w porze monsunowej. Sensownie wybrane, pomyślał John i jego szacunek dla pana Leventine'a wzrósł.

Ostatni wyszedł ze swojej klatki, górujący o piędź nad innymi, Dark Invader. John zajął do jego papierów. Czy Leventine mógł na pewno go kupić? Ale czarno na białym miał przed oczyma: „Źrebiec skarogniady,

tylna pęcina nierówno biała". Nie ma tu żadnej pomyłki. Siedemnaście piędzi wzrostu co najmniej, pomyślał John. Za duży na tor. Przeczytał jeszcze raz to, co widniało na papierze, który trzymał w ręku. Wygrał po raz pierwszy półtora roku temu, odtąd bez miejsca. John zmarszczył brwi. Nigdy by nie posadził pana Le-ventine'a o to, że wyrzuca pieniądze na darmo.

- Dzień dobry, sir - powiedział jakiś skrzekliwy, ochryply głos i John spojrzawszy w dół zobaczył małego człowieczka, który taksował go niebieskimi oczami - od stóp do głów, pomyślał. Grzeczne „dzień dobry” było zupełnie różne od „Hy-ah” czy „Halo” in-

64

nych przybyłych stajennych, którzy zostawiali swoich wychowanków klepnawszy ich po zadzie, a czasami na\* wet nie obejrzawszy się odchodzili z trenerami, by odebrać zapłatę - i przepuścić pieniądze w ciągu paru dni pobytu w Kalkucie, pomyślał John. Czemu nie? Drogę powrotną mieli opłaconą.

W przeciwieństwie do ich niedbałego wyglądu ten mały człowieczek wyglądał schludnie w czystej koszuli z celuloidowym kołnierzykiem, jakiego John od lat nie widział, w kamizelce ze srebrną dewizką - prawdopodobnie podarunek od żony lub wielbicielki - w prążkowanych spodniach, skórzanych sztylpach i zniszczonych, lecz wyczyszczonych do połysku butach. Te buty wzbudziły w Johnie przemożną tęsknotę za ojcowską stajnią i życiem, które, jak powiedział, utracił na zawsze.

Była nawet nieodzowna czapka sukienna, której dotykał z szacunkiem palcem jednej ręki. Drugą ręką trzymał dużego konia w sposób władczy, onieśmielający stajennych Hindusów.

- Jesteście pewnie przysłani przez pana Traher-ne'a. - John wyrażał się zawsze zwięźle, gdy był przejęty.

- Tak, sir. Nazywam się Mullins. Ted Mullins.

- A ja John Quillan. Trenuję konie dla pana Le-ventine'a.

- Rozumiem, sir. A to jest Dark Invader.

Jeśli Ted oczekiwał zachwytów, to ich nie usłyszał. Quillan obszedł powoli Invadera, oceniając konia z bliska, jak Ted taksował jego.

5 - Fuks na torze

65

- Na oko z pewnością piękny - powiedział tylko, tak samo jak Peter Hay.

Tego było za wiele dla Teda. Powtórzył to, co mówił Peterowi:

- To diabelnie miły koń, sir, i do tego taki dżentelmen.

Nie tylko koń był dżentelmenem.

- Czy pozwoli pan, że zaprowadzę go do domu? John zwrócił uwagę na słowo „dom”. Widocznie ocena Teda wypadła w końcu pozytywnie, ale się wahał.

- To długa droga, trzy mile.

- Nie szkodzi. Po dreptaniu w kółko na pokładzie Invader może się czuć trochę nieswojo. Jest do mnie przyzwyczajony.

- Oczywiście... ale poprowadzicie go idąc pieszo? Ted się zaczerwienił.

- Czy to znaczy, że nie powinno się tu oglądać Anglika prowadzącego konia? - spytał rozdrażniony.

- Tak, to sprawa prestiżu, ale nie waszego - odrzekł John. - Myślę o Sadiqu i Alim, którzy w stajni będą się zajmować Invaderem. Stajenni nazywają się tu syces. Sadiq czeka, żeby przejąć opiekę nad nim, a jeśli mu się to uniemożliwi, stracimy szacunek, jaki dla nas czuje.

- Rozumiem, sir. Czy on... pan... Saddick, tak? Czy weźmie mi za złe, jeśli pójdę z koniem? - spytał Ted.

Ted nie zapomniał nigdy tego pierwszego spaceru w Kalkucie. Sadiq był od niego wyższy o głowę, a w turbanie

66

wydawał się jeszcze wyższy. Dwa razy tęższy od Teda, miał ciemne włosy, mocno podkreślone wąsy i brązowe wytrzeszczone oczy o dziwnie żółtych białkach, które przypominały Tedowi muszle ślimaków.

Obaj z Alim patrzyli już na Invadera z dumą jak matka na pierworodnego syna. Ted przełknął ślinę i odwrócił głowę.

- Potrzebny wam będzie kapelusz - mówił John Quillan. - Czapka to mało. Słońce pali, choć już październik. Może kupicie hełm tropikalny w Port Sai-

dzie?

- Uważałem, że nie warto kupować, skoro zaraz wracam do domu.

John zauważył, że Ted jest blady.

- Naprawdę chcecie iść pieszo? No, dobrze, mam chyba hełm w samochodzie, żona mi włożyła.

Do Sadiqa podszedł drugi stajenny. Dark Invader szedł pierwszy, za nim inne konie Quillana, ale mimo sztywnych nóg po paru tygodniach przebywania w klatce odsadził się od reszty.

- On szybki - pochwalił go Sadiq, dumny ze swojej angielszczyzny.

- Ji-han! - Drugi stajenny dyszał próbując dotrzymać im kroku.

Ted z zadowoleniem widział, że żaden z nich nie szarpał wodzami. Przytrzymał lekko konia.

- Spokojnie, mały, spokojnie.  
- S... spokojnie. S... spokojnie - świszczał przez zęby Sadiq.  
Droga ich wiodła najpierw ulicami, wzdłuż których

67

stały walące się jaskrawe jedno- i dwupiętrowe domy, w większości opatrzone tabliczkami w języku hindu i angielskim: „Malik Amrit Lal Patney. Adwokat”, „Spółka Elektryczna Goodwill”, „Herbaciarnia i Kawiarnia Radosna”, przeplatające się z nędznymi budami i otwartymi sklepami. Na wszystkich ulicach panował ogromny ruch, przejeżdżały tramwaje, autobusy i wozy ciągnięte przez ciężkie, białe woły lub jeszcze potężniejsze, masywne szerokorogie czarne bawoły, na które pokrzykiwali poganiacze. Ted wzdrygnął się na widok okrutnie wykręcanych ogonów i otartych do żywego ciała szyj zwierząt. Z tupotem kopyt i łomotem kół przejeżdżały dziwaczne wysokie, zamknięte pojazdy i znowu Ted patrzył z przykrością na zaprzężone do nich chude, okaleczone konie, niektóre nie większa od kuców. Choć miały na szyjach sznurki niebieskich paciorków lub kitki z piór nad czołem, sterczały im żebra i kości biodrowe, a kulawe poganiano batami. Wozy były też przyozdobione paciorkami i obwieszane pióropuszcami, tak samo jak niektóre samochody i taksówki, prowadzone przez czarnobrodych kierowców w turbanach, nie przestających ani na chwilę naciskać klaksonów. Od czasu do czasu przemykał lśniący, czysty samochód, z jednym co najwyżej pasażerem i eleganckim kierowcą w czapce lub turbanie, ale w każdej taksówce tłoczyło się kilkanaście osób. Przejeżdżały też wyładowane ryksze; między dyszlami każdej z nich biegł wychudły człowieczek, lśniący od potu, a z jego płaskiego brzucha wydobywał się rzęzący oddech.

68

A wokół nich chodnikami, rynsztokami i po jezdni płynęła rzeka ludzi.

Ted nigdy jeszcze nie widział tak wielu. Mieli brunatną skórę, niektórzy tylko przepaski na biodrach, tak jak tamci na molo, ale ci tutaj pchali załadowane towarami wózki lub balansowali nosidłami na ramionach czy głowach, zachowując budzącą podziw Teda równowagę. Paru mężczyzn ubranych w powłóczyście śnieżnobiałe stroje: luźną koszulę i muślinową drape-rię zamiast spodni, oraz płaskie pantofle, niosło tylko parasole lub teczki - Ted miał niebawem poznać jednego z nich, Ram Sena, babu, czyli urzędnika z biura Johna Quillana - ale dzieci czołgające się po chodnikach nie miały na sobie nic poza ozdobnym sznureczkiem. Niektórzy chłopcy o wzdętych brzuchach byli także nadzy. Wydawało się, że ludzie mieszkają na ulicy. Ted widział kobiety myjące się pod ulicznym kranem; miały na sobie co prawda sari, ale przez mokrą, cienką bawełnianą tkaninę rysowała się każda wypukłość ich kształtów. Jakiś mężczyzna, siedzący w kucki na chodniku, kazał sobie golić głowę; inny dyktował list. Ten, co list pisał, miał biurko bez nóg ustawione na trotuarze. Mężczyźni odwracali się i oddawali mocz do rynsztoka. Ted zauważył, że kobiety rzucały na ściany bryły gnoju - nawóz, pomyślał ze zdumieniem - by go wysuszyć. Później się dowiedział, że używano tego jako opału. Gołębie szukały ziaren w sklepach zbożowych, psy węszyły w śmieciach, a wszędzie rozbrzmiewał zgiełk głosów, skrzypienie kół, klaksony samochodów, krzyki sprzedawców, nawoływa-

69

nia - wszystko to pomieszane z odorem potu i uryny, zapachem dymu z tłącego się drewna, ostrej woni palonego łąjna i innej, jeszcze przenikliwszej, którą, jak miał się przekonać Ted, wydzielaly potrawy smażone na gorącym oleju gorczycowym. Od czasu do czasu, kiedy przechodził sprzedawca kwiatów, przeciągała za nim smuga duszącego słodkiego zapachu; taki sam zapach wydobywał się z girlandy zawieszanej na jakichś drzwiach lub bił od kobiety w czystym, spływającym miękko po jej ciele sari, która miała kwiaty wpięte we włosy. Ted dostrzegł między krótkim stanikiem a pasem jej goły brzuch. Co powiedziałaaby na- to Ella? - pomyślał. Włosy stanęły mu na głowie; jego czysta dusza metodysty była zgorszona - to naprawdę straszne miejsce, a jednak fascynowało go i tak dziwnie pociągało, że prawie zapomniał o Invaderze.

Invader jednak mijają to wszystko z niezmaconym spokojem. Choć nie wiedział o tym, było to jego pierwsze zetknięcie z publicznością.

Ted był bardzo zadowolony, kiedy zostawili za sobą ulice i tłumy i weszli na porośniętą zieloną trawą teren, który widział ze statku.

- Maidan - objaśnił go Sadiq.

Tu znowu były białe bariery toru, dobrze utrzymane trawniki i padoki.

Mijali policjantów na koniach, Anglików w białych mundurach i Hindusów w mundurach koloru khaki. W dali zobaczył konne oddziały wojskowe, dojrzał błysk

70

szabel i drganie opatrzonych chorągiewkami lanc. Odbывała się jakaś defilada, ale Sadiq skręcił w prawo, przeciął szeroką, ruchliwą drogę i wjechał pierwszy w inną, spokojniejszą, ocienioną drzewami, z pasami trawy po bokach, na których prawie nie było słychać tupotu końskich kopyt. Kiedy skręcili w otwarte odrzwia ogromnej bramy, pomalowanej niegdyś na kolor zielony, Dark Invader ruszył szybciej, jakby wiedział, że przybył do domu - jak to określił Ted.

- O Boże! - powiedział Ted. - O Boże! Po raz pierwszy widział stajennych hinduskich obrządzających konie. Zobaczył Invadera w obszernym boksie, otwieranym od frontu, odgrodzonym po bokach dwoma drewnianymi poprzeczkami; zobaczył, jaka dobra czekała na niego pasza, przygotowana nie w żłobie, jak w Anglii, tylko w ciężkiej cynowej kadzi; zobaczył duże czarne i szare wrony z mocnymi, dziobami i lśniącymi pirackimi oczami, które zlatywały się i tkwiły na żerdziach czekając na spadające ziarna. Były to, jak powiedział mu John Quillan, stałe towarzyszeki każdego konia. Wyszli ze stajen.

- Zarezerwowałem wam pokój w „Raju”. To podobno dobry pensjonat. Mam nadzieję, że taki się okaże. W czasie lunchu obsługiwało Teda dwóch służących; z ciekawości skosztował po raz pierwszy w życiu curry, lecz szybko zamówił zamiast tego pieczoną barani-

«

71

nę, a potem, wyczerpany upałem i wrażeniami oraz długim spacerem, spał w swoim obszernym pokoju, póki John po niego nie przyszedł.

-- Myślałem, że może chcielibyście obejrzeć moje konie.

Ted zamrugał na widok Scattergold Hall, a zdumiał się jeszcze bardziej zobaczywszy dzieci. Dwóch chłopców atakowało oswojonego barana, który z kolei napadał na nich. Dziewczynka bujała się jak małpka na gałęzi drzewa. Starszy chłopiec z powagą szkolił kuca, a dwoje najmniejszych robiło babki z piasku na skraju podjazdu, sypiąc sobie na głowy czerwony pył i lejąc wodę. Dahlia w bujającym fotelu na werandzie, jak zwykle w szlafroku, kołysała się spokojnie i wachlowała palmowym liściem. Znad tego wachlarza uśmiechnęła się do Teda ciemnymi oczami z rzęsami jak frędzle i zawołała:

- Halo!

- Moja żona i moje dzieci - powiedział z roztargnieniem John.

Ted zdjął pożyczony hełm i ukłonił się, lecz John go nie przedstawił. Zamiast tego powiedział:

- Chodźcie zobaczyć konie i nasz wieczorny obrządek.

Poprowadził Teda na plac otoczony stajniami, gdzie Ted znowu zamrugał pod przytłaczającym wrażeniem. Nie widział nigdy nic podobnego.

Konie były przywiązane na zewnątrz boksów do kółek umocowanych w ścianie, a stajenni stali po dwóch przy każdym koniu. Dark Invader był tak wysoki, że

72

Sadiq i Ali musieli stać na odwróconych dnem do góry skrzynkach, dość oddaleni od niego, by móc skupić cały swój ciężar w rękach, a potem przenieść na konia; był to, jak objaśnił Tedowi John, klasyczny ręczny masaż - po hindusku hart molesh -- stosowany przez miejscowych.

- Czy to znaczy, że czyszczą konia rękami? - spytał Ted.

- Wszystkimi częściami rąk: palcami, kciukami, czubkiem kciuka, odwróconą dłonią i przedramieniem. Popatrzcie!

Co jakiś czas Sadiq lub AU odwracali się, żeby obmyć ręce i przedramiona w wiadrze z zimną wodą i splukać z nich wyleniała sierść, a potem, spoceni i zdyszani, powracali do masażu. Invader parsknął z zadowolenia i skubał wargami dla zabawy tłusty zadek Sa-diqa.

-- Ari! Shaitan! - gromił go dobrodusznie Sadiq, a Ted obserwował z bólem w sercu, że ci dwaj już się doskonale rozumieją.

Na krzyk Jemadara, starszego stajennego, prawej ręki Quillana, Hindusa o imponującym wyglądzie, w brązowym turbanie, dobrze skrojonej kurtce i z małą laską, masaż ustał, a dwaj chłopcy naciągnęli na ręce skórzane poduszki, wypchane jak boksyerskie rękawice, i zaczęli uderzać nimi w rytmie, którego echo niosło się po całym placu. Lewa poduszka, prawa poduszka - uderzały na zmianę z całej siły, potem zderzały się w powietrzu, by się oczyścić z kurzu i potu. Bum, bum.-- bach; bum, bum - bach; i tak wkoło, co naj-

73

mniej kwadrans, a Ted stał i przyglądał się jak zahipnotyzowany. Na koniec rytmiczne klaskanie ucichło, poduszki zostały odłożone i pozostało już tylko gładzenie miękkimi szczotkami i szmatami. Rozczesywano grzywy i ogony, które podwiązywano nadając im odpowiedni kształt, podnoszono też kolejno kopyta czyszcząc je z zewnątrz i od środka, a potem smarując oUwą. Na koniec chłopcy stajenni stanęli przy swoich koniach, a Je-madar robił przegląd. Niekiedy przystawał, pokazywał coś laską i ostro krytykował; kiedy indziej kiwał z zadowoleniem głową. Gdy skończył, podszedł do Johna. Podczas gdy John kolejno odbierał konie, wyprowadzano je na wyłożony korą tor, po którym dla treningu chodziły w kółko spokojnie przez godzinę. Była to pora, gdy w chłodzie wieczoru gromadzili się hodowcy, a nieraz dżokeje i chłopcy stajenni, by się przyglądać i pogadać, spacerując po trawie lub siedząc pod drzewami. Tymczasem pomocnicy stajennych przygotowywali paszę, kontrolowaną kolejno przez Jemadara, myli i napełniali wodą wiadra, rozwieszali przygotowane derki i popręgi i kładli w boksach ściółkę na noc, otaczając ją starannie słomianym warkoczem, który oglądała przedtem Matka Morąg. Następnie rozkładali na werandzie na pryzkach zbudowanych z opłatanej sznurkiem drewnianej ramy pościel starszych stajennych.

- Oni śpią przy koniach? - spytał Ted.

- Ustawiają łożka tuż przy boksach - odpowiedział John. - Dobry stajenny, jak na przykład Sadią, nie spuszcza z oka swego konia przez całą dobę.

Ted, przytłoczony różnorodnymi wrażeniami, wstąpił

74

w nieznaną świat. Nowością było nie tylko rozprażone powietrze i oślepiające blaskiem niebo, teraz ku wie-  
czorowi blednące, nie tylko dziwne zapachy i dźwięki, i jaskrawe barwy w ogrodzie pensjonatu. Żywa  
czerwień poinsecji, tworzących żywoptów, z ich wyprostowanymi pręcikami zdumiała go w najwyższym  
stopniu - prawie nie przypominały kwiatów. Nie przypominały kwiatów także karmazynowe dzwonki hibis-  
cusów, płomieniste kanny na klombach, a w ogrodzie Quillana masy zmierzwionych bougainvilli, wspaniałe  
błękit pnącego wilca i bledszy rozkwitłej łośownicy. Ted nie znał nazw tych kwiatów, ale rozpoznał papużki  
długooogoniaste, śmigające wśród drzew. Wstrząsnął nim nie tylko widok Scattergold Hall, Dahlii, dzieci i  
zdumiewających stajni. Czuł się tak, jakby bariery zamykające go przez całe życie - opadły. Gdy po drzemce  
wyszedł na werandę pensjonatu, czekał na niego wę drowny tragarz, którego uznał za służącego.

- Będę dbał o pana, sahib. Zaoszczędzę panu kłopotów. Nazywam się Anthony, mam dużo dobrych  
papierów. Będę dbał o pana.

Ten człowiek, ze swoją gładką angielszczyzną, wtargnął nieomal do pokoju, lecz Ted odparł szorstko:

- Sam potrafię dbać o siebie.

Ale tamten tytułował go „sahib”, jego, Teda, o którym, z wyjątkiem trzech krótkich sezonów i trzech lat wojny,  
mówiono zawsze tylko „chłopak”. A tu „sahib”! Choć zamienili ledwie parę zdań, Ted czuł się swobodny i  
bardziej równy Quillanowi niż kiedykolwiek Mi-chaelowi Traherne'owi mimo ich wzajemnego szacunku

75

i przywiązania. Kiedy Michael był małym chłopcem, Ted mówił do niego „pan Michael”, a w obecności An-  
nette nigdy nie siadał. Teraz, czując się szczęśliwszy od chwili, gdy Michael oznajmił mu, że Dark Invader  
został sprzedany, szczęśliwszy, niż sądził, że jeszcze kiedykolwiek będzie, i jakby wyższy - „Taki  
wyskrobek”, mówiono o nim zwykle - Ted stał obok Johna Quillana, przyglądając się pracy Sadika i Alego.  
Po chwili zaczął się przyglądać uważniej. Jego do świadczone oko dostrzegło, że gdy chłozujący masaż  
zbliżał się do szyi Invadera, mięśnie mu drgały i koń się wzdrygał. Natychmiast Sadią zrzucił skórzaną  
poduszkę, aby pogłaskać i poklepać to miejsce, a Darkie parskał z zadowoleniem.

- Może - mruknął obserwując to Ted i powtórzył, gdy jeszcze raz zobaczył: - Może to i sposób.

Wydawało mu się, że mruknął pod nosem, ale John pochwyił te słowa swoim bystrym uchem.

Nazajutrz pojawił się z plikiem papierów wysoki blondyn o łagodnym głosie, w krótkich spodniach i butach  
kupionych w Newmarket \*. Tym razem John przedstawił Teda.

- Ted Mullins, kapitan Mack, urzędowy lekarz weterynarii naszego Klubu Wyścigowego. Przyszedł, jak się  
zapewne domyślacie, zidentyfikować Invadera jako konia o tej nazwie i pochodzeniu, zanotować go w  
Księdze Stadnej.

\* Miasto w Anglii znane z wyścigów konnych. (Przyp. tłum.)

76

- Miło mi pana poznać - rzekł skromnie Ted, lecz patrzył z niepokojem, gdy kapitan Mack badał Invade-ra,  
sprawdzał maść, oglądał zęby. Potem uzupełnił swoje notatki i zamknął głośno księgę.

- Co on sądzi o nim, sir? - spytał Johna Ted, kiedy kapitan odszedł.

- Mack niewiele mówi, chyba że stawia diagnozę. Powiedział, że Dark Invader wygląda jak koń.

Ted był wyraźnie rozczarowany.

- I to wszystko, sir?

- Tak, Mullins.

To uniemożliwiło dalsze pytania, ale kapitan Mack powiedział coś więcej. Tegoż wieczoru wpadł na drinka  
do Scattergold Hall, a gdy dzieci, zmęczone wylewnymi powitaniem, odeszły do swoich zabaw, a Dahlia  
śpijąc usypiała niemowlę, dwaj mężczyźni zasiedli wygodnie i popijali whisky. Rozlewna kołysanka  
przerywała im chwilami rozmowę, kołysanka, którą ayahs usypiały całe pokolenia dzieci cudzoziemców:

Nini, baba, nini,

Roti, mackan cheeni.

Spij, dziecinko, śpij,

Dam ci chleba z masłem, z cukrem.

-• Dobrze to pamiętam - powiedział kapitan Mack. - Mieszkałem tu w dzieciństwie. Jego masywna postać  
odprężyła się.

Roti, mackan, cheeni...

77

- Nie zaśnij i ty - rzekł John i zawołał do „boya”, jak Dahlia uparcie nazywała Danyala, który w  
rzeczywistości był tragarzem Johna, aby napełnił im szklanki. Dopiero po czwartej kolejce kapitan Mack  
powiedział:

- Ten nowy import Leventine'a to cholerny koń, John.

-• Możliwe, ale ma też cholerną przeszłość. - Podał mu jakąś kartkę. - Przeczytaj te parę słów, które przesłał przez Mullinsa Michael Traherne.

Drogi Johnie,

Posyłam ci pod opieką stajennego Teda Mullinsa jednego z najładniejszych koni, jakie w życiu widziałem, a to niemało.

Z naszego zawodowego punktu widzenia ten koń jest problemem. Jak zobaczysz z zapisu kariery, wygrał po raz pierwszy w dobrej stawce i od tej pory ani razu. Jako trzylatek zdobył w sezonie piąte miejsce wśród „niewypałów” na torze w Folkestone i to było jego największe osiągnięcie.

W przesłanym zapisie nie ma ani słowa o formie w galopach treningowych. Na dystansie półtorej mili i więcej jest prawie nie do pokonania, ale bez publiczności.

Miałem nadzieję, że znajdę rozwiązanie tego problemu, właściciel konia stracił jednak cierpliwość, więc... masz go i życzę ci powodzenia.

- Co o tym sądzisz? - spytał John.

Kapitan Mack chwilę się zastanowił, a potem odpowiedział:

- To mi się nie podoba. Wcale mi się nie podoba. Nie może tu być mowy o defekcie fizycznym, bo wy-

78  
stępowałby stale - iw czasie galopów treningowych, i w czasie wyścigu. Gdybyśmy odkryli, w czym rzecz, można by prawdopodobnie temu zaradzić, ale...

- Chce pan powiedzieć, że zdrowy koń, który nie chce biec zmuszany, to zwykle taki, który był bity na finiszu i nauczył się, że jeśli będzie prowadził, zostanie ukarany.

- Właśnie. „Cień zapamiętanego cierpienia”. - San-dy Mack lubił cytaty. - To pozostaje w pamięci, John. No i instynkt prowadzenia. Nie muszę ci mówić, że nawet u koni pełnej krwi to rzecz rzadka i nietrwała, gdy się ją zniszczy, to na zawsze. Nie, John. Wątpię, czy ta nadzieja Leventine'a wygra w ogóle jakiś wyścig na tym świecie.

- Jakiś wyścig! Ma się starać o puchary. Kapitan Mack roześmiał się.

- Co! Może o Puchar Wicekróla? Nie lubię zakładów i nie chcę się z tobą zakładać, ale jeśli Dark In-vader znajdzie się w tym wyścigu gdzieś niedaleko pierwszego miejsca, to kiep ze mnie.

- Hm - mruknął tylko John, lecz następnego dnia, kiedy przyglądali się z Tedem wieczornym obrządkom, zapytał:

- Co mieliście na myśli, Mullims, gdy powiedzieliście - wskazał ręką stajennych przy pracy - że może to i sposób?

- Słyszał pan? - Ted był zaskoczony.

- Słyszałem. Co mieliście na myśli?

Ted popatrzył na Johna. Gdyby sokół lub jastrząb miał niebieskie oczy, pomyślał John, to ten człowiek 79

ma oczy jastrzębia, którym nic nie ujdzie. Lecz Tea milczał. Staczał jakąś wewnętrzną walkę. John spróbował mu pomóc.

- Zanim Dark Invader został kupiony, był dokładnie zbadany przez weterynarza. Badał go lekarz wybrany przez pana Leventine'a.

- Tak, z pewnością był badany.

W dzień po telefonie Michaela z Dilbury na dziedzi nieć przed domem Traherne'a wjechał powozikiem na żółtych kołach, zaprzężonym w konia wyrzucającego wysoko nogi, siwy pan w meloniku, w brązowych getrach i czarnych półbutach.

- Badał go major Woods, sir. Znany lekarz. Szkoda, że pan nie widział, jakie to było dokładne badanie.

Kazał nawet zdjąć podkowy Invaderowi. To prawdziwy lekarz starej daty - mówił Ted. - Załatwił to jak trzeba, nie żałował czasu. Wyuczył się swego zawodu, zanim weszły w użycie samochody. Wypełnił drukowa-wany formularz bardzo dokładnie i powiedział do pana Michaela: „Pierwszorządny koń i zdrów jak ryba”. Poznał się na nim, kiedy go zobaczył, nie uchybiając w niczym kapitanowi Maćkowi.

- I mimo tego wszystkiego i opinii kapitana Macka uważacie ciągle, że coś jest nie w porządku. Tak?

- Ach! - Ted odetchnął z zadowoleniem. - Jak tylko pana zobaczyłem, wiedziałem, że mnie pan kiedyś o to spyta. Myślę, że to sprawa jego mięśni w górnej części barku, sir.

-- A jednak nie dopatrzili się tego.

- Nie mogli. Przy takim badaniu nic się nie widzi

80

i nic się nie czuje. Gdy przesunie pan w tym miejscu ręką, nie czuć nic, ale pod naciskiem... mięśnie mają dwa końce, sir, a to jest głęboko. Widział pan, jak pan Saddick...

- Sadią?

- Tak. Jak pan Saddick uderzał rękawicą, Invader się wzdygał. - Ted wybuchnął: -• To ten Bacon.

Wszystko zaczęło się od niego i tych jego przeklętych krzywych nóg. Jak dziadek do orzechów -- dorzucił

zjadliwie. - Ścisnąć konia w miejscu, którego Bóg nie przeznaczył dla nóg ludzkich. On jeździ bardzo ostro, a

Invader był jeszcze taki młody i to była chyba jego pierwsza gonitwa. Ale kapitan Hay się uparł, że za wszelką cenę musi wygrać.

- I wygrał - powiedział John.

- Tak. - Twarz Teda była surowa. - Zechce pan popatrzeć, sir? Tylko popatrzeć, kiedy pan Saddick mocniej naciśnie.

John stanął tuż przy koniu i przyglądał się. W jego obecności Sadiq i Ali zdwoili wysiłki i gdy Sadiq zaczął czyścić bark Invadera, John spostrzegł, że koń się wzdrygnął.

- Macie rację - powiedział do Teda. - Tam jest to czułe miejsce. Poprosimy kapitana Macka, żeby je obejrzał. Kapitan Mack stał, tak jak przedtem John, tuż przy koniu, ale na jego twarzy malowało się powątpiewanie. gdy Ted prowadził jego palce tak wysoko, jak tylko

6 - Fuks na torze

81

zdołał sięgnąć, a potem przejął je Sadiq cały czas naciskając. Nagle koń okazał niepokój.

- Ssspokój, Darkie. Ssspokój - syczał Sadiq, a kapitan Mack nacisnął mocniej. Wyraz powątpiewania ustąpił napięciu. Znów mocniej i mocniej - Invader drgnął po raz ostatni, szarpnął się rzucając łbem i prawie zwałając Sadika z nóg.

- Ach! - szepnął Ted.

- Dajcie mi coś, na czym mógłbym stanąć - rozkazał kapitan. - Ty bydlaku! - Poklepał czule konia po łopatce. - Jesteś wielki jak żyrafa. Ta ławka wystarczy - stwierdził i wszedł na nią. - Stój spokojnie - mówił przesuając pewnie palcami po skórze konia. Po chwili przyjrzał się z zaciekawieniem nie temu czułemu miejscu, które pokazali mu Ted i Sadiq, ale nieco powyżej, gdzie kończyły się włosy grzywy. - John, spójrz tutaj - powiedział.

John stanął obok niego na ławce.

- Widzisz coś? - spytał kapitan. - Przyjrzyj się dobrze. Pod tymi białymi włoskami jest blizna.

- Ale... bardzo mała.

- Na zewnątrz mała. Mullins, chodźcie no tu. Zauważyliście to?

- Oczywiście - odrzekł Ted. - Białą sierść on ma tylko w tym miejscu. Był już taki, jak przybył z Irlandii. Może jako mały źrebak, biegający swobodnie, wpadł na drut kolczasty albo się skaleczył, ale to było dawno, więc chyba to nie mógł być powód... Czy mógł? - Ted spostrzegł zadowoloną minę kapitana Macka. - Mógł?

82

- Mógł. W istocie myślę, że to jest powód. Macie rację, mogło się tak zdarzyć w jego źrebięcych latach, ale to nie drut kolczasty, raczej Invader tarzał się po trawie, natrafił na stłuczoną butelkę albo na ostry kamień lub coś innego i lekko się skaleczył. Ranka zewnętrznie się zagoiła, lecz wewnątrz zostało uszkodzenie, może dostało się tam ziarnko żwiru lub okruch szkła, co wywołało infekcję. Mięśnie straciły giętkość stały się włókniste, pozostała blizna w samym mięśniu, na zewnątrz nie widać nic, ale każdy ucisk w tym miejscu powoduje ból. Kiedy koń był zmęczony, podenerwowany... pamiętajcie, że był wtedy bardzo młody...

- Musiało go to cholernie boleć - powiedział John - i sądzę, że Streaky Bacon naciskał właśnie to miejsce, co wyjaśnia wszystko. Sandy, ty mądry, stary diable.

- Nie dziękuj mnie, tylko Tedowi i Sadikowi. - Kapitan Mack zeskoczył z ławki. - Ale na tym się jeszcze kłopot nie kończy. Hart molesh Sadika to najlepsza kuracja, ale jest tu i coś więcej. Wszystko, co jest związane z finiszem - rywalizacja, hałas, podniecenie - mówi Darkiemu: „Stój, to będzie bolało”. Prawda, stary? - pociągnął za ciemne ucho.

- Ale problem pozostał.

- Pozostał. Musicie „poradzić choremu na duszy” - i kapitan cytował dalej: - „Głęboko zakorzeniony smutek wyrwać z myśli. Wygnać zaległe w mózgu niepokoje”.\*

• Przełożył Józef Paszkowski.

83

- „Makbet”, akt piąty, scena trzecia - rzekł John. - Zamknij się i przestań się popisywać.

- O Boże, a ja myślałem, że oficerowie kawalerii to półanalfabeci.

- I słusznie, ale ja w szkole występowałem w „Makbecie”. Grałem rolę Pierwszego Zbójcy.

- Szkoda, że nie Pierwszej Czarownicy. Przydałoby się teraz trochę czarów.

- Uważasz, że nie ma na to rady?

- Tak właśnie uważam. Spójrz prawdzie w oczy, John. Wiesz przecież, że koń znarowiony nigdy na tor nie wraca.

- Mullins - spytał John po odejściu kapitana Macka - dlaczego nie powiedzieliście panu Traherne'owi, co myślicie o tym koniu?

Ted się zawahał.

- Invader nigdy nie sprawiał mi kłopotu, sir, i niczego na pewno nie wiedziałem. Miałem nadzieję, że pan Michael sam to zauważy. A kiedy koń został sprzedany, jakie miałem prawo podważać opinię takiego



lekarza jak major Woods? Poza tym, gdyby pan Michael o tym usłyszał, znalazłby się w kłopotcie. Proszę mnie źle nie rozumieć, sir. Pan Michael, jego ojciec i dziadek nigdy by nie sprzedali konia ze swojej stajni, gdyby uważali, że nie jest zdrow, a kapitan Hay... - Ted splunął. - Na nic by nie czekał. Gdyby się o tym dowiedział, usunąłby Invadera w jakiś kąt albo nawet całkiem go wyrzucił. - Ted nie wstydząc się zakrył ręką

84  
kawem oczy i przez chwilę nie mógł mówić dalej. -Pan Michael nie powstrzymałby go od tego, myślałem, że u pana Leven...

- Leventine'a.

- Tak. Widzi pan, dwóch chłopców wystarczyłoby do przetransportowania wszystkich tych koni, ale dla Invadera zaangażował mnie specjalnie, więc pomyślałem, że u niego...

- Dark Invader mógłby mieć szansę?

- Tak, sir, ale czy ją ma? Nie mogłem się dobrze połapać w tym, co mówił kapitan, chyba chodziło mu o to, że jeśli Invader zetknąłby się znów ze Streakym, nawet teraz by pamiętał.

- Możliwe, ale go nie zobaczy. - Ani jemu podobnych?

- Ani jemu podobnych. Dopilnujemy tego.

- Więc myśli pan, że on ma szansę mimo tego, co powiedział kapitan Mack.

Zawsze napotykać odmienne zdanie John Quillan stawał się uparty.

- Będzie miał szansę - rzekł.

- W jaki sposób, sir?

- Nie wiem, w jaki sposób, ale... w jakiś będzie miał. Musimy się o to postarać. I cieszę się, że przyjechałeś, Ted - dorzucił.

- Ja także - odpowiedział Ted.

Po kolacji, gdy uciął ostatni maślak, a najmłodsze dziecko zostało nakarmione i Dahlia poszła się położyć,

85

po ostatnim obchodzie stajni John lubił zapalić cygaro - pozwalał sobie na jedno co wieczór - a potem spacerować wśród zrujnowanych tarasów i fontann w przesyconym zapachami ogrodzie i rozważać swoje plany i codzienne problemy. Dziś problemem był Dark Invader.

Oczywiście John widział ten pierwszy bieg w Lingfield. Dark Invader wystartował dobrze - Michael Traherne zapewniał go, że koń startuje chętnie - ale gdy znalazł się na torze, zmusiły go do zwiększenia szybkości kolana ściskające mocno w miejscu niespodziewanym i John wyobraził sobie typowy finisz Bacona: sylwetka jeźdźcy ponaglającego konia z furją, rytmicznie wywijającego batem, na pokaz, w powietrzu, rozpaczliwie pracy naprzód koń i te nogi, kolana, biodra uniesione nad lekkim siodłem, ściskające go jak imadło. To musiało okropnie boleć, „jak cios nożem”, powiedział Mack. Biedny Darkie, myślał John. Prawdopodobnie właśnie to próbowałeś powiedzieć nam, starym, głupim bałwanom. No, wreszcie wiemy, ale co z tym zrobić? Co, u diabła, zrobić, nie mam pojęcia Przygnębiony, odrzucił niedopałek cygara, zawałał psy i skierował się do domu, by pójść do łóżka.

Na werandzie się zatrzymał. Przypomniały mu się zastanawiające, uczciwie wypowiedziane słowa: „Invader nigdy nie sprawiał mi żadnego kłopotu...”, „Był już taki, jak przybył z Irlandii... ale to było, zanim...”. „Nigdy nie sprawiał mi żadnego kłopotu”.

- Ciekawe - mruknął John do Goga i Magoga. - Ciekawe.

8«

- Ted - powiedział John nazajutrz rano; Mullins już na stałe został Tedem - myślałem trochę nad tym. Chciałbym, żebyś mi pokazał, jak jeździsz na Invaderze. Chcesz?

- Czy chcę? - Był to czwarty dzień Invadera w Indiach i w czasie porannych zajęć John kazał przeprowadzić go spokojnie po torze wyścigowym na tor ćwiczebny. - Czy chcę? Myślałem, że już nigdy na niego nie wsiądę - odparł Ted.

Jak większość trenerów, John Quillan zatrzymał własnego dżokeja, młodego chłopaka, z jedną czwartą krwi angielskiej i trzema czwartymi chińskiej, który miał na imię Ah Lee, ale wszyscy nazywali go Ching Ted poznał już tego gibkiego, szczupłego, chętnego chłopca o czarnych, bystrych oczach. John wybrał go spośród grona młodych dżokejów z Singapuru i szkolił powoli.

- Czy pan Ching nie będzie miał nic przeciwko temu? - spytał Ted. - To pierwsza jazda Invadera tutaj.

- Nie, nie. Z przyjemnością popatrzę, może czegoś się nauczy. - Ching był wyraźnie zainteresowany. Stał obok Johna i przyglądał się.

Kiedy Ted usadowił się w siodle, Dark Invader potwierdził to strzygąc uchem.

- Niewiele z nim kłopotu po miesiącu spędzonym na morzu - zauważył John.

- Nie spodziewałem się kłopotu, sir. To najspokojniejszy koń na świecie. No, dalej, bracie - zwrócił

8?

się do Invadera. - Jazda! Najpierw mały kłusik. Spokojnie.

Invader kłusował po obwodzie koła, tak jak mu kazano. Miał tu tyle nowych rzeczy do oglądania: tłustą owieczkę, trzy gęsi, kadzie z grubymi dnami wypełnione końskim nawozem, sępa dziobiącego jakąś padlinę.

Przyglądał się wszystkiemu z uważnie nastawionymi uszami, nie przerywając miarowego klusa. „No, dosyć” - zdawał się mówić Ted zataczając koło i kierując go z powrotem do miejsca, gdzie czekał Sadią. Zsunął się z siodła i poklepał konia po szyi, a Invader węszył niecierpliwie po jego kieszeniach.

- Dziękuję, Ted - rzekł John. - Właśnie o to mi chodziło. Czy zechcesz jeszcze coś dla mnie zrobić? Wsiądź na Snowballa, tego starego siwka, który tam stoi, i objeżdż na nim cały tor wewnętrzny, a chłopak stajenny pojedzie z tobą na tej gniadej klaczy. Ona ma biegać za dwa tygodnie. Snowy nie jest w tej samej klasie, ale brał udział w Mityngu Monsunowym, więc się bardziej nadaje. Pojeżdż z nimi do słupka znaczącego odległość pół mili i wracaj tak szybko, jak zechcesz.

- Szybko! Na Snowym! - zdziwił się Ching.

- Właśnie. Klacz powinna go zaraz wyprzedzić - odrzekł John.

Snowball zapisany był w księdze stadnej jako Arctic Elegance. Pochodził z Australii i był dwunastoletnim wałachem. Jego sierść, niegdyś siwa, zbiałała, zęby pożółkły, a doły nad oczami pogłębiły się jeszcze. Lata harówki w tych samych wyścigach i biegi treningowe

88

sprawiły, że pysk mu stwardniał, a charakter zgorzkniał.

- Nie noszę na nim jeźdźci - powiedział Ching. John przyglądał się uważnie, jak Ted zaczął zataczać wokół nich koła na starym wałachu, dostrzegł, że Snowball próbuje wepchnąć wędzidło za tylne zęby i że mu się to jak zwykle nie udaje.

- Ręce! - powiedział John do Chinga. - Patrz na ręce Mullinsa.

Zobaczyli, że Snowball zaczyna z pewnym zainteresowaniem obracać językiem wędzidło. Po chwili John usłyszał głos Teda:

- Łeb do góry, stary przeżuwaczu. Świat nie jest taki zły. - I zobaczył, że przesuwając palcem po krótko przyciętej grzywie i pociągając nieprzerwanym ruchem sztywne ucho. Snowball otrząsnął się i sprężył.

- Grzeczny konik - pochwalił Ted. - No, pokażemy, co my, starzy, potrafimy.

- Mistrzowska ręka - orzekł John, ale Ching go nie zrozumiał.

Gdy dotarli do słupka znaczącego odległość pół mili, John nacisnął stoper i czekał, aż klacz wyprzedzi Snowballa. Po ujechaniu jednej ósmej mili prowadziła o pół długości, ale nie zdołała zostawić go w tyle i Snowball zakończył bieg galopując równo, z łbem na poziomie poprzęgu klaczy. Stoper wykazał zadowolający czas dla niej i zdumiewający dla Snowballa.

- No, no - rzekł John. - Stary angielski finisz w długich cuglach. Nie sądziłem, że coś takiego zobaczę w tym mieście.

89

Ching był tak zdumiony, że zaniemówił. W końcu spytał z niedowierzaniem:

- Czy to jest styl angielski?

- Był - odparł John. Podeszedł tam, gdzie jeźdźcy przyklusowali, obserwując ze wzrastającym respektem pewną rękę i spokojny oddech Teda. Jeźdźcy zsiadli z koni, a John powtórzył:

- Dziękuję ci, Ted. No, obłaskawiłeś tę starą cha-betę i utrzymałeś go w biegu. Nie próbował nawet uciekać jak zwykle w kierunku szop, gdzie się czyści konie.

- Nie, nakazałem mu co innego - odpowiedział Ted, jakby tak było co dzień, jak to ma w zwyczaju, pomyślał John. - Ja często wiem, co koń zamierza, nim on sam zda sobie z tego sprawę. Człowiek uczy się tego przebywając z końmi.

- To chyba prawda. - Potem spytał wprost: - Jeździłeś z najlepszymi swego czasu, co?

- Tak, sporo - przyznał Ted. - Cztery razy w derbach przed wojną. Choć nigdy nie zająłem lepszego miejsca. Jak teraz sobie przypominam, raz byłem trzeci w Oaks i dwa razy piąty.

- A co robisz teraz, gdy nie oglądasz już świata bezpłatnie? - Szli w kierunku trybun. - Jeździsz dalej?

- Nie... wycofałem się z tego wszystkiego.

John dosłyszał wahanie w jego głosie. Stracił licencję, pomyślał. Ciekawe dlaczego.

- Niewiele zdziałalem po wojnie - mówił dalej Ted. - Nie miało to dla mnie znaczenia. Widzi pan,

90

w czasie epidemii grypy w osiemnastym roku straciłem żonę.

- Przykro md.

- Miała na imię Ella. - John nie wiedział, że Ted rzadko się zwierzał. Nie wymówił ani razu imienia Elli w ciągu tych wszystkich minionych lat. „Nie zamieniłabym mojego Teda na króla Anglii”, mawiała często. Toteż czuł się dzięki niej jak król angielski. Ella to teraz mały pagórek, na którym przyniesione przez niego kwiaty wbił w ziemię deszcz, ale Tedowi wydało się, że znów jest przy nim. Nakłaniał go, żeby mówić, pomyślał.

- Pan Michael zatrudnił mnie ze względu na swego ojca, jak myślę. Samotnemu człowiekowi niewiele potrzeba. Pracowałem więc za dwóch, tak jak wtedy gdy byłem jeszcze chłopakiem stajennym. Muszę przyznać, że popijałem trochę, nawet sporo. A potem przybył z Irlandii Invader. Pamiętam ten dzień. Odtąd ważny był tylko on. Jakoś nigdy nie myślałem, że mógłby zostać sprzedany... Teraz... - Ted rozejrzył się po rozległym Maidanie, ale szybko się opanował. - Mam nadzieję, że dam sobie radę. A pan mówił, sir...?

- "Zaciekawił mnie twój finisz w długich cuglach - odpowiedział John. - Wydaje się, że ta sztuka już zanikła. Dziś chłopcy nie potrafią jechać na koniu, jeśli nie siedzą mu na szyi, i uważają, że źle pracują, jeśli nie odgryzają mu nieomal uszu. To także ciekawe, że nie jeździsz na tak krótkich strzemionach jak większość dżokejów.

- Nic dziwnego. Kiedy byłem chłopcem, jeździło się z wyprostowanymi nogami, trzymając palce w dół. Nie-  
91

bawem zaczęto nas uczyć całkiem inaczej, ale ja nigdy nie stosowałem bardzo krótkich cugli - jak robi Strea-ky - z nogami uniesionymi i zgiętymi jak u żaby.

- Tak. Wydaje mi się, że jeździsz na dłuższych o cztery czy sześć dziurek. - I John znowu powtórzył w zamyśleniu: - Ciekawe.

Ted miał jeszcze dwa tygodnie czasu, zanim jego statek, tym razem o nazwie „Benares”, odpłynie do Anglii.

- Powinieneś zwiedzić trochę Indie - powiedział do niego John. - Mógłbyś spokojnie zrobić wycieczkę, pojechać do Darjeeling i obejrzeć ośnieżone szczyty Everestu.

- Są prześliczne - dodała Dahlia. Byli teraz z Tedem wielkimi przyjaciółmi.

- Trzeba zwiedzić Delhi, Agrę i Taj Mahal - dodał John.

- Są też prześliczne.

- Mógłbyś się przeprawić przez morze i zobaczyć pieczary Ellory i Ajunty, a potem popłynąć do Bombaju.

Ale z całych Indii Ted pragnął oglądać tylko to, co widział tu w stajniach Quillana - drogę prowadzącą na tor wyścigowy, sam tor i „kółka” treningowe.

- No więc co chcesz robić? Ted odchrząknął.

- Jeśli pan pozwoli, może mógłbym tu jeszcze trochę pozostać? Następny statek odpływa za trzy tygod-  
92

nie i sędzę, że panu Michaelowi nie jestem potrzebny, skoro nie ma Invadera. A będąc tutaj... Mam trochę oszczędności, żeby opłacić drogę powrotną.

- To niepotrzebne - rzekł John. - Chciałem, żebyś mi pomógł. Ching nie ma wielkiego doświadczenia Dark Invader musi się zaaklimatyzować. No i jest pan Leventine - dodał po namyśle.

Po powrocie z Europy pan Leventine przyszedł obejrzeć wieczorną defiladę. Było tam już kilku hodowców, którzy się przechadzali, plotkowali i oglądali konie, dając im cukier trzcinowy, marchew, a nawet jabłka.

„Jabłka! Prawdopodobnie z Kulu! Pomyślcie, ile kosztują!” - powiedziała, siostra Ignacja. Hodowcy klepali konie po szyjach i ciągnęli je czule za uszy, rozmawiali ze stajennymi, radzili się często Johna, a czasami Chinga lub Jemadara. W tym czasie nigdy nie było widać Dahlii ani dzieci.

Gog i Magog, siedząc po dwóch stronach schodów prowadzących na werandę, pilnowały, aby żadne inne psy nie ośmieliły się tam wtargnąć. Ayahs kładły spać niemowlęta, starsze dzieci jadły kolację. Od czasu do czasu płacz lub odgłosy dziecięcej bijatyki dobiegały na trawnik, ale istniało prawo, którego trzeba było przestrzegać, bo „Co z oczu, to prawie z myśli”, jak mówił z goryczą John.

Upłynęło trochę czasu, zanim Ted to pojął.

Przyjazd pana Leventine’a różnił się od innych, tak samo jak jego samochód, ogromna Minerva, pomalo-  
93

wana na kolor ciemnoniebieski, z wielkimi mosiężnymi reflektorami i klaksonem w kształcie mosiężnego węża. Kierowca był też w niebieskim garniturze, pod kolor auta, z lśniącoymi guzikami; obok niego siedział służący w turbanie w kształcie hełmu. Miał obowiązek otwierać drzwi i nosić bagaże pana Leventine’a. Sam pan Leventine ubrany był w jasnopopielaty garnitur, ze starannie złożoną białą jedwabną chusteczką w kieszonce na piersi i różową różą w butonierce. Na nogach miał brązowo-białe sznurowane buty, nieuprzejmie nazywane „od Sasa do łasa”, z czego naiwnie nie zdawał sobie sprawy. Kilku innych właścicieli koni/ ubranych przeważnie w golfy, sportowe marynarki i flanelowe spodnie, którzy przy nim wydawali się zakurzeni i brudni, powiedziało, gdy przechodził ciągnąc za sobą smugę silnego zapachu wody kolońskiej: „Dobry wieczór panu”. Większość rozstępowała się przed nim i pogrążała w rozmowie. Tylko lady Mehta uśmiechnęła się i skinęła mu ręką.

- No, Johnny, jak się masz?

Pan Leventine położył Johnowi na ramieniu rękę ozdobioną pierścieniem z brylantem. Oszczędził mu też odpowiedzi: „A ty, Cas?”, jak według niego powinna ona brzmieć, podnieconym głosem ciągnąc bez przerwy:

- Gdzie one są? - Przyjechał nie po to, żeby spotkać się z ludźmi, tylko żeby popatrzeć na konie. - Gdzie on jest?

- Dark Invader?

94

- Oczywiście.

John przedstawił Teda, który został obdarowany krótkim skinieniem głowy. Nie widział on nic niezwykłego w panu Leventine’ie.

„Wystrojony - przyznałby Ted - ale to chyba naturalne. Jest cudzoziemcem i ma odmienne zwyczaje. Przypuszczam, że jest bardzo bogaty, prawdopodobnie sam nie wie, jak bogaty, ale nawet w połowie nie popisuje się tak jak kapitan Hay. Mówi głośno, bo interesuje go to, o czym mówi”. Ted podążał za panem Le-ventine'em, który szedł wzdłuż boksów - jego konie zostały zatrzymane w stajni z powodu tej wizyty - i rozprawiał o każdym koniu z Johnem. Doszli w końcu do Invadera, który zarżał na widok Teda.

- Ach! - powiedział pan Leventine i stał dalej w milczeniu. Ted zauważył, że oczy Sadika, który ukłonił mu się z szacunkiem, rozblęły na jego widok.

- Ach - powtórzył pan Leventine. - Pytałeś mnie, dlaczego go kupiłem - wyrzekł nabożnym tonem. - No, popatrz, Johnny, popatrz! - Mówił tak głośno, jakby się zwracał do tłumów zgromadzonych na stadionie. - Popatrz tylko na niego. Stworzony do wielkich otwartych wyścigów. - Zniżył głos. - Domyślam się, co się stało. Jego właściciel, ten kapitan Hay, to na pewno człowiek młody, z ambicjami na wielkie wygrane, nie interesujący się niczym innym. Wypróbowali Invadera, pewni, że wygra po raz pierwszy jako dwulatek, zyskali szansę i zaangażowali słynnego Toma Bacona, by na nim pojechał. Młody koń był nie-

95

doświadczony. Został w tyle o sześć długości, ale Bacon dostał rozkaz, więc się do niego zabrał i doprowadził go do mety.

- Tak właśnie było - szepnął Ted.

- Od tej pory żretek nie ujechał ani jarda. Dlaczego? Jest odpowiednio hodowany, wygląda dobrze i rusza się jak trzeba.

- Proszę, proszę - szeptał Ted.

- Ale nie wszystko jest, jak trzeba - rzekł spokojnie John.

- No to zbadajcie, dlaczego tak jest - rozkazał pan Leventine. Zniżył głos jeszcze bardziej. - Czy nie rozumiesz, John, że mamy teraz szansę. Zapis jego karie -ry jest tak okropny, że umieszczą go w klasie czwartej z mnóstwem australijskich i angielskich łachów, więc jeśli będziemy się z nim obchodzili ostrożnie, już nigdy nie powtórzy takiego nieudanego wyścigu.

- Dopóki nie wróci do swojej klasy.

Pan Leventine obrzucił trenera długim znaczącym spojrzeniem.

- On jest klasą sam w sobie - rzekł.

- Ja mówię to samo - odważył się nagle odezwać Ted, a pan Leventine odwrócił się i spytał:

- Johnny mówił, że nazywacie się...

- Ted Mullins, sir.

- A, pamiętam. Stajenny Invadera. - Ted zauważył, że nie nazwał konia Darkie. - Ten, który przyjechał tu razem z nim.

- Tak, i dziękuję za to, sir - powiedział Ted.

96

Te nieoczekiwane dobre maniery - „Ella mnie tak wyuczyła” - uderzyły nawet pana Leventine'a. Popatrzył uważniej na Teda tym samym twardym wzrokiem, jakim obrzucił Johna, a potem powziął „jedną z szybkich i zwykle nieodwołalnych decyzji Leventi-ne'a”, jak nazywał je John.

- Johnny - powiedział - ten człowiek musi zostać przy koniu.

- Zostać?

- Tak, właśnie - odrzekł pan Leventine.

- Ależ on pracuje u Michaela Traherne'a - zaczął John - i może Traherne nie zechce go odstąpić...

- Traherne - wszechmocny dla Teda Michael został zbagatelizowany machnięciem ręki. - Ustal z nimi warunki, przyjmij, jakie zechcą, ale ten człowiek musi zostać.

Wbrew swojemu zwyczajowi, bo mie znośił wstawać wcześniej, pan Leventine zaczął przychodzić na ranne treningi, otulony w płaszcz z wielbłądziej sierści, z kaszmirowym szalikiem na szyi. Jego lokaj, kierowca samochodu, tragarz, „czy jak go tam nazwać”, mówił John, stał za nim trzymając laskę, dwie piękne lornetki i hełm - na wypadek, gdyby słońce przygrzało zbyt mocno. Pan Leventine z Johnem przyglądali się, jak wyjeżdżają kolejno: Ching na wybranych koniach, chłopcy stajenni na innych, a Ted na Invaderze.

Scena wyglądała zawsze tak samo: każdy trener miał swoje „kółko”, po którym krążyli stajenni i chłopcy na 7 - Fuks na torze

97

koniach, a pośrodku leżał stos koców i siodeł. Jemadar wybierał konie dla grupy czekających jeźdźców.

John Przyglądał się z uwagą, to zatroskany, to znów zadowolony. Niekiedy sam dosiadał Matyldy, by przejechać kawałek po obwodzie. Czasem szedł pieszo, ale zawsze w towarzystwie nie odstępujących go, choć nigdy nie skłócających spokoju, Goga i Magoga, których żółtawe łapy i boki były mokre i ciemne od rosy.

Po skończonym treningu, gdy stajenni i chłopcy odprowadzali konie do domu, większość trenerów, właściciele koni i dżokeje wchodzili na trybuny, aby napić się kawy i porozmawiać. John tego unikał, jechał

na Matyldzie wprost do stajni. Co innego pan Leventine. Żądał swoich praw, rozprawiał o koniach; codzienne dyskusje należały do zwyczaju.

Znad filiżanki kawy spytał nagle:

-- Dlaczego ten mały nie jeździ u Micky'ego?

Po raz pierwszy John usłyszał, że ktoś nazwał Michaela Traherne'a „Mickym”. Opowiedział panu Leventine'owi, jak Ted pojechał na Snowballu. Pan Leventine mruknął tylko: „Hm”, ale przyjrzał się Tedowi uważnie i orzekł stanowczym tonem:

- To dżokej.

- Tak. Przed wojną nawet znany. -- Więc dlaczego już nie jeździ?

-- Stracił licencję.

- Mam nadzieję, że nie wplątał się w jakieś brudne sprawy. - Małe brunatne oczka spojrzały ostro.

-\*- Nie pracowałby u Traherne'a, gdyby tak było - odrzekł John. - Chodziło tam o niedozwolony doping.

98

Mullins oczywiście nic o tym nie wiedział, ale, jak panu wiadomo, gdy raz machina pójdzie w ruch, wszystko, nawet kot stajenny, wydaje się podejrzanym i zaczynają się indagacje. Biedny Ted!

- Hm - mruknął pan Leventine.

- Napije się pan jeszcze kawy? - John powtórzył pytanie, lecz pan Leventine nie odpowiedział ani „tak”, ani „nie”. Skinął na swego służącego i odjechał.

Wieczorami, po wizycie w stajniach, pan Leventine lubił grać w bilard w Klubie Wyścigowym. Królewski Klub Wyścigowy w Kalkucie był jedynym klubem, który przyjął go na członka. Kryteria klubowe nie obejmowały koloru skóry, rasy czy klasy społecznej, tylko prawdziwe zainteresowanie wyścigami i absolutną uczciwość.

Tego nikt nie mógł zakwestionować u Casimira Alarica Bruce'a Leventine'a. Był niezmiernie dumny ze swego członkostwa; lubił rozległy, pełen kwiatów park klubowy, przestronne sale, poważne portrety nieżyjących już prezesów i podziwiał innych członków, z których większością nie mógłby się zaprzyjaźnić, gdyby nie wyścigi i partie bilardu. Tego właśnie wieczoru szczęśliwym trafem w rozgrywce bilardowej miał za przeciwnika prezesa klubu, sędziego Sądu Najwyższego, sir Humphreya Hyde'a, „jednego z potentatów w kalkuckim świecie wyścigowym”, jak mawiał John Quillan.

Gra była zacięta i choć pan Leventine był dobrym graczem, znanym z biegłości, przegrał z małą różnicą. Sir Humphrey, który lubił wygrywać, był ubawiony sprytem, z jakim pan Leventine do tego dopuścił.

99

- Ciekaw byłem, czego facet chciał - powiedział później do kolegi klubowego. - Jakiej przysługi od Rady? Chyba nie, jest na to za sprytny i zbyt dobrze ustawiony. Może chodziło o wyścigi? Prawdopodobnie.

Podejrzewam, że chce zostać gospodarzem toru. Może za rok czy dwa, czemu nie?

Ale, przynajmniej na razie, nie taki był zamiar pana Leventine'a.

- Mam nowego konia - powiedział.

- Kilka koni - odrzekł sędzia. - Obejrzałem te nowe, które pan ostatnio zarejestrował. Jeden mnie zastanowił. Dark Invader, czy to ten?

Pan Leventine skinął głową.

- To koń w lepszym stylu, niż tu zwykle oglądamy - mówił sir Humphrey. - Hinduskie stawki na wyścigach rzadko uzasadniają cenę, jaką trzeba było za konia zapłacić.

- Kupiłem go tanio -• odpowiedział pan Leventine. - Jako dwulatek znarowił się w trudnej gonitwie. Mam nadzieję, że zmieni zwyczaje.

- Takie hultaje z reguły nie zmieniają zwyczajów. -• Może zwyczajów nie zmieni, ale hultajem nie jest. Poza tym...

- Poza tym?

- Nie lubię patrzeć, jak takiego pięknego konia z takim dobrym pochodzeniem wyrzucają na śmietnik.

Zacny facet z pana, Leventine. Sędzia nie wypowiedział tych słów głośno, ale wyraziło je pełne aprobaty spojrzenie. Po raz pierwszy w dziejach klubu poklepał Leventine'a po ramieniu.

100

-- Życzę panu szczęścia z nim - powiedział.

- Dziękuję, sir - odrzekł pan Leventine z odzieniem pewnego szacunku. - Spodziewam się, że będzie mi potrzebne. - Tego wieczora nie powiedział nic więcej.

Ted dostosował się szybko i łatwo do życia w stajniach Quillana i ku własnemu zdziwieniu do życia w Scattergold Hall w ogóle. John zaproponował, żeby się przeniósł z pensjonatu do jednopokojowej przybudówki, jednej z wielu w jego domu. Ted wyzbył się skrupułów, gdy John zgodził się, by płacił za mieszkanie i wyżywienie z pensji, którą dawał mu pan Leventine, a która wydała się Tedowi ogromna. Michael nie miał nic przeciwko temu, żeby pozostał w Indiach. „Nie wyobrażam sobie nic lepszego dla Teda”, powiedział Annet-te - więc nie było mowy o żadnej nielojalności. Ted lubił swój pokój z kamienną podłogą; okna i otwory wejściowe bez szyb, jedynie z żaluzjami i wejściem głównym, w dzień zawieszonym zasłonami. Umebłowanie było tak proste, że jego skromny dobytek nie wydawał się zbyt nędzny, były jednak

urządzenia, których Ted nie miał nigdy przedtem: własna łazienka i własna weranda, na której stały trzcinowe krzesła i stół. Na skraju werandy ogrodnicy umieścili doniczki fiołków i goździków.

- Nie sądziłem, że w Indiach rosną fiołki. Danyal troszczył się o ubranie Teda, słał mu łóżko i sprzątał pokój.

101

- Nie powinieneś dawać mu żadnych poleceń związanych z dotykiem pokarmów - powiedział John. - Przepisy jego kasty na to nie zezwalają.

Posiłki z kuchni przynosił Tedowi muzułmanin Ah-med. Zamiatacz Khokhil, przystojny, wysoki Hindus, „nietykalny”, czyli należący do najniższej kasty, zamiatał podłogi i sprzątał łazienkę, „z wyjątkiem miednicy i szklanek do zębów i do picia - powiedział - John - tych nie wolno mu tknąć. To domena Danya-la”.

Inną dozwoloną funkcją Khokhila była opieka nad psami; był taki dumny z Goga i Magoga jak Ted z In-vadera. Ale nietykalny! Ted wzdygał się na myśl o tym. Wszystko to wydawało mu się postawione na głowie. Co powiedziałaaby Ella? Niekiedy odczuwał zakłopotanie. Ahmed chciał stać za jego krzesłem podczas posiłków, lecz Ted ubłagał Johna, aby polecił mu zostawiać półmiski i odchodzić. John spełnił jego prośbę, ale powiedział:

- Będziesz się musiał do tego przyzwyczaić, Ted. To pewien rodzaj szacunku - nie wobec nas, lecz z naszej strony. To znaczy, że uznajemy ich zwyczaje.

Ted poczuł się swobodniejszy - był przyzwyczajony okazywać szacunek, a nie doznawać go - i niebawem wszedł w rutynę, nieomal w rytm dnia. Zaczynał się on o świcie tacą z herbatą, tostami z masłem i bananami, którą przynosił Ahmed. Zdawało się, że pracuje on bez chwili przerwy i nigdy, jak się dowiedział Ted, nie miał dnia wolnego czy urlopu. Potem jazda na tor - Dark Invader szedł ostatni jak w Dilbury -

102

i poranny trening, starannie regulowany przez Johna. Długie godziny chodzenia stępa lub kłusa w doświadczonych rękach Teda. Potem spokojny powrotny spacer, a następnie Ted musiał siłą rzeczy pilnować Sa dika i Alego, którzy czyścili konie i dawali im ranną paszę.

- Skoro pan Leventine mi płaci, czy nie mógłbym sam tego robić, sir?

- To moje stajnie i moi stajenni - przypomniał mu John.

- Przepraszam, sir.

- Poza tym nie ma takiego zwyczaju - dodał John łagodnie. - A w Indiach przestrzegamy tutejszych zwyczajów.

Po śniadaniu, angielskim, następowało czyszczenie siodła, uzd, cugli, pułsisk; strzemiona, wędzidła i bity musiały być wyłożone do przeglądu. W tym czasie przychodził także kapitan Mack; wzywano go z naj-blaższego powodu.

- Nie ryzykujemy z cudzymi końmi - mówił John. O drugiej, kiedy rozdano południową paszę i ludzie z kolei zabrali się do jedzenia i picia, dla koni i stajennych nastawał spokój. Stajenni zasypiali na swoich składanych łóżkach, konie w boksach. W stajniach słyszano się wtedy jedynie ludzkie chrapanie, tupnięcie kopytem lub machnięcie ogonem dla odpędzenia much - konie przykryte były lekkimi siatkami, które zakrywały nawet szyje i głowy. Czasem zakrakała leniwie wrona, zagęgała gęś lub zakwakała kaczka, kura grzebała w ziemi, ale koty leżały zwinięte w kłębek na

103

krzesłach na werandzie, a dogi rozciągnięte na podłodze. Spał również John, tak sarno jak Dahlia, niemowlęta, nawet starsze dzieci, choć nie tak długo jak służba. Odźwierny udawał się na drzemkę do swojej komórki przy bramie, „na całe dwie godziny”, dziwił się Ted.

Początkowo próbował nie zasypiać - „spać po południu!” - ale i jego ogarniało powoli ogólne lenistwo, a może był to skutek jedzenia ryżu z curry, które zaczął lubić, a które Dahlia dysponowała codziennie. Budził go dopiero brzęk porcelany, gdy Ahmed przynosił znów herbatę. Ted słyszał też nawoływanie Jemadara w stajniach i rzenie koni, które mu odpowiadały. Była już pora zabrać się do dalszej pracy. Czasem wracał na godzinę na tor, czasem trenował konie na placu treningowym. Potem następowały wieczorne obrządki. Dark Invader polubił ten kraj, jakby w jakimś poprzednim wcieleniu już tu przebywał. Nie reagował na paskudne wrony, które siadały na barierach otwartego boksu i kradły mu paszę. Dmuchał z uznaniem na ogromnego tryka, który mieszkał na podwórzu, i zaprzyjaźnił się serdecznie z dziećmi; przyjmował od nich kradziony cukier i słodycze z bazaru: lepkie cukrowe kółka ociekające słodyczą, lody kokosowe lub grube białe toffi. Nade wszystko jednak cenił sobie uznanie.

- Musiał być kiedyś maharadzą - mówił John. - Paszą wśród niewolników.

Jego mięśnie nabrały tężyzny, sierść połysku. Apetyt miał wspaniały.

Fakt, że koszt paszy Invadera trzykrotnie przekra-

104

czał pensję Sadika, a czterokrotnie wynagrodzenie Ale-go, nie trapił tych dwóch zupełnie. Z racji tego zajęcia powodziło im się dobrze i mieli zapewnioną stałą i zaszczytną pracę u Quillana, gdzie każdy z nich dostawał koc, gruby płaszcz z serży, brązowy wełniany sweter na zimę i dwie bawełniane koszule na lato i

mógł nosić przylegającą do głowy czapkę w kształcie stożka, owiniętą miękkim turbanem, jasnobrązową - taki bowiem kolor miała stajnia Quillana. Sadią mieszkał i spał na werandzie przed boksem swego konia. Dwa razy dziennie przekazywał to miejsce na godzinę Alemu, gdy sam szedł przygotować sobie posiłek, a pięć razy dziennie zwracał twarz w kierunku Mekki i jako dobry muzułmanin odprawiał szeptem modły stojąc, pochylając się, klękając i dotykając czołem ziemi. Po powrocie Sadika to samo robił Ali.

Sadią był szczęśliwy, ale: „Osiemnaście rupii miesięcznie - wybuchnął Ted. - To mniej niż siedem szylingów tygodniowo!”

Sadikowi to wystarczało. Żywność kosztowała sześć rupii i dwanaście annas miesięcznie, tak że dziesięć, a czasami jedenaście rupii wysyłał przekazem pocztowym rodzinie; raz w roku brał miesiąc urlopu i wyjeżdżał do Bihar, by odwiedzić krewnych.

- Dziwne - mówił Ted próbując wyobrazić sobie siebie rozdzielonego z Ellą przez jedenaście miesięcy w roku. I co więcej Sadią potrafił oznajmić:

- Myślę, że w tym roku nie pojedę.

- Musisz. A żona, dzieci...

105

- Nie pojedę - powtórzył Sadią i pogładził grzywę Invadera. - Zostanę z nim.

Współdziałanie tej dwójki - konieczne, musiał przyznać Ted - było całkowite. Koń pochylał duży, piękny łeb, gdy Sadią go czyścił, gdy zakładał mu kantar lub uzdę. Nigdy nie był tak ufny i uległy. Kiedy dosiadał go Ted, Sadią był zawsze w pobliżu, a cudowny hart molesh zaczął sprawiać, że czułe, bolesne, budzące strach miejsce na skórze jakby znikło.

„To graniczy z cudem” - pisał Ted do Michaela Traherne'a.

- Ale on jeszcze nie biegał na torze - powiedział John.

Rozdział czwarty

Przez cztery miesiące w roku bengalska pora chłódów, czyli zima, jest okresem spokoju „dla tych, co mają ciepłą odzież”, mówiła siostra Ignacja. Na przełomie listopada i grudnia, gdy trenowana „stawka” schodziła rankiem w dół, mgła owijała się wokół nóg końskich i zalegała tak gęstą warstwą nad Maidanem że John miał trudności w śledzeniu przez lornetkę ich drogi. Gdy konie kończyły wieczorną defiladę, zapadał już krótki indyjski zmierzch, zwany przez Bengalczyków „porą krowiego kurzu” - bo wtedy pędzono do domu bydło. Niemal w jednej chwili światło dnia gasło i zapadała noc, a wzdłuż boksów zapalano latarnie. Choć stajnie były zelektryfikowane, stajenni potrzebowali latarni, by obejrzeć kopyta i sprawdzić, ile paszy ubyło lub pozostało w pojemnikach. Konie okrywano ciepłymi kocami i podrzucano im ściółkę na noc John wydał dla ludzi dodatkowe koce.

Posłał też długi ciepły płaszcz do klasztoru dla Gu~laba.

- Daliśmy naszym stajennym nowe, więc pomyślałem, że ten może się siostronom przydać.

Posłał także derkę dla Salomona.

107

„Nie ma za co dziękować. Jest połatana” - napisał.

„Połatana czy cała - to dar z nieba” - odpisała Matka Morąg.

Siostry nakładały długie czarne płaszcze z kapturami, uszyte z grubego francuskiego sukna, gdy wyjeżdżały na „zbiórkę”, a także na czas porannych modłów i na mszę.

- Nie lubię zakładać tego płaszcza - powiedziała siostra Mary Fanny - kiedy myślę o tysiącach...

- Nic im nie pomożesz tym, że sama dostaniesz bronchitu - odrzekła siostra Ignacja, a Matka Morąg wtrąciła:

- Chcąc pomagać ludziom, musi siostra zachowywać się rozsądnie - ale wiedziała aż za dobrze, jak mało chroni przed zimnem bawełniana koszula, cienkie muślinowe sari czy dziecienny kaftanik, ledwie zakrywający pępek, i zastanawiała się, co najgorsze „dla najbiedniejszych z biednych” - upał, powódzie i wilgoć w czasie pory deszczowej czy chłód? Dla większości przynajmniej słońce nie było już wrogiem. I ludzie, i zwierzęta mogli wygrzewać się w jego promieniach, w południu i po południu; złocisty, łagodny blask uwydatniał wszystkie barwy od szkarłatu i złota mundurów straży przybocznej wicekróla do subtelnych odcieni importowanych z Anglii roślin, kwitnących w ogrodach - według oceny klasztoru i miejscowych Hindusów - bogaczy.

- Nigdy nie myślałem, że zobaczę w Indiach gro-

108

szek pachnący - powiedział Ted, powtarzając swoją uwagę o fiołkach.

Była to pora rozkwitu przeróżnych kwiatów. W dzielnicy chińskiej sprzedawano narcyzy w porcelanowych misach wypełnionych żwirem i drobnymi kamyczkami. W ogrodach pełnych róż, petunii i goździków kwitły ponadto rośliny tropikalne, którymi Ted się zachwycił, a także białe i różowe pnącza, opadające fe-stonami z murów i bram. Na trawniku przed stajniami drzewa czerwonego jaśminu okryte były dziwacznymi

kwiatami, których grube płatki, wyrastające bez liści wprost z nagich, gęstych gałązek, wyglądały jak wyrzeźbione. Ted nigdy nie spotkał się z tak ciężkim duszącym zapachem.

Nie znany mu sezon kalkucki był w pełni. Choć Kalkuta nie była już stolicą Indii, miasto miało nadal duże znaczenie i swojego gubernatora, gubernatora Bengalu. W grudniu lub w początkach stycznia przybywał z Delhi wicekról i wtedy otwierano położony w parku piękny stary pałac ze wspaniałymi marmurowymi tarasami, kręconymi schodami, paradnymi salami. W czasie uroczystości państwowych obie dostojne pary jechały landami zaprzężonymi w cztery konie, z forysiami i eskortą straży przybocznej. Drogi wysypane były piaskiem, aby konie nie ślizgały się po smołowanej powierzchni, i wspaniałe ekwipaże toczyły się prawie bezszelestnie, pozostawiając wspomnienie świetnych mundurów, połyskującego metalu i chmurę kurau, który co roku przynosił „kalkucką” epidemię zapalenia gardła.

W tym czasie odbywały się najważniejsze wyścigi,

109

łącznie z wyścigiem o Puchar Wicekróla w dniu świętego Szczepana. Rozgrywano ogólnokrajowe zawody w polo i mistrzostwa w golfie, odbywały się bale w belwederze i w pałacu gubernatora; zaproszenia współzawodniczyły ze sobą. Były i bale prywatne: Bal Dwudziestu Jeden, wydawany przez dwudziestu jeden obiecujących kalkuckich kawalerów. I jeszcze bardziej ekskluzywny bal seniorów, czyli Burra-Sahiba. O te zaproszenia nie można się było ubiegać - albo się je dostawało, albo nie.

Był to gorący czas dla niektórych. Żony i córki przyjeżdżały z Anglii, Szkocji, z Europy i z uzdrowisk górskich. Wydobywano angielskie garnitury i materiały na suknie ze szczelnych blaszanych pjudeł, gdzie w okresie pory deszczowej przechowywano je dla zabezpieczenia przed białymi mrówkami i pleśnią, choć wywieszane na słońce ubrania, smokingi i fraki wydzielaly nadal zapach naftaliny.

W poranki niedzielne po jazdach wydawano obiady i lunchy. Często na jeden wdeczór przypadało po cztery lub pięć przyjęć.

Johna interesowały jedynie wyścigi. Nie potrafił się zmusić do oglądania gry w pokę.

- Przyglądaj się! Powinieneś grać w polo, na litość boską! - namawiał go Bunny.

John nie odpowiedział.

~ Byłbyś tam mile przyjęty, John.

Bunny patrzył w twarz przyjaciela.

- Nie, dziękuję, Bunny. Bunny westchnął.

110

Matkę Morąg interesował ożywiony sezon, bo wtedy pojemniki wracały wypełnione po brzegi. Siostry musiały nawet zabierać ze sobą dodatkowe, gdyż restauracje i hotele były zatłoczone.

- Oczywiście to dobrze, nasi podopieczni potrzebuja zjeść więcej w porze chłodu - mówiła, ale martwiła się, że dodatkowy ładunek może przekraczać siły Salomona.

Ted i Dark Invader nie przejmowali się niczym. Pozostawali w swoim świecie stajni, toru wyścigowego i toru treningowego na skraju Lower Circular Road, która biegła między tymi dwoma torami. Nie przestawali z tubylcami poza Sadikiem, Alim, Ahmedem i Khokhilem, którzy spełniali ich życzenia. Ted nadal uparcie mówił: „pan Saddick”, „pan Ally”, „pan Ar--med”, „pan Cockle”. Był niezmiennie uprzejmy dla „pana Chinga” i „sir Jemadara”, jak również dla chłopców objeżdżających konie. Tylko raz Dahlia skusiła go do wypadu na miasto. Kupił wtedy gazowy szal hinduski ze złotym wzorem dla Annette Traherne i sztukę jedwabnego materiału na letnią marynarkę dla Michaela. Były to prezenty gwiazdkowe, które posłał do Anglii przez jednego z chłopców, wracającego statkiem.

- Ted o nikim nie zapomina - powiedział John.

- Co się stało z dziećmi? - spytała Johna Matka Morąg, kiedy jak zazwyczaj w niedzielne rano przyprowadził rodzinę na mszę. - Co się z nimi stało?

U!

- To zasługa tego małego Anglika Teda Mullinsa - odpowiedział John.

Matka Morąg od razu dojrzała ze swego okna In-vadera i zauważyła, że jedzie na nim biały niewielkiego wzrostu. Zauważyła też, że w przeciwieństwie do chłopaków stajennych siedzi nieruchomo w siodle i panuje nad ogromnym koniem, kiedy ten nastawia ciekawie uszu lub próbuje zbaczać z drogi czy wyłamywać się z szeregu. Przypomniawszy to sobie teraz, powiedziała:

- Co się udaje ze zwierzętami, udaje się też z dziećmi.

Teda zgorszyło zachowanie dzieci. Nie mógł się powstrzymać, by nie powiedzieć Johnowi:

- Nigdy bym na to nie pozwolił.

- Wiem. - John wydawał się bezradny. I smutny, pomyślał Ted. - Chyba nikt nie zdoła ich ujarzmić. Pani Quillan cudownie radzi sobie z niemowlętami, ale...

Ted chrząknął.

- Wobec tego, że dzięki pomocy pana Saddicka i pana Ally mam tak mało roboty z koniem...

- Chciałbyś spróbować ręki na moich małpoludkach?



- Moja żona była nauczycielką, sir, przerastała mnie pod każdym względem. Dużo się od niej nauczyłem. Więc... gdyby państwo nie mieli nic przeciwko temu...

- Przeciwno temu! Bylibyśmy ci nieskończenie wdzięczni, ale wątpię, czy zdołasz ich choćby połapać. Ted nie powiedział, że już je trzyma w garści.

112

Najpierw przyciągnął dzieci Dark Invader.

- Nigdy nie mieliśmy takiego konia.

Ted zwrócił uwagę na formę: „nie mieliśmy”. Od czasu do czasu wsadzał na grzbiet Invadera jednego z malców, ale był to przywilej, a on wiedział, jak rozdzielać przywileje. Potem przyszła rywalizacja w umiejętnościach jeździeckich. Naśladowali szacunek ojca dla Teda, a on obserwował, jak się ćwiczyli w jeździe konnej.

Z pewnością znają się na rzeczy, ale dość z końmi!

- Macie już dziewięć i dziesięć lat i nie umiecie tabliczki mnożenia! Masz siedem lat i nie znasz alfabetu! Hańba!

Tak jak było z Invaderem i niezliczonymi innymi końmi, im był dla nich surowszy, tym bardziej go u-wielbiali.

- Wstańcie i zaczynamy: dwa razy pięć - dziesięć. Trzy razy pięć - piętnaście. „Kot, koń, lis”... Dalej. To potraficie przeczytać bez trudu.

- Jesteś pewien, że nie przychodzą po orzechy i ba-,nany? - spytał John.

- Orzechy i banany? - prychnął pogardliwie Ted. - To mieli do tej pory. - I: - Wstańcie! Stójcie spokojnie.

Masz tu chusteczkę. Wycieraj nos w chustkę, a nie w palce. To obrzydliwe!

Punkt kulminacyjny nastąpił pewnego niedzielnego ranka, kiedy Ted spotkał Dahlię na podjeździe, ubraną w liny kostium, pończochy, pantofle na wysokich obcasach i kapelusz. Miała torebkę, parasolkę i rękawiczki - Fuks na torze

na

ki, a towarzyszyły jej dzieci, ubrane jak zwykle po swojemu.

- Dokąd pani idzie?

- Do kościoła. - Dahlia uśmiechnęła się swoim promiennym uśmiechem. - Zabieram ze sobą dzieci.

- Dzieci w takim stanie! - Przyszyły mu na myśl dawne wspomnienia ze szkoły niedzielnej: czyste kołnierzyki, wyszorowane uszy, obejrzone paznokcie. Był oburzony. - Do kościoła w takim stanie!

- Ja naprawdę się staram - jęknęła Dahlia. - Wyłożyłam ubranka. Czyste koszule, spodnie i sukienki. Mają wszystko, mój Boże, i czyste skarpetki, i buciki, ale nie chcą.

- Nie chcą!

Dla Teda sprawa ta była o wiele ważniejsza niż szacunek należny Johnowi i Dahlii jako jego zwierzchnikom, a Johnowi dodatkowo jako doświadczonemu trenerowi. Co zrobiłaby w tym przypadku Ella?

- Daję wam dziesięć minut - zwrócił się do dzieci. - Umyć buzie, ręce i kolana, wyczyścić paznokcie.

Uczesać się. Przebrać się w czyste ubrania. Czyści i schludni wróćcie tutaj gotowi. Mówię poważnie: gotowi - przykazał Ted.

John zabrał Teda na wyścigi. Ze stajni Quillana biegało w tym sezonie ponad trzydzieści koni.

- Jestem tu, żeby coś zrobić - powiedział John. - Nie jak jedna z twoich wyczesanych małp.

114

Ted pomyślał, że określenie „wyczesany” jest bardzo ładne.

- Jak na torze w Ascot - odrzekł, ale poczuł ukłucie w sercu. Kiedy Dark Invader tu wygra, a Ted był tego pewny, to Sadią będzie go oprowadzał po padoku, Sadią będzie przy nim, gdy pan Leventine z nim wyjdzie. On, Ted, nie będzie miał w tym żadnego udziału, będzie się tylko przypatrywał, jak przypatruje się teraz.

John nie wychodził z padoków, z szop, gdzie masowano i czesano konie, i z rezerwowej trybuny, którą odwiedzali trenerzy i dżokeje. Nie przyjmował zaproszeń na mrożoną kawę czy herbatę. Miał powody do złego humoru: Flashlight, koń lady Mehty, który miał biegać w wyścigu o Puchar Wicekróla, nie zajął żadnego miejsca.

- Nie ma co się przejmować, Johnny - powiedział pan Leventine.

- Ja się przejmuję - odrzekł krótko John. - Także ze względu na lady Mehtę.

- Nie powinna była kupować tego konia. - Pan Leventine zdawał się pławić w jakichś skrytych podniecających myślach. Nie potrzebował wydobywać garniturów ze szczelnych skrzyń, podróżowały z nim do Europy albo kupował nowe. Wyglądał nienagannie, ubrany jak zwykle jasnopopielato od stóp do głów.

- Jak jeden ze słoni występujących na naszych uroczystościach - powiedział Bunny. - Brak mu tylko jakichś ozdób i chwostów.

Panu Leventine'owi niepotrzebne były ozdobne chwosty. Zadowalał się całkowicie różą w butonierce.

115

Zjawiał się co rano mimo mgły. Minerva zostawała przy trybunach, skąd kroczył - „właśnie kroczył!” - jak mówił John, by się do niego przyłączyć, a potem stał, z lornetką skierowaną na kłusującego Invadera i na punkcik na jego grzbiecie - Teda.

Pan Leventine umówił się z sir Humphreym w jego gabinecie. Sir Humphrey nie zdziwił się wcale. „Domyślałem się, że on czegoś chce”. Teraz, pochylony, wsparty łokciami na biurku, złączywszy czubki palców, jak zmanierowany sędzia, spytał:

- No i co?

Pokój, z zaśmieconym biurkiem, z szafami wypełnionymi ciężkimi, oprawnymi w skórę tomami, miał surowy wygląd nie biura, lecz gabinetu w szczególnie uczonym stylu. Toteż na panu Leventine wywarł wrażenie.

- To uprzejmie ze strony pana sędziego, że zechciał mnie przyjąć - zaczął.

- Bardzo mi miło. Jestem tu po to, by przyjmować ludzi. - I dorzucił łaskawie: - Proszę mówić do mnie sir Humphrey. - A potem: - Sądzę, że pan nie przyszedł po poradę prawną.

- Nie... sir Humphrey. To sprawa związana z wyścigami. Chodzi o dżokeja, który tu przyjechał, nazywa się Mullins. O ile wiem, jeździł dużo w Anglii, ale stracił licencję, więc się zastanawiam, czy nie byłoby moż-

liwe dowiedzieć się dyskretnie, jak do tego doszło - słyszałem, że zachowywał się nienagannie - i czy są

116

jakieś przeszkody, które by mu wzbraniały jeździć tutaj?

- Nie widzę problemu - odpowiedział sir Humphrey. - Jeden ze stypendystów Klubu Dżokejów to mój dawny znajomy. Mogłbym wysłać do niego telegram, ale niech mi pan coś powie o tym człowieku. Nazywa się Mullins, tak? Co jest w nim takiego szczególnego?

- Pamięta pan tego nowego konia, o którym onegdaj rozmawialiśmy w klubie? Mullins przybył tu statkiem z końmi. Mówi, że zajmował się Invaderem w Lingfield i w czasie innych wyścigów.

- A, Dark Invader, ten koń pełnej krwi z lekko wątpliwą przeszłością na torze.

- Mullins zaklina się, że koń jest w gruncie rzeczy zupełnie czysty. Trzeba tylko jeździć na nim w taki sposób, żeby go nie przestraszyć.

Zaległo milczenie. Sir Humphrey wyraźnie szukał w kartotekach swej wyćwiczonej prawniczo pamięci.

Potem rzekł:

- Diamond Jubilee. Zajmujący się nim chłopak jechał na nim we wszystkich gonitwach.

- Właśnie. - Pan Leventine wyraźnie się rozpromienił. - Diamond Jubilee, królewski koń. Nie chciał za nic pozwolić, by go dosiadł ten czołowy dżokej Mor-nington Cannon. Poturbował go nawet, ale kiedy wsiadł na niego chłopak Jonas, wygrał wszystkie wyścigi. Dwa Tysiące, St. Leger, Derby, wszystkie.

- Zdaje mi się, że pamiętam Mullinsa. Ted Mullins, prawda? - Sir Humphrey odchylił się do tyłu w fo-

117

telu obrotowym. - Jeśli ten pana Mullins i ten mój to ten sam człowiek, zawdzięczam mu niezłe wygrane.

Często jako młody adwokat stawiałem na niego, choć trudno było wtedy o „łatwego szylinga”.

Pan Leventine uśmiechnął się z powątpiewaniem. Nie miał pojęcia, co to jest łatwy szyling, ale zdawało się, że sir Humphrey jest życzliwie usposobiony. Uznał jednak za konieczne położyć jeszcze nacisk na tę sprawę.

- Ważna rzecz, sir, to jak sądzą, dowiedzieć się, czy on może brać udział w gonitwach tutaj.

- To zrozumiałe. - Pan Leventine nie był pewny, czy te słowa wyrażają nagane, czy zapewnienie. - Z przyjemnością zbiorę dla pana informacje.

Przez dziesięć dni sir Humphrey nie wezwał go do swego gabinetu. Spotkali się przypadkiem w klubie, w sali bilardowej, ale to sir Humphrey zaproponował grę panu Leventine'owi. Dopiero gdy skończyli grać, włożył ostrożnie swój kij bilardowy do czarnej lakierowanej tuby, na której wypisane było białymi literami jego nazwisko, i powiedział:

- A propos, Leventine, mam dobrą wiadomość. Pański człowiek jest czysty. Nie ma żadnych co do niego zastrzeżeń. Mogł już dawno dostać licencję, ale się o nią nie starał.

- To znaczy, że może dostać ją teraz?

- Oczywiście. Musi tylko złożyć podanie z niezbędnym poparciem.

118

- Zrobimy to, ale będziemy gotowi dopiero na następny sezon zimowy.

- Niech mi pan nie zdradza tajemnic stajni - roześmiał się sir Humphrey - a Ted Mullins to właśnie niój człowiek. Niech mu pan przekaże pozdrowienia ode mnie i przypomni, że przed dwudziestu laty jego zwycięstwa przynosiły mi pieniądze.

Pan Leventine zamówił Minervę i pojechał prosto do Scattergold Hall, żeby się zobaczyć z Johnem Quillanem.

- To znaczy, że mogę znowu jeździć? - spytał Ted.

Indie to kraj, w którym nie istnieje czas. Ted, pochłonięty pracą nad Invaderem i dziećmi, nie zauważył przemijania czasu.

Pora chłódów się skończyła. W lutym zrobiło się gorąco i Kalkuta zajaśniała pełnią rozkwitłych drzew, szkarłatnego kwiecia jedwabistej bawełnicy, orgią pomarańczowych i czerwonych drzew gol-mohrs, różowych i białych akacji, purpurowych jacarands; zwiastowało to pogodę, zbyt upalną dla rozpieszczonych wyścigowych koni. Sadią i Ali przeprowadzili Inyadera przez most pontonowy, przerzucony nad rzeką

Hooghly i zatłoczonymi ulicami na Howrah Station. Tam został załadowany do masywnej klatki z wyściełanymi boksami i pociąg powiózł go uroczyście do chłodniejszego, położonego niżej miasta Bangalore, gdzie Quillan też miał stajnie. Byli towarzysze Invadera ze statku pozostali, zaawansowani już w treningu, przed występami

119

na opustoszałych torach w ostatnich gonitwach zimowego sezonu, ale parę wybranych koni pojechało z Invaderem, włącznie z Flashlight i niespokojnym kasztanem Firefly, którego kupiła za piętnaście tysięcy rupii lady Mehta decydując się na to nagle, gdy wygrał fuksem nagrodę o Puchar króla Edwarda.

- Więcej już nie wygra - przepowiedział John. Wraz z końmi pojechały niechętnie Gog i Magog, jak co roku.

- Duże psy nie mogą pozostawać w tym mieście w okresie upałów - wyjaśnił Tedowi John. - Nie przeżyłyby tego.

Nie powiedział, że bardzo brakuje mu towarzyszy, jak słusznie mógłby je nazwać. Była to część kary za mieszkanie w Kalkucie.

Ted podjął swoje obowiązki w Bangalore, dzień w dzień cierpliwie trenując i nadzorując konie. Zabrał ze sobą troje najstarszych dzieci Johna, które miały tam zamieszkać w internacie szkolnym.

- Marna szkoła - orzekł Bunny.

John zaledwie rozpoznał swoich dwóch synów w popielatych flanelowych spodniach, popielatych koszulach, swetrach i szkolnych krawatach - „Krawaty”, mruknął tylko - i swoją córkę w granatowej plisowanej spódniczce, granatowej bluzce z marynarskim kołnierzem i w słomkowym kapeluszu. Kapelusz! Dahlia płakała, ale Ted obiecał:

- Jeśli będziecie zachowywać się grzecznie i przyzwoicie, zabiorę was co sobotę na herbatę i kiełbaski.

Kiełbaski pojawiły się w ich życiu dopiero wraz

120:

z Tedem. Choć można było kupić je w puszkach, przekraczało to zakres wiedzy Dahlii. Dzieciaki zajadały się tym specjałem.

W końcu czerwca John przyjechał odwiedzić malców, ale musiał sam przed sobą przyznać, że bardziej pragnął zobaczyć Invadera i zawieźć Tedowi do podpisu formularze podaniowe.

- Podpisz tu i tu... i tu - powiedział

Kiedy oznajmił mu nowinę, Ted wstał z krzesła, wpatrując się w niego z niedowierzaniem i przełykając ślinę, po czym podszedł do okna i co najmniej przez trzy minuty stał plecami do Johna. Gdy się odwrócił, jego niebieskie oczy były mokre od łez.

- To znaczy, że naprawdę mogę znowu jeździć? - spytał.

- Nie tylko jeździć. Będziesz posiadać Invadera.

- Invadera! - Ted mówił jak we śnie.

- Tak - odrzekł John z rozmyślnym ożywieniem. - Zatrzymuję cię jako dżokeja pana Leventine'a, z podwyżką pensji oczywiście. Przywieziesz konie z powrotem we wrześniu, a w październiku wystartujemy z Darkiem. O nagrodę Alipore w klasie czwartej, jak sądzę. Oczywiście zdobędzie tę nagrodę, a potem zobaczymy, co dalej.

- Zobaczymy - powtórzył Ted. Jego głos brzmiał teraz stanowczo. I dodał: - Mogę spytać, sir, czy to pan pomyślał o mojej licencji?

- Nie. To pan Leventine.

- Pan Leventine zrobił to dla mnie!

- Obudź się, Ted. Pan Leventine, nie zrobił tego dla

121

ciebie, tylko dla siebie. On nikogo nie zaszczycą swoimi względami.

Była to prawda. Tuż przed ich wyjazdem do Bangaloru pan Leventine zszedł na tor i odwołał Teda na bok.

- Tak świetnie radziliście sobie z tym koniem, że chciałbym wam coś za to dać.

Ale Ted odwrócił się od pliku banknotów.

- To bardzo miło z pana strony, ale mnie nic nie potrzeba. Liczy się tylko to, co pan zrobił dla Invadera.

- Bez was nic bym nie zrobił. Obserwowałem was uważnie. - I pan Leventine dodał swoim najbardziej pojedynczym tonem: - Proszę was bardzo, Mullins.

Ale Ted potrząsnął głową.

- Więc co mam zrobić z tymi pieniędzmi?

- Powiem panu. - Teda prześladowało wciąż wspomnienie tego, co widział wtedy w drodze z portu, co widział dzień w dzień, gdy z Invaderem przechodzili przez drogę. - Jeśli chce pan zrobić mi przyjemność, niech pan to da na potrzeby R.S.P.C.A.\*, dla koni, bawołów i osłów i - ach tak! - niech pan coś da tym zakonnikom, do których chodzi pani Quillan. One żywią starców. To byłoby coś pożytecznego! - Teda poniosło. - Jest pan taki bogaty, sir. Niech pan pomyśli, ile pan mógłby dawać.

- Dawać! - wykrzyknął ze zgrozą pan Leventine. - Jeżeli jestem bogaty, to dlatego, że robię z rao-

• R.S.P.C.A. (Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals) - Towarzystwo Królewskie dla Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt (przyp. tłum.).

122

ich pieniędzy dobry użytek, że dają tym, co są tego warci. Nie biedocie - zakończył.

- Nawet nie tym, którzy cierpią nie ze swojej winy? - Głos Teda też się zmienił, był dziwnie surowy. - Ja i moja żona Ella mieliśmy kiedyś osła. Znaleźliśmy go zakatowanego prawie na śmierć. Mieliśmy cztery koty przybłądy, całe w ranach. - Urwał. A potem dorzucił: - Pan uratował Dark Invadera.

- Uratowałem? Nic podobnego. Kupiłem go dla własnej korzyści. Wierzę w tego konia.

- I niech Bóg panu za to błogosławi. Ale... - Popatrzył znowu na banknoty. - Niech pan to da na potrzeby R.S.P.C.A., sir.

Pan Leventine schował pieniądze do kieszeni.

„Którzy cierpią nie ze swojej winy”. W Kalkucie lato było potwornie upalne. Deszcze się opóźniły, „co zdeorganizuje kompletnie Mityng Monsunowy”, stwierdził John. „Co oznacza możliwość głodu”, orzekła z lękiem Matka Morąg. Przeżyła już dwie klęski głodowe. Cena ryżu wzrosła, a wieśniacy tłumnie opuszczali wioski - był to zawsze alarmujący sygnał.

- Mają nadzieję znaleźć w miastach pracę i żywność, a tego tam nie ma.

Powiększali kolejki wyczekujące na ulicach, gdzie siostry zorganizowały kuchnie.

- Miałam nadzieję, że uda się nam otworzyć jeszcze jedną na Bo w Bazar - mówiła Matka Morąg do zakonnice. - Niestety, to niemożliwe. Dzięki Bogu za nasze

123

„zbiórki”, bo przynajmniej jest czym żywić ludzi w przytułku.

Ale zbiórki zmalały. Niewiele osób odwiedzało w ten upał restauracje.

- I Salomon jest taki opieszale - dorzuciła siostra Tymotea.

Powiedziała tylko tyle, ale Matka Morąg wiedziała, jak ciężkie było zbieranie resztek w upale, zwłaszcza gdy miało się na sobie habit, który choć uszyty w Indiach z białej bawełny, nie zmienił się od czasów Teresy Hubert: miał długie rękawy, zachodził wysoko pod szyję, sięgał do kostek i był wykończony ściśle przylegającym do głowy czepkiem z muślinu, jaki nosiły w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku chłopki belgijskie.

- Ale to było w Europie. - Siostra Joanna nie nauczyła się jeszcze całkowitego lekceważenia własnej osoby.

- A to są Indie! Te krochmalone białe tasiemki pod brodą!

- Niedługo pozostają sztywne - pocieszała ją ze śmiechem Matka Morąg. - Niech siostra obejrzy teraz swoje, poplamione tłuszczem!

- Prysnęło mi z pojemnika z curry. Fe! - Tego ranka o świcie siostra Joanna z kolei pomagała wnosić blaszane kanistry. - To ohydne curry! Ależ muszę cuchnąć.

Tak rozmawiając rozmieszczały żywność. Kiedy Matka Morąg podniosła ręce, by umieścić pudding na wysokiej półce, gdzie nie wchodziły mrówki, i opadły jej

124

przy tym rękawy, siostra Joanna zobaczyła, że biała skóra przełożonej pokryta jest czerwonymi potówkami, i zawstydziała się swego narzekania. Powiedziała tylko taktownie:

- Włożę może świeży czepkę przed pójściem na obchód biur dziś po południu, boję się, że nie zrobię do bregu wrażenia na młodych mężczyznach. - Próbowała się roześmiać.

Nie był to bowiem żart. W te upalne noce żywność czasami się psuła, zanim Salomon przyciągnął wózek do domu. Nic dziwnego, pewnej nocy było już po drugiej-

- Za gorąco, żeby spać - orzekła siostra Urszula. - Możemy się nie kłaść.

Matka Morąg spytała nazajutrz siostrę Ignację:

- Jak długo mamy już Salomona?

- Chyba dziesięć albo jedenaście lat.

- I nie był bardzo młody, kiedy do nas przyszedł.

- Nie, dostałyśmy go w podarunku.

Matka Morąg była starą i mądrą zakonnice - wiedziała, że ludzie nie ofiarowują w prezencie młodych koni.

Popatrzyła w zamyśleniu na zapadnięty grzbiet Salomona, na jego zgrubiałe nogi. Chociaż ciągle jeszcze unosił je wysoko, krok miał niezgrabny i coraz sztywniejszy. Nad oczami widniały duże wgłębienia i mimo że Gulab czyścił go starannie, sierść konia nie była już gładka. Matka Morąg westchnęła, a na jej czole pojawiła się zmarszczka, którą siostry nazywały „linią troski”.

125

Spadły wreszcie deszcze, co sprawiło ulgę wszystkim i wszystkiemu.

- Prawie się słyszy, jak rośliny piją wodę - mówiła siostra Barbara, a siostra Mary Fanny dodała, że ma ochotę poskakać po kałużach, jak dzieci na drodze. Zdarzały się krótkie, gwałtowne ulewy, gdy deszcz lał nieomal pionowymi strugami, potem znów ukazywało się błękitne niebo i skłębione na nim chmury, z których za chwilę miało znów lać, ale tymczasem cała ziemia parowała wysychającą wilgocią. Barwy traw, drzew i

kwiatów jaśniały żywo i lśniły w czystym powietrzu. Klasztor, Scattergold Hall, wszystkie stare domy pachniały wilgocią; zielone plamy pojawiły się na murach, a pleśń na obuwiu i na książkach, na wszystkich rzeczach skórzanych, „włącznie z siodłami i uprzężą”, powiedział John.

Wyścigi rozpoczęły się na Torze Monsunowym. Niekiedy konie biegały w ulewie, a dżokeje mieli wtedy na oczach motocyklowe okulary i wracali ociekający wodą, rozpryskując błoto, z jedwabnymi bluzami przylepionymi do grzbietów. Pojawiło się kilku z zamiejscowych właścicieli koni, ale brakowało lady Mehty, zaprzyjaźnionego z Johnem Nawaba i pana Leventi-ne'a. Mityng Monsunowy był mało ważny, nieobowiązuje. Za gorąco było na to, żeby wkładać płaszcze przeciwdeszczowe, więc członkowie klubu chronili się pod parasole z klubowym znakiem, co ich wyróżniało w tłumie ciemnoskórych z bazaru. Wszyscy się znali, tylko John nie znał nikogo. Dla niego, tak jak i dla in-

126

nych trenerów, Mityng Monsunowy był czasem trudnym. Mieszkający tu dawniej Brytyjczycy nazwali go „porą chorobliwą” i był to nadal czas chorobliwy.

- Wydaje mi się, że nie robię nic innego, tylko skreślam z wyścigu jednego konia po drugim - powiedział John.

Kapitana Macka wzywano we dnie i w nocy.

- Konie wyścigowe! A ludzie? - pytała siostra Ig-nacja. Zdarzały się ostre przeziębienia, „dziesięciodniowe gorączki”, zapalenia opłucnej. Starcy, nawet w schronisku pod opieką sióstr, marli jak muchy.

- Na każde łóżko czeka dwadzieścia osób. Umierali nie tylko starzy, także dzieci, niemowlęta...

Matka Morąg, zgnębiona, nie miała czasu myśleć o Salomonie.

Wydawało się jej, że to było zaledwie parę tygodni temu, choć minęło już prawie trzy miesiące od czasu, gdy patrząc ze swego okna ujrzała idące szeregiem konie Johna Quillana; spostrzegła, że znacznie wzbogacił swoją stawkę - również przez zwiększenie różnorodności koni. Na końcu, jak zwykle, przytrzymywany z tyłu, by nie dystansował wszystkich innych, szedł duży skarogniady koń, którego zauważyła już przedtem, a na nim jechał mały Anglik. Wiedziała, że to Ted Mullins.

- Denerwujesz się? - spytał John, ale Ted odpowiedział! rzadkim u niego uśmiechem.

- Nie na nim.

Ted jeździł w dwóch pierwszych gonitwach w czasie mityngów w porze chłódów, ale nie na Invaderze.

127

W sobotę, w dniu otwarcia, dosiadał Pandory, klaczy pana Leventine'a, która przybyła tym samym statkiem co on. Ching jechał na jej towarzyszu Pemambuco. Wygrała Pandora. W drugą sobotę na wniosek Teda zamienili się z Chingiem wierzchowcami. Wygrała zno -wu Pandora, Ted na Pernambuco był drugi. Tego dnia po południu ku radości lady Mehty zdobył w milowym biegu na Flaglight Puchar Jaisaimir.

- Hura, konie Quillana! - Bunny ze śmiechem wieszował przyjacielowi, ale John powiedział:

- Zaczekaj. Gwóźdź programu dopiero zobaczymy. Gwóździem programu był pierwszy występ publiczny Invadera.

Jak powiedział John, był to bieg w klasie czwartej, ale „to ogromna stawka - wyjaśnił Tedowi - trzeba było podzielić konie na dwie grupy”. Dark Invader był w grupie pierwszej z najwyższą wagą, „ale w porównaniu z innymi siedzisz na nim jak na latającej maszynie - mówił John do Teda. - Mimo to - dodał - stuprocentowa pewność często kończy się klapą”.

- On nie przegra - zapewnił go Ted.

Zważył się, wyniósł swoje siodło i lekki czaprak z numerem na dwór i podał je Johnowi. Zgrabny i smukły, miał na sobie spodnie uszyte na obstalunek przez Barkata Alego z Park Street.

- Kazałbym je uszyć w Londynie, gdybyśmy byli pewni, że będą dobrze leżały - powiedział pan Leventine.

Buty dla Teda przysłała jednakże firma Maxwell, na wzór starej zniszczonej pary. Barwy pana Leventine'a

128

to była różowa kurtka w zielone pasy i zielona czapka, wszystko tak jaskrawe, że Ted zamrugał, gdy to zobaczył.

- Różowy to szczęście, zielony nadzieja - wyjaśnił pan Leventine. Ale inni dżokeje pokpiwali:

- Co za rozkoszny pączek róży!

Lecz gdy konie wyszły na padok, nie było wątpliwości, że Dark Invader ze swoim wzrostem i błyszczącą sierścią jest wyraźnie koniem o najlepszym wyglądzie w tym wyścigu. Prowadzony przez Sadika wzbudzał pełne zachwyty szepty, gdy okrążał padok, i wkrótce wysunął się na czoło jako faworyt w zakładach.

Kiedy Ted siadł w siodle, napotkał wzrok pana Leventine'a, wzrok pełen ufności i wiary, jakim nikt go nie obdarzył od śmierci Elli, ale John Quillan miał jeszcze wątpliwości i idąc obok Invadera, gdy konie wychodziły na start, dawał Tedowi ostatnie pełne niepokoju polecenia:

- Trzymaj się z daleka. Jeśli się wokół ciebie stłoczą, przesuń się na duże koło. Pamiętaj, że jesteś lepszy o dwadzieścia długości. Wykorzystaj to. Trzymaj się z daleka.

Tylko raz Ted zerknął pod łokciem na biegnące za nim konie. Wysforował się już naprzód o dwie długości, więc jechał przy bandzie i utrzymywał uzyskaną odległość, aż zakończył wyścig trzymając się twardo w czasie, dzięki któremu bez wątpienia, jak pomyślał, Invader znajdzie się w klasie trzeciej.

9 - Fuks na torze

129

- Pojechał właśnie tak, jak chcieliśmy - powiódł pan Leventine z promiennym uśmiechem. Nawet John był zadowolony.

Nastąpiło przepisowe sześć biegów, które dla Invadera były niczym więcej, jak tylko treningowymi galopami. Za każdym razem startował dobrze i nie dawał się wyprzedzić, dzięki czemu przeszedł z klasy trzeciej do drugiej.

- Jak oczekiwaliśmy - powiedział pan Leventine zacierając ręce.

Pan Leventine nie mieszkał w żadnej z kalkuckich rezydencji, które znającym go dobrze ludziom wydawać by się mogły odpowiednio do jego zamożności i ostentacyjnych zamiłowań. Ale on nie cierpiało marnotrawstwa i pytał:

- Co miałby robić jeden człowiek w dwudziestu pokojach?

Kiedys może się ożeni, ale na razie nie miał na to czasu. Miał go też mało na zajmowanie się ogrodem, drzewami, trawnikami, a już zgoła wcale dla intruzów, którzy zawsze pojawiają się w dużych domach. Był zupełnie zadowolony z mieszkania w nowoczesnym bloku na Park Street, ale przezornie wynajął też drugie mieszkanie, nad swoim, aby nie przeszkadzały mu hałasy lub inni lokatorzy. Pozwolił tam mieszkać swoim dwóm sekretarkom, musiały jednak chodzić w skarpetkach lub w miękkich pantoflach i mówić szeptem.

Wynajmował także mieszkanie piętro niżej, gdzie umie-

130

ścił szofera, Hindusa, który obsługiwał samochód, i innych służących. Potrzebował dwóch dla utrzymania swojej garderoby w odpowiednim stanie.

- Nie chcę, żeby śmierdziali mieszkaniem, służbą, jedzeniem i papierosami - wyjaśniał.

Siedział teraz w bibliotece, gdzie przeniósł zdobyte na wyścigach puchary na boczny stolik, pozostawiając półkę nad kominkiem na puchary Invadera. Były w sumie trzy, co prawda tylko z indyjskiego srebra, ale była i pozłacana szkocka filiżanka. Musiał poprosić Johna, żeby mu powiedział, jak to się nazywa.

- Tassie - odparł John, by się z nim podroczyć Pan Leventine nie mógł znaleźć tego słowa w słowniku.

Był też puchar z czystego złota o dwóch uszach i najpiękniejszy ze wszystkiego wazon na różę.

- Idzie pan w górę - orzekł Bunny.

Pan Leventine czuł, że mógłby zaprosić Bunny'ego i od czasu do czasu Johna, aby przyszli napić się jego doskonałej whisky. Nikogo innego nie przewidywał. Pewnego dnia, jeśli Dark Invader odniesie sukces, może zaprosi sir Humphreya... ale to marzenie. Tymczasem był Bunny, który powiedział pogodnie jak zwykle

- Musi pan zachować miejsce na złoty puchar.

Pan Leventine, przesądny do szpiku kości, o mało nie powiedział „cicho!”, lecz zamiast tego odrzekł tylko:

- Invader robi to, czego po nim oczekiwaliśmy.

Nikt się jednak nie spodziewał, jaki będzie wpływ Invadera na tłumy. Choć po jego pierwszym zwycięstwie stawiane na niego sumy nie wzbogaciłyby nikogo,

131

cały wyścigowy świat Kalkuty upodobał go sobie. A to z powodu jego wzrostu i pięknego wyglądu. Nie bez znaczenia był fakt, że kiedy wygrał, to zamiast bacznie nastawić uszy, opuszczał je, jakby chciał powiedzieć: „No, tak”, i zwieszał łeb, jakby mówił: „To nic wielkiego”, i zaraz zaczynał węszyć panu Leventine'owi po kieszeniach. On i Ted wkrótce stali się legendą i opowiadano sobie całe historie, jak to Darkie nie chciał biegać dla nikogo innego, a nawet nie pozwalał nikomu się dosiąść. Sławiono jego niezwykłą inteligencję, rozprawiano o jego lenistwie: „Nie fatyguje się nawet, by spróbować galopu. Po co? Wie, że to potrafi, jak naprawdę będzie trzeba”. Opowiadano o jego łakomstwie - jak to raz tak mu zasmakowała słona trawa bengalska, że zjadł całą swoją ściółkę i byłby zakończył życie na kolce, gdyby kapitan Mack go nie uratował. Była to przypadkiem prawda i od tamtej pory robiono mu posłanie z kory. Przedmiotem rozmów była też jego wyjątkowa łagodność i uległość, objawiająca się jednak tylko wtedy, gdy dosiadał go Ted.

Ted miał kłopoty - nie tylko w dni wyścigowe, ale i wczesnym rankiem, gdy przeprowadzał Invadera pośród wielbicieli, którzy chcieli go zobaczyć i poklepać.

- Zupełnie jak gwiazda po zejściu ze sceny - mówił John.

W takie dni musiał prosić o eskortę policji. Podczas każdego wyścigu, w którym brał udział Invader, dochodziły z trybun i ze strony rozentuzjzmowanych ciemnoskórych tłumów, stojących wzdłuż barier, pienia

132

na cześć Darkiego. Konny policjant w białej nakrochmalonej bluzie i czerwonym turbanie musiał często zawracać koniem, który wierzgiem spędzał ludzi wdzierających się dosłownie na tor. Gdy tylko ukazywał

się Dark Invader, rozlegały się pojedyncze okrzyki, a jego duża sylwetka sunąca długim, płynnym krokiem odcinała się wyraźnie w grupie koni na przeciwległej prostej.

- Darkie! Darkie! - wołali, a gdy pędził jak burza przed trybunami, skandowali szybko:

- Dark Invader! Dark Invader! Dark Invader! Pan Leventine wychodził na tor, by go wprowadzić.

Ted w swym jaskrawym jedwabnym stroju siedział mocno w siodle, unosząc szpicrutę w nieśmiałym pozdrowieniu. Dark Invader opuszczał łeb i zwieszał uszy w uznaniu dla okazywanego mu aplauzu, po czym szukał smacznych kąsków, a tłum szalał.

- Pański koń staje się poniekąd osobistością. - Sir Humphrey szukał teraz w klubie towarzystwa pana Leventine'a. - Czy pan wie, że on już się kwalifikuje do Pucharu Wicekróla?

- Wiem. - Pan Leventine nabrał nowej godności. Nawet John Quillan okazywał dobry humor.

- Przyjdzie czas, Sandy, że przyznasz, że byłeś kiep - powiedział do kapitana Macka w Scattergold Hall.

- Chętnie - odrzekł kapitan. - Co to będzie za uciecha, kiedy Ted pobije wszystkich angielskich dżokejów najwyższej klasy, jacy zostaną sprowadzeni na najważniejsze gonitwy.

13'3

Rozdział piąty

W wigilię 21 grudnia, który, jak wiedziały siostry, był dniem świętego Tomasza, nad Kalkutą jaśniał księżyc w pełni.

Było już dobrze po północy i nad rzeką zaczęła wstawać poranna mgła, rozsnuwając się miękko wzdłuż brzegów i nad szerokim, płaskim Maidanem, wypełniając fosę w kształcie gwiazdy, wirując nad niższymi kondygnacjami trybun na torze wyścigowym, rozciągając biały dywan wokół kopulastego marmurowego posagu królowej Wiktorii i strzelistej gotyckiej wieży katedry.

W sypialni, w swoim mieszkaniu przy Park Street, pan Leventine leżał sam w dużym rzeźbionym mahoniowym łóżku, nad którym, umocowana do szerokiej ramy, zwieszała się ogromna siatka chroniąca przed moskitami. Wszystko w tym mieszkaniu było ogromne. Pod ścianami stały masywne wiktoriańskie szafy z lustrami na całą wysokość. W ubieralni były też szafy, a toaletę dzieliło jeszcze jedno lustro; szczotki miały srebrne oprawy, buteleczki srebrne zakrętki. Szafy, pełne starannie uprasowanych garniturów, lśniły poli-

134

tura ścian, a wypolerowane podłogi ze sztucznego kamienia miały czerwony połysk.

W łazience znajdowała się ogromna wanna oprawiona w drzewo mahoniowe, w kunsztownej umywalni rolę zwykłej zatyczki pełniła kolumna pełna gałek i uchwyty - wszystko to powleczone warstwą srebra. Ubikacja sprostaby pośladowcom olbrzymów: jej dno zdobił wzór z różowych tulipanów i zielonych liści. Wśród swoich luksusów pan Leventine nie mógł usnąć. Dlaczego? Miał przecież bezcenną nabytą od matki umiejętność „wyłączania się” i natychmiastowego zapadania w sen. Tak jak w dzieciństwie, sięgał do wymyślnego wyłącznika elektrycznego, by go przekręcić. Zrobił to i teraz, lecz bez powodzenia.

Poprzedniego wieczoru, gdy Bunny wyszedł, pan Le-ventine stał długo ze szklanką w rękę wpatrując się w kominek. Życzliwość Bunny'ego tak go ucieszyła, że nagle zaczął przestawiać puchary - małe puchary na lewą stronę, a dwuręczny puchar i wazon z różami na prawą, pozostawiając wolne miejsce pośrodku. - Będzie złoty puchar - wyszeptał. Rzadko czuł taką pewność, taką radość. Ubiegłej nocy spał jak dziecko, dziś jednak odczuwał niepokój. Dlaczego? - zadawał sobie pytanie.

Księżyc oświetlał stajnie Quillana. Na trawniki, na tor i na werandy otaczające boksy końskie padały długie cienie drzew, ale w księżycowym blasku widać było owinięte w koce postacie stajennych śpiących na składanych łóżkach, obok których migotały przykręcone latarnie. Przyszły zwycięzca, nadzieja Indii, nie

135

spisał. Dark Invader klęczał na podściółce z brunatnej kory, czyniąc z zupełnym brakiem godności gwałtowne wysiłki, by osiągnąć ostatniego źdźbła słomy, które spadło z boku jego sąsiada; z wyciągniętymi wargami przypominał z wyglądu swego dalekiego kuzyna z Ameryki Południowej - tapira. W końcu zrezygnował, westchnął głęboko, wstał, opuścił dolną wargę i usnął.

Sypialnie w Scattergold Hall były puste. Dwudziestego grudnia przypadały urodziny ojca Dahlii i zgodnie z tradycją w rodzinie Quillanów John zawiózł żonę, starsze dzieci, najmłodsze niemowlę oraz Goga i Magoga do Burdwan, gdzie pan McGinty, jak wielu Eurazjatów, pracował na kolei.

John miał starego czteroosobowego Chryslera, „model z roku 1922”, powiedział umyślnie panu Leventine'owi. Koła samochodu o drewnianych szprychach trzeba było w upał polewać wodą; na szerokim tylnym siedzeniu mieściły się dzieci, psy, torby z owsem lub bele siana, koty, bagaże, paczki. Silnik w biegu dudnił miarowo niczym stary statek frachtowy. Dzieci bardzo lubiły samochód, Dahlia przez cały rok cieszyła się na ten dzień. Burdwan było jedną z największych stacji węzłowych, a Instytut czy raczej Klub Eurazjatycki miał tak licznych członków, że Dahlia spotykała tam wielu dawnych znajomych, jak również rodziców, wujów, ciotki, stryjecznych dziadków i cioteczne babki, gromady kuzynów i przyjaciół - wszyscy bowiem chodzili wieczorami do Instytutu, który był klubem pracowników kolejowych. Dahlia popisywała się Johnem i dziećmi, którzy w równym stopniu wzdragali się

przed tymi wizytami, ale kierując się nie wyrażaną miłością do niej odbywali tę ceremonię z wdziękiem, o jaki nikt by ich nie posądził. John żartował, śmiał się, tańczył, a nawet śpiewał. Dzieci poddawały się ulegle pomysłom Dahlii - ubrane w sukienki z koronkowymi kołnierzykami i z szarfami, w białe spodenki, koszule i muszki - „jak mali džentelmeni”. Obiad był zawsze tak starannie przygotowany, jak tylko matkę Dahlii było na to stać, i Quillanowie zostawali na noc Mając jeszcze wciąż w uszach głosy Eurazjatów John spał niespokojnie w dużym łóżku teściów, którzy w sposób wzruszający uparcie się usuwali, by zrobić miejsce dla Johna i Dahlii. Leżała teraz cicho obok niego, pogrążona w błogim śnie; przytulone do niej spało też najmłodsze niemowlę. Płodna jak kwiat, którego imię nosiła, Dahlia urodziła niedawno ósme dziecko. „Następną małą klęskę”, jak powiedział babu Ram Sen, czyli następną córkę, a w pojęciu Ram Sena następny posąg, który trzeba będzie szykować. Lecz John nie myślał o posagach. „I tak nie będzie żadnych posagów”. Trapił się chwilą obecna. Nie powinien był ani na chwilę opuszczać stajni w tym roku; szło o tak wysoką stawkę. Ale był to dzień Dahlii, jeden na trzysta sześćdziesiąt pięć, i pocieszał się myślą, że w stajni został Ted. Wydał dokładne dyspozycje i powiedział mu: „Wróćę wkrótce po dziesiątej. Mała budzi nas o świcie”. Dzieci nie powinny spać z matką, głosiły podręczniki, ale Dahlia nie czytała książek i wszystkie jej dzieci w niemowlęctwie spały razem z nią.

- Dlatego nie ma z nimi żadnego kłopotu - dowodziła.  
 - Kłopot zaczyna się później - odrzekł kwaśno John, ale teraz ostrożnie, żeby jej nie zbudzić, sięgnął ponad żoną ze zręcznością dziwną u tego wybrednego niegdyś i cynicznego młodego kawalerzysty i otulił szalem śpiącego niemowlaka. Dziecko sapnęło z zadowoleniem. Jest tam Ted. Wszystko musi być w porządku, pomyślał John i także ułożył się do snu.

Ted nie spał. Siedział na swojej małej werandzie i choć sweter miał cienki i nie włożył płaszcza, nie czuł chłodu ani ukąszeń moskitów. Nie czuł w ogóle nic.

Miał zły dzień, co go dziwiło - bo zły dzień powinien być wczoraj, w rocznicę ślubu z Ellą. Ted rzadko odzywał się tego dnia i zawsze starał się obchodzić rocznicę stosownie, jak za życia Elli. Tu, w Kalkucie żyjącej w nieustannym podnieceniu, wyjął z małego metalowego kuferka, który zawierał wszystko, co posiadał, ich ślubną fotografię w srebrnej ramce i ustawił ją obok łóżka, a przed nią wazonik z pachnącymi groszkami. Dzieci bardzo się tym zainteresowały.

- Dlaczego ona ma na głowie koronkową firankę? - spytał naiwnie jeden z chłopców. Żadne z nich nie widziało angielskiego ślubu - a najstarsza dziewczynka przyjrzała się uważnie fotografii i powiedziała z pretensją w głosie:

- Mówiłeś nam, że pani Ella była ładna.

- Dla mnie była ładna.

- Uważam, że jest brzydka.

Ted zabrał fotografię i dał dziewczynce klapsa. Po raz pierwszy w życiu uderzył dziecko, i >to za mocno. Dziewczynka załała się łzami, zdumiona i urażona, a wszystkie dzieci zgodnie opuściły Teda. Od tej pory nie zbliżały się do niego i wyjechały do Burdwan bez pożegnania.

Co prawda wczoraj poza rytualnym wyciągnięciem fotografii i ustawieniem przed nią kwiatów Ted aż do wieczora niewiele myślał o Elli. Zjadł samotnie obiad w zupełnie pogodnym nastroju. Dzisiaj odesłał obiad. Zazwyczaj po posiłku grał z dziećmi w kości, w warcaby lub w karty, w czym celowały, ale wczoraj dzieci nie było. Nie miał jeszcze ochoty kłaść się do łóżka, jakiś niepokój, dziwny po dniu pracy, zmusił go do spaceru po ogrodzie. Zamierzał porozmyślać o Elli, lecz około jedenastej wjechał w bramę stary Chrysler; Ted zobaczył, że siedzi w nim nie tylko pan Quillan, ale i jego żona. Był to niecodzienny widok. Nie pamiętał, by wyjeżdżała z domu nocą, ale Bunny wydał kolację w wigilię Bożego Narodzenia i nalegał na to, żeby Dahlia wzięła w niej udział.

- Nie bądź nudny, John. Lubię Dahlię i chcę ją mieć u siebie.

Dahlia była zachwycona.

- Boże! Dwa wieczory z rzędu w towarzystwie John pozwolił jej kupić nową suknię i płaszcz wieczorowy w sklepie pani Wood przy Park Street.

John zawsze sam prowadził; kiedy odstawił samochód, skierował się z Dahlią do domu przez ogród.

Przeszli tuż koło Teda, który skrył się za krzewami bougainvilli. Obok siebie miał inną roślinę; przesycala powietrze tak upajającym zapachem, że czuł się jak pijany. Dahlia przystanęła. Rzadko wychodziła z domu o tak późnej porze.

- Co tak pachnie?

- Królowa Nocy - odrzekł John - rat ki rani. A Dahlia powtórzyła:

- Królowa Nocy.



Ted widział wyraźnie jej nagie ramiona, odsłoniętą szyję i włosy w blasku księżyca. Dahlia zawsze wydawała się szczególnie promienna po urodzeniu dziecka. Nowa suknia z tafty, w jej ulubionym morelowym kolorze, przyozdobiona koronką sześciła srebrzyście przy każdym ruchu. Płaszcz opadł jej z ramion, kiedy zwróciła się do Johna. Przywarli do siebie, John ujął ją pod brodę i pochylił się, by ją pocałować. Ted usłyszał pocałunek. Nie mógł znieść tego widoku. Oczy go paliły, szybko wszedł do mieszkania. Nazajutrz po południu rodzina Quillanów wyjechała do Burdwan.

- Wcale nie mam ochoty jechać - powiedział do Teda John. - Ale wiem, że ty zadbasz o wszystko. Kapitan Mack pomoże ci w czasie wieczornej defilady, a także jego wysokość - jeśli Bunny nie zapomni, pomyślał - masz też Chinga i Jemadara. Tu są dyspozycje na rano.

Przejrzał listę razem z Tedem: który chłopak ma jechać na którym koniu; jazdy Chinga; jak mają jeź-

140  
dzić; jak dobrać konie i na jak długo; nawet polecenie, co Ted ma robić z Dark Invaderem.

- I byłbym zadowolony, gdybyś sam potrenował Firefly. Ten koń to problem. Wyjedziemy z Burdwan około szóstej, powinienem być w domu o dziewiątej

- Tak, proszę pana.

- Gdyby cokolwiek choćby w najmniejszym stopniu było nie w porządku, niech ЁаЪи telefonuje do kapitana Macka.

- Tak, proszę pana, ale jestem pewien, że nie będzie potrzeby.

- I, Ted, jeszcze ostatnia rzecz, zrobisz wieczorny obchód stajni.

To była kropla przepełniająca miarę. Oznaczało to, że Ted będzie musiał siedzieć do późna, a godziny wlokły się bez końca. Scattergold Hall, zwykle tętniący życiem, był cichy i pusty. Służba skorzystała z wolnego wieczoru i znikła w swoich kwaterach. Bramy były zamknięte. Ted wziął elektryczną latarkę Johna - choć świecił księżyc, musiał zajrzeć w głąb każdego boksu - i posłusznie chodził od konia do konia, stąpając cicho i uważnie, by nie zbudzić śpiących stajennych i zwierząt. Invader okazał się zbyt leniwy, żeby podnieść łeb lub zarzęć, jak zazwyczaj, a łóżko Sadika rozłożone przed boksem uniemożliwiało Tedowi wyciągnięcie ręki i pogłaskanie konia.

„Stary pieszczoł z niego” - mawiał często Ted.

- Bywał pieszczołem - wyrzekł teraz z goryczą i uczucie zazdrości, którego dawno nie zaznał, powróciło; do tego poczuł się skrzywdzony. Przeszedł do pani

stępnego konia, lecz uczucie krzywdy pogłębiło się, wrócił więc do swego pustego pokoju, usiadł przy stole i ukrył twarz w dłoniach.

Gdzieś w oddali rozlegało się bicie w bęben i nosowe jęklive głosy zawodzące jakąś pieśń, zupełnie mu nie znaną. W powietrzu wisiał zapach kurzu i ostrych potraw, dymu z nargili i nieznośnie mdląca woń kwiatu Królowej Nocy. Słyszał cichy głos Dahlii powtarzającej tę nazwę za Johnem, głos Dahlii, nie Elli, i ogarnęło go uczucie takiej tęsknoty i pustki, że zadrżał. W tej chwili przypomniał sobie o whisky, podarunku pana Leventine'a.

Przyszedł on po skończonym przeglądzie, gdy już właściciele koni i ich znajomi odeszli. Był niezadowolony nie zastawszy Johna.

„Nie muszę mu się opowiadać z każdego kroku - powiedziała by John. - Mógł kupić Invadera, ale mnie nie kupił”.

Udobruchałby się, gdyby wiedział, że pan Leventine w roli Świętego Mikołaja przywiózł wspaniałe prezenty. Minerva była wyładowana.

Sadiq dostał złoty zegarek. Ali srebrny.

- Ładne rozróżnienie - orzekł potem John.

Były też zabawki dla dzieci, duże lalki i misie, nakręcane kolejki, pudełka żołnierzyków i strzelby wiatrówki.

- Na litość boską, niech im pan tego nie daje -4 błagał Ted.

- Nie? - Pan Leventine posmutniał. Lubił wiatrówki. - Naprawdę nie?

142

- Nie, sir. - Ted był stanowczy.

Każdy dostał duże pudełko czekoladek. Dla Dahlii był bukiet storczyków i skrzynka szampana. Dla Johna Skrzynka whisky, „najlepszej szkockiej”, powiedział z szacunkiem Ted.

- Jaka szkoda, że cała rodzina wyjechała, sir. Ale trudno. Tym większa będzie niespodzianka.

Pomógł panu Leventine'owi, kierowcy i jego pomocnikowi ułożyć prezenty w salonie, spiętrzyć zabawki i pudełka czekoladek wokół skrzynek z alkoholami; na wierzchu położyli storczyki dla Dahlii, a obok ogromną złożoną kartę z fotografią Invadera. Nic nie mogłoby go bardziej ucieszyć. Każdy szanujący się dżokej miał własne siodło, ale Tedowi John kupił siodło na Dhur-rumtollah Street. To, które dostał teraz, było dziełem najlepszego angielskiego siodlarza.

- Jakby pan już nie dość dla mnie zrobił, sir! Jest pan zbyt hojny!

Pan Leventine poczuł dziwne ciepło w sercu. Nikt dotąd nie nazwał go hojnym.

„Bo niby dlaczego miałby go nazwać” - powiedziała by Bunny.

- Sprawia mi to wielką przyjemność - odpowiedział Tedowi pan Leventine i ku własnemu zdumieniu stwierdził, że to prawda.

Ciepłe uczucie w sercu przygasło. Leżąc bezsennie pan Leventine wspominał pieniądze, które wydał bez potrzeby, i gromił się za to. Jego zwykła przebiegłość

143

jakby go opuściła. Był bardziej przyzwyczajony mówić: „Koniec z panem”, „To interes” albo „Podniosę do pięciu” niż „Sprawia mi to wielką przyjemność”.

- Casimir Alaric Bruce - zwrócił się do siebie pan Leventine.

Tak się do niego zwracała matka, kiedy była bardzo zagniewana. - Stajesz się miękki i głupi. Bądź sobą. A jednak rzucał się i przewracał na łóżku. Po chwili jakby chłodny wietrzyk wtargnął do sypialni. Czy to ostrzeżenie? - zadał sobie pytanie.

Nagle usiadł, wstał z łóżka, uniósł siatkę i w czarnej piżamie z kunsztownym monogramem C.A.B.L., wyhaftowanym pomarańczową nitką na kieszeni, poczłapał do biblioteki i szybko ustawił w dawnym porządku na półce nad kominkiem trofea liwadera.

Skrzynka whisky.

Ted pamiętał, co powiedział Michael Traherne, gdy zobaczył jego i Invadera na pokładzie „City of London” i zszedł do kabiny Teda, aby się z nim pożegnać.

„Życie na statku może być bardzo nudne i nastroczać wiele pokus - powiedział. - Ale pamiętaj, Ted, jeśli będą z tobą najmniejsze kłopoty - Ted wiedział, jaki kłopot ma na myśli - Michael - zostaniesz wysadzony na ląd na Malcie, w Neapolu, w Port Saidzie, w Co-lombo czy gdziekolwiek i sam będziesz musiał stamtąd wracać do domu. Ponadto inny chłopak - i to nie wiadomo który, trudno przewidzieć - zajmie się Darkiem.

144

Ted nie protestował, nie zaklinał się, nie zrobił nic z tego, co większość ludzi zrobiłaby w takim przypadku, lecz wyprostował się i popatrzył twardo na Michae -la swymi niebieskimi oczami.

- Nie wypilem kropelki, sir, od dnia kiedy pozwolił mi pan wsiąść na Invadera. I nie wypiję.

Ale teraz nie znajdował się na statku i stracił Inva-dera. Ted zapomniał o ich nowym partnerstwie, bardziej zażyłym niż koleżeństwo konia z chłopcem stajennym; łączyło ich koleżeństwo w pracy. Zapomniał, że ludzie nie potrafili już myśleć o nich dwóch oddzielnie. Wiedział tylko, że Invader nie zarżał na jego widok, że stał między nimi Sadią.

Powinienem być zadowolony, że spał tak zdrowo - powiedział sobie. - I że pan Saddick tak dobrze się nim opiekuje.

Lecz uczucie zazdrości i bolesnego osamotnienia nie osłabło. Nagle Ted wpadł w złość. Pan Quillan nie powinien był składać tego wszystkiego na jego barki. To za duża odpowiedzialność. Za stary jest na to, żeby tłumy wrzeszczały: „Darkie! Darkie!”, a pan Quillan żeby go szeptem pouczał. Wydało mu się nagle, że wymagania pana Leventine'a zbyt go przytłaczają, za wiele od niego oczekuje. Sadią to uzurpator, a wszyscy inni wyjechali zostawiając jego, Teda, w pustym domu. I to dziecko tak niegrzecznie odezwało się o Elli - Elli, która teraz wydawała się dalsza niż kiedykolwiek - i cały czas słychać to bębnienie.

- Przeklęty bęben! - wykrzyknął głośno, ale nie było nikogo, kto by go usłyszał. Własny głos powrócił

10 - Fuks na torze

145

do niego echem, które odbiło się od wysokiego ogrodowego muru: „Bę-ben... Bęben”.

Ted wstał, przeszedł do saloniku, otworzył skrzynkę przeznaczoną dla Johna, ostrożnie odłożywszy na bok bukiet storczyków, i wydobyl butelkę whisky.

Tylko szklaneczkę... jedną. Pan Quillan by mi tego nie poskapił.

Nieco później - nie miał pojęcia, ile upłynęło czasu - przypomniał sobie: Nie zrobiłem wieczornego obchodu stajni. Muszę to zrobić. Obiecałem.

Podniósł się z trudem i wziął latarkę, ale ręce od siedzenia na zimnej werandzie miał zdrętwiałe i ledwie mógł ją utrzymać. Zęby mu szczękały i drżał z zimna.

Napiję się jeszcze dla rozgrzewki, pomyślał, lecz butelka była pusta. Ted zaklął i prawie stoczył się ze schodów. Księżyc oświecał jasno trawnik i tor, ale cienie były czarne jak przewrócone drzewa w kałużach, a Ted, który brał je za rzeczywistość, próbował je wymijać i szedł zygakiem; nie potrafił też iść cicho. Dwa razy upuścił latarkę i zaklął głośno. Z łóżek polowych zaczęły się unosić głowy. Kiedy podszedł do Invadera, ogarnęła go złość i potrząsnął Sadią.

- Z drogi, poganinie! Chcę zobaczyć mego konia.

Z początku Sadią nie mógł zrozumieć, o co chodzi. W koszuli, boso, zaspany, bez turbana wyglądał zupełnie inaczej niż normalnie.

- Kim jesteś? - ryczał Ted. - Jak się tu dostałeś? Złodziej! Złodziej!

146

Niezręcznie uchwycił się górnej listwy boksusa usiłując ją złamać.

Sadią oprzytomniał. Muskularną ręką schwycił Teda.

- Sahib! Ted s a h i b!... Sahib! Nie! Ted wytrzeźwiał na chwilę.
- Pilnuj własnego nosa!

Trzymając go ciągle, Sadią próbował przywołać na pamięć swój angielski.

- Sahib to niedobrze... Nie... nie, sahib. Mnie się nie podoba. Sahib Quillan tego nie lubił. To niedobrze. - Podszedł do Invadera, który się obudził i patrzył zdziwiony. - Wieczorny obchód już zrobiony... Do łóżka, sahib. Jutro sahib pojedzie na nim. Proszę, sahib Ted.

- Idź do diabła!

Ted odepchnął Sadię i zawrócił, ale nie w kierunku swojej werandy, lecz do domu, gdzie wyciągnął ze skrzynki następną butelkę. Nie mógł jej otworzyć, więc wrócił na werandę i uderzył biutelką o słupkę; nie mógł też nalać whisky do szklanki, udało mu się tylko położyć na stole butelkę, z której lała się whisky; sam upadł na krzesło. Bęben walił mu teraz w głowie, zapach kwiatów odurzał. W ataku torsji zwałił się na stół. Aż wreszcie Sadią, owiązawszy turbanem nos i usta, by nie czuć smrodu wymiotów i wstrętnego dla muzułmanina zapachu alkoholu, położył Teda do łóżka.

Trzecia. Pół do czwartej. Czwarta. Siostra Urszula, siostra Joanna, Gulab i Salomon z wozem nie wrócili  
147

do klasztoru. Od północy Matka Morąg była na gach; dwa razy wysyłała Dila Bahadura, aby wyrzą na drogę - doszedł aż do Chowringhee - lecz ni zobaczył śladu nikogo. Przez ostatnią godzinę Matka Morąg spacerowała nieprzerwanie. Siostra Barbar i siostra Emanuela, które miały rozładowywać wóz zdziwione, że nikt ich nie wzywa, same wstały i towa rzyszyły przełożonej. Niebawem nadeszła siostra Ignacja, która instynktownie wyczuwała, gdy działo się coś złego.

- Co się mogło stać?
- Coś się na pewno stało. - Matka Morąg nie miała odwagi powiedzieć nic więcej.
- Wypadek?
- Byłaby tu już policja.
- Salomon? - spytała siostra Ignacja
- To na pewno nie wina Salomona - odrzekła siostra Barbara. - Na nim można polegać.
- Na nikim nie można polegać wiecznie.

Wreszcie usłyszały turkot kół - brama była od dawna otwarta - a poza tym wrzawę: szepty, rozmowy, wykrzykiwane rozkazy, odgłosy, jakie wydaje hałaśliwy tłum. Matka Morąg biegnąc z innymi zakonniceami na dziedziniec musiała się zdobyć na maksymalny spokój. Siostra Joanna i siostra Urszula weszły blade, z twarzami zlanymi potem, z czepkami zsuniętymi na tył głowy, w zachlapanych płaszczach i habitach. Otaczała je gromada kulisów, którzy zawsze wyrastają jak spod ziemi tam, gdzie coś trzeba zrobić, gdzie można zarobić parę groszy. Biegło też kilkunastu małych  
148

chłopców. Wszyscy pomagali podierać dyszle wozu, a dyszle podtrzymywały Salomona, którego Gulab prowadził za uzdę, próbując podnieść mu łeb. Mężczyźni wprowadzili ostrożnie wóz na dziedziniec, odpięli uprząż i opuścili dyszle.

- Matko, on upadł przy Dhurrumtollah. - Siostra Joanna starała się panować nad swoim głosem, ale dyszała boleśnie. - Myśleliśmy, że się tylko pośliznął, policjanci pomogli go podnieść i Gulab szedł potem obok niego. Ale znów, przed restauracją Firpa, kiedy wyszliśmy z pojemnikami, wydawało się, że Salomon nie zdoła ruszyć z miejsca. Pomyślałyśmy, że trzeba zakończyć zbiórkę na dziś.

Głos siostry Joanny ścichł w szlochu, dalej opowiadała siostra Urszula:

- Już zresztą prawie skończyłyśmy zbiórkę, ale, mon Dieu, jak doprowadzić go do domu?!
- To było okrutne, ale uznałyśmy, że trzeba sprowadzić jakąś pomoc. - Siostra Joanna płakała już teraz otwarcie. - O matko!

Salomon stał dziwnie sztywno, z ogonem uniesionym pod niezwykle kątem; wargi mu opadały ukazując poźółkłe zęby, z których kapała piana.

- Oj! Oj! - rozbrzmiewały współczujące głosy, kiedy mężczyźni tłoczyli się wokół konia. Dii Bahadur musiał ich odpędzać biczyskiem. Matka Morąg, przepchnąwszy się przez tłum, zobaczyła ze zgrozą, że stary koń ma dziwne drgawki i że pot spływa mu po barkach i szyi, a gdy zbliżyła się szybko do niego, spostrzegła, że nie może szyi zgiać, gdy Gulab próbował  
149

odpiąć mu uzdę. Ku zdumieniu sióstr podeszła od przodu i uderzyła konia mocno w czoło.

- Matko! Bić go teraz!

Ale Matka Morąg dostrzegła to, czego się spodziewała: nagły błysk w oku. Uderzyła powtórnie i błysk znów się pojawił.

- Nie ma wątpliwości - powiedziała. - Siostrzo Barbaro, proszę zatelefonować do kapitana Macka i poprosić, żeby zaraz przyjechał.
- Tak, to teżec - orzekł kapitan Mack. - Biedny stary. A myślałem, że to po prostu starość.

Objawy tęcza to nic pięknego, więc Matka Morąg ostrym tonem odesłała do budynku klasztornego rozbudzone już teraz na dobre zakonnice.

- Siostra Joanna i siostra Urszula muszą się umyć i napić mocnej dobrej herbaty. Siostró Emanuelo, zechce siostra tego dojrzeć? I proszę dać dużo cukru do herbaty. Dla Gulaba także.

- Myślę, że i wielbna matka powinna stąd odejść - rzekł kapitan Mack.

- Zostanę - odrzekła Matka Morąg trzymając rękę na szyi Salomona.

- Proszę się do niego nie zbliżać.

Na dziedzińcu rozległ się krótki, ostry dźwięk, brzęk żelaza na bruku i miękki, ciężki odgłos upadku. Gulab wybuchnął niepohamowanym płaczem. Dii Bahadur odprowadził go na bok wśród tłumu milczących teraz kulisów i chłopców.

150

- Siostra przyniesie mu herbaty - powiedziała Mat -ka Morąg do Dila Bahadura.

Pomogła kapitanowi Maćkowi przykryć nieruchomą bryłę nieprzemakalną płachtą, którą przyniósł ze swego samochodu.

- Załatwię, co trzeba - powiedział.

- Dziękuję. - Wiedziała, tak jak i on, że nie ma potrzeby mówić nic więcej, a gdy odjechał samochodem, wezwała siostry. - Myślę, że byłoby dobrze, gdybyśmy wspólnie rozładowały wóz.

- Rozładowały? Po tym, co się stało? - Siostry były wstrząśnięte.

- Oczywiście. Nie możemy pozwolić, żeby ostatni wysiłek Salomona poszedł na marne. Ale siostry Urszula i Joanna muszą się położyć.

- Nie! Prosimy, matko! I tak nie mogłybyśmy u-snąć.

Kulisi, którzy się zatrzymali czekając na koniec dramatu, pomogli w rozładowaniu wozu i przy ich znacznej pomocy praca ta została szybko wykonana. Wtedy siostra Mary Fanny spytała nieśmiało:

- Czy to byłoby bardzo głupie, wielbna matko, gdybyśmy teraz poszły do kaplicy i pomodliły się?

- Za Salomona? - Matka Morąg uśmiechnęła się. - Wcale nie uważam, żeby to było głupie. Chodź, dziecko, i przyprowadź Gulaba i Dila Bahadura.

- Hindus w naszej kaplicy! Nawet nie wiem, jakiego wyznania jest Dii Bahadur... - Siostra Ignacja pochodziła ze starej szkoły. - Dzięki Bogu za fana-

151

tyzm - powtarzała często. - Dzięki niemu nasza wiara jest- czysta.

- Myślę jednak, że modlitwa pomogłaby Gulabo-wi - rzekła Matka Morąg.

Siostra Mary Fanny znalazła starca łkającego na słomie w stajni Salomona. Dii Bahadur nie mógł przyjść, bo tłum się jeszcze nie rozszedł.

- Oni mówią, że też się modlą - powiedział.

- Hinduskie modlitwy! - prychnęła z pogardą siostra Ignacja.

- Po prostu modlitwy - poprawiła ją Matka Morąg. - Siostró, ci ludzie, tacy biedni, nie wzięliby grosza za to, co zrobili dzisiaj dla nas i dla Salomona. I czy siostra nie myśli, że potrzebne nam będą wszystkie modlitwy, jakie ktokolwiek zechce zanieść w naszej intencji?

Gdy już klęczały w kaplicy, usłyszały brzęk żelaznych kół ciężkiego wozu wjeżdżającego tyłem na dziedziniec, potem zgrzyt korby i odgłos oddalających się kół. Niektóre siostry na nowo wybuchnęły płaczem, a z nimi Gulab. Matka Morąg zarządziła:

- Wszystkie siostry do łóżek; dziś rano rozmyślanie odprawimy po mszy, więc będziemy miały pół godziny dodatkowego snu.

Na dziedzińcu nie było już nic. do oglądania, tłum się rozproszył. Dii Bahadur zabrał Gulaba do swojej stróżówki i zamknął drzwi. Siostry opuściły kaplicę, została tam tylko Matka Morąg.

152

Mimo smutku, bólu i nerwowego wstrząsu musiała jako przełożona zadać sobie pytanie: „W jaki sposób zastąpimy Salomona?” Skromne klasztorne oszczędności wyczerpały się wobec wysokiej ceny ryżu. Nie było z czego oszczędzać.

- Będę musiała się zwrócić do Kasy Ogólnej - szepnęła. Siostry od ubogich, póki mogły, starały się tego nie robić. - Tak wiele jest podań do tej Kasy.

Każdy dom starał się utrzymać z darowizn i własnych „zbiórek”. Jak je przeprowadzać bez Salomona? Mogłyby wynająć tikka gharry, lecz kosztowałyby to drogo, a biedne na pół zagłodzone zwierzęta, które ciągnęły te pojazdy, nie wytrzymałyby nigdy nocnej ru-  
dy-

Potrzebny nam silny, nawykły do pracy rasowy koń, ale taki kosztowałby pewnie kilkaset rupii. Matka Morąg przymknęła oczy.

Usłyszała nagle jakiś szelest i zobaczyła siostrę Urszulę.

- Proszę pozwolić mi tu zostać. Nie mogę u-snąć. Po chwili weszła siostra Ignacja, potem wśliznęła się

siostra Fanny i siostra Tymotea, choć tej nocy nie miała żadnych obowiązków, siostra Emanuela, siostra Barbara, siostra Joanna i siostra Klaudyna - całe zgromadzenie. I jakby ożywione jedną myślą, rozpoczęły nowennę, modlitwę zalecaną przez Kościół w specjalnej intencji, nawet w beznadziejnej sprawie.

- Bóg myśli inaczej niż ludzie, a gdy się do Niego należy, nie wolno ulegać smutkowi.

Matka Morąg zawstydzila się swoich myśli.

153

Nie tylko siostry się modliły. Kiedy o świcie przełożona wyszła na dziedziniec, zobaczyła, że ciemna plama, w miejscu, gdzie leżał Salomon, została posypana wapnem i rzucono tam pęk nagietek. Miejsce to stało się święte. Gdy na nie patrzyła, nadeszła kobieta odziana w najuboższe sari przynosząc jeszcze kwiaty i mały kubek ryżu.

- Matko, to pewnie w klasztorze nie uchodzi?

- Nie wiem, czy uchodzi, ale wiem, że to dowód szacunku i miłości.

I zakazała Dilowi Bahadurowi zamykać bramę.

Dzieci pierwsze odwiedziły Teda, zdecydowane, że mu wybaczą. Kiedy wysłużony Chrysler zajechał przed Scattergold Hall, wysypały się beładnie z samochodu, a John odjechał go odstawić. W stajniach nie było koni, więc myśląc, że Ted jest z nimi na torze, dzieci poszły na śniadanie, ale jak przystało na prawdziwe wiusy, były zawsze pierwsze do wszczęcia zamieszania - w tym wypadku jego powodem stała się plotka pochodząca ze stajni i kuchni - i niebawem znalazły się w przybudówce. Na werandzie stała na stole taca z herbatą, grzanką i kilku bananami, którą postawił tam przerażony Ahmed. Obok stała butelka z obtłuczoną szyszką, pełna jeszcze w trzech czwartych, druga, pusta, stoczyła się na podłogę. Chcąc popatrzeć na Teda, dzieci podkładały się cicho do jego łóżka, zafascynowane i przejęte wstrętem. Ted leżał na wznak i chrapał. Ubranie jego walało się na podłodze, tam gdzie je rzucił

154

Sadiq. Dzieci zgrabnymi paluszkami próbowały otworzyć Tedowi oczy, ale on tylko pokręcił głową i mruknął coś. Jeden z chłopców zaczął płakać ze strachu. Znalazłszy się znów na werandzie dzieci umoczyły palce w rozlanym na stole alkoholu, spróbowały go, wypluły i po raz pierwszy pokonane pobiegły gromadą do Dahlii.

- Ted! Boże, coś ty zrobił?

Dahlia ujęła go za ramiona i potrząsnęła, próbując go posadzić, lecz opadł w tył, jakby był uszyty z gałganów.

- Ted! John będzie się baaardzo gniewał. Obudź się, Ted! Proszę cię, obudź się. - Nie było odpowiedzi.

Zebrała porozrzucone ubranie.

- Zanieś to natychmiast do pracza.

Ahmed wziął rzeczy trzymając je na odległość wyciągniętego ramienia. Dahlia przeszukała szuflady i wyjęła czystą odzież.

- Boże, co powie John?

Ale John nie wrócił z końmi, nie wrócili także Je-madar i Sadiq, tylko Ching. Gdy Dahlia do niego podbiegła, Ching wbrew swojej zwykłej uprzejmości odwrócił twarz i nie odpowiedział. Dziwna cisza zapadła też nad stajniami, ludzie w milczeniu odprawiali ranne obrządki, czyścili i karmili konie.

John nie przyszedł na śniadanie i Dahlia niepokoiła się coraz bardziej. Nie mogło to mieć nic wspólnego z Tedem. Nawet gdy usłyszała warkot samochodu, John

155

nie pojawił się w domu. Poszedł prosto do przybudówki. Słyszała jego twarde, gniewne kroki.

Ted już się obudził i siedział na skraju łóżka, próbując skupić wzrok na ścianach, ale oczy przesłaniała mu mgła. Głowa, w której bęben huczał głośniejszy niż kiedykolwiek, bolała go bardzo, w ustach czuł suchość i obrzydliwy smak. Wiedział, że śmierdzi „z wierzchu i w środku”. A potem i on usłyszał kroki Johna i zaskomlał jak zwierzę.

- A więc to tak! - John stał w drzwiach, twarz miał czerwoną z gniewu, głos surowy. - To tak!

Słowo przecięło powietrze i Ted nagle uświadomił sobie, jak musi wyglądać w staroświeckiej koszuli, którą uszyła mu przed laty Ella, z chudymi, białymi, żyłastymi nogami, z zamglonym wzrokiem i sterczącymi włosami. Był też świadomy, że na dworze świeci słońce, tak jasno, że zamrugał. Nagle, uświadomiwszy to sobie brutalnie, spytał:

- Która godzina, sir?

- Po dziesiątej.

- Po dziesiątej! - Ted się wyprostował. - A więc... jestem spóźniony.

- Spóźniony! - John roześmiał się nieprzyjemnym śmiechem. - Może cię zainteresuje, że w czasie twojej nieobecności, a raczej z powodu twojej nieobecności - słowa padały twardo - Ching razem ze znanym ci typem Streakym Baconem pozmieniał na torze dżokejów.

- Streaky! Streaky tu w Kalkucie! - Ted był zupełnie oszołomiony.

156

- W Kalkucie. Angielscy dzokeje pojawiają się tutaj, niestety. - Głos Johna był ostry jak brzytwa. - Koń go zrzucił i pognał. Bóg wie dokąd. Dark Invader zniknął. Gratuluję ci. John wyszedł. Gdyby były tu drzwi, trzasnąłby nimi na pewno.

- Nikt nie wie - powtarzała często Matka Morąg - kto i o co będzie z kolei proszony. -- Tą zawila sentencja była- prawdziwa. Lecz przełożona powinna była dodać: Oczywiście ludzie muszą mieć środki i odwagę. O wpół do ósmej tego ranka niejaki pan James Dunn zapłacił rachunek w zajeździe przy Lower Circular Road, gdzie się zawsze zatrzymywał w czasie wizyt niechętnie składanych w Kalkucie. Nie cierpiał bowiem tego miasta. W tym samym zajeździe mieszkał przedtem Ted. JamesSDunn, tęgi Szkot w średnim wieku, był dość skromnym człowiekiem, inżynierem dozorującym prasy w fabrykach juty spółki McKenzie, McNaught i McKenzie w Narayangunj, mieście fabryk juty, położonym dwieście mil od Kalkuty. Mógł tam wrócić pociągiem nocnym, a potem statkiem parowym, lecz w Indiach jedna rzeka prowadzi do drugiej, a Narayangunj położone było nad Luckią, dopływem Brahmaputry, która wpada do Zatoki Bengalskiej tak jak i Hooghly, więc James mógł płynąć do domu rzeką i lubił tę powolną wódcę. Miało to trwać osiem dni i teraz był w drodze nad rzekę, na której w Chand Pal Gnat czekał parowiec. Wzywać taksówkę do zajazdu

157  
byłoby niepotrzebnym wyrzucaniem pieniędzy, wyruszył więc, by złapać taksówkę u wylotu ulicy, która stykała się z torem wyścigowym.

Choć James Dunn nie był wybitną osobistością, kro-l czył za nim służący Sohan Lal, który niósł jego hełm tropikalny - było jeszcze za wcześnie, by go włożyć - i płaszcz, a za nim szło dwóch kulisów z zajazdu niosąc walizkę, obciążony płótnem kufer oraz małe zwinięte w rulon posłanie - bagaż Sohana Lala. James miał w ręku dwa kalkuckie dzienniki: „Statesman” i „Englishman”.

Jak na Kalkutę, ranek był rześki i miły. Słońce zaczynało się przesączać poprzez mgłę, która leżała jeszcze nad torem wyścigowym i nad Maidanem. James lubił mgłę; przypominała mu trochę rodzinne Abroath i Dundee, choć tam była prawdziwa mgła, wilgotna i chłodna. Co prawda wrony krakały jak zwykle ochryple, jakiś mężczyzna spychał do rynsztoka strumieniem wody z gumowego węża nie określone bliżej śmieci, ale gołąb gruchał na drzewie kazuaryny, a nad murami ogrodów płynął zapach angielskich kwiatów. Zjadł solidne śniadanie, niebawem znajdzie się bezpiecznie na parowcu, gdzie może spędzić święta Bożego Narodzenia - dzieliły go od świąt tylko cztery dni - z dala od pseudowesołości hinduskiego miasta czy miasteczka. James zaczął gwizdać piosenkę Ye Banks and Braes o'Bonny Doon.

Przy końcu ulicy nie było taksówek. „Będzie ich pełno na Chowringhee”, powiedział mu ktoś, więc mały orszak przeszedł na drugą stronę drogi, kierując się ku

158  
pasowi murawy, otaczającemu tor wyścigowy, a potem skręcił w prawo. Wtem usłyszeli tętent galopujących kopyt, lecz nie taki jak po torze, tylko po twardym gruncie, na którym staU. Odgłos ten zbliżał się równomiernie. A potem z mgły wynurzyły się rozwiana grzywa i rozwiany ogon i - ujrzeni dużego skarogniadego konia.

Nawet w oczach takiego ignoranta jak James Dunn był to nieomylnie koń wyścigowy, który zrzucił jeźdźca - strzemiona i wodze zwisały luźno - i z pewnością przesadził ogrodzenie.

- Boże! Pędzi w kierunku Chowringhee! A tam taki ruch! Tramwaje! - krzyknął głośno James Dunn, Rytmiczne „tap-tap” po twardej, spieczonej ziemi rozbrzmiewało już bardzo głośno, coraz głośniej. Koń gnał do miejsca, gdzie stali, przy bocznej drodze. Kulisi rzucili bagaże i uciekli.

- Aj! - krzyknął Sohan Lali i odskoczył na bok.

- Aj! - powtórzył James, nadając jednak temu słowu inne znaczenie. Postąpił naprzód i rozkrzyżował ramiona.

Koń pełnej krwi, z postawionymi uszami, pędzący z szybkością piętnastu mil na godzinę, pewnie i zdecydowanie, jest trudny do zatrzymania, nawet dla kogoś doświadczonego; dziewięćdziesięciu ludzi na stu uskokoby jak Sohan Lali, ale James stał w miejscu, trzymając w każdej z wyciągniętych rąk gazetę i wrzeszczał: „Prrr! Prrr!”

Kopyta końskie zazgrzytały w poślizgu na smołowa-  
159

nej powierzchni drogi. Przez moment James myślał, że koń upadnie, ale opuścił tylko łeb, zarył się nogami, zachwiał i stanął. Z bliska James widział duże, kosmate uszy pokryte małymi kropelkami rosy, rozwarłe, subtelnie zarysowane chrapy, lśniące oczy.

- Stój! - rozkazał James, zanim jednak zdążył wyciągnąć rękę, by uchwycić wodze, koń się uchylił i minął go przechodząc na pas murawy. Stanął, popatrzył przed siebie, postawił uszy, a potem zamiast rzucić się w niebezpieczeństwa grożące mu na Chowringhee, zawrócił i odszedł w tę stronę, skąd przybiegł.

- Tak, odszedł - opowiadał James Dunn So-hanowi Lallowi.

Potem, jakby z rozmysłem, koń przeszedł drogę; niej było w tej chwili samochodów, tylko jedna tikka ghar-ry i ryksza, które wyminął i ruszył kłusem niezbyt szybko, ale z określonym celem, niedaleko, bo tylko pa-ręset jardów w górę Lower Circular Road. Tam się zatrzymał, zawrócił zgrabnie w miejscu ze zgrzytem podków

na kamieniach i krótkim galopem wpadł w otwartą bramę. James biegnąc za nim tak szybko, jak pozwalała mu na to tusza, usłyszał stukot kopyt po bruku.

- Ktoś musiał kierować jego krokami - powiedziała siostra Fanny. - Chyba anioł.

Kiedy James dobiegł na miejsce, nie zobaczył nikogo i nigdy się nie dowiedział, że to on w pewnym sensie odegrał rolę anioła. Gdy dotarł do bramy, nie było tam nic poza mdlącym zapachem ciepłego końskiego potu.

- Dziwne, że konie pachną tak miło, a ludzie tak okropnie - powiedział do siebie.

Tylko ten zapach i biała rysa na chodniku. Przy bramie nie dostrzegł odźwiernego. Zajrzał w głąb, ale zobaczył jedynie stary brukowany dziedziniec i niewielki budynek, a w nim boks i stożkowaty stos słomy; była to z pewnością stajnia, lecz nawet jego zdaniem zupełnie nieodpowiednia dla konia wyścigowego. Uważał, że konie wyścigowe mieszkają luksusowo w/ stajniach trenerów, a to był zwykły pojedynczy boks. Koń jednak zdawał się wiedzieć dobrze, dokąd zmierzał. James usłyszał odgłos chrupania - widać pasza była przygotowana.

Obok bramy wisiał sznur od dzwonka - James nie zauważył umieszczonej poniżej w niszy małej statuetki ani krzyża nad nią. Zastanawiał się, czy zadzwonić. Spojrzał na zegarek. Musi zdążyć na swój parowiec, a jeśli zadzwoni, będzie musiał czekać, aż ktoś przyjdzie wyjaśnić, o co chodzi. Koń był bezpieczny, słyszał wciąż, jak chrupał paszę, więc mocno jeszcze zadyszany i spocony grubasek zawrócił na drogę do So-hana Lalla i swego bagażu.

- Ahabash! - powiedział Sohan Lali, co znaczy „Brawo”... - Ale sahib mógł stracić życie - dodał w języku urdu.

- Głupstwo - odrzekł James. Wzywając taksówkę nie gwizdał już jednak piosenki Ye Banks and Braes, tylko Cocfc O'the North.

\*

II - Fuks na torze

161

Ojciec Józef w fioletowych szatach odwrócił się od ołtarza, by udzielić siostrom błogosławieństwa i wypowiedzieć końcowe: Ite missa est - Ofiara spełniona - a siostry wstały w ławkach, by mu odpowiedzieć. Starcy, którzy przyszedli na mszę, powstali również, ci w fotelach na kółkach lub nawet na łózkach, wtoczonych na galerię i balkon, pochylili głowy.

- Deo gratias - Bogu niech będą dzięki. - I wte-»j dy - opowiadała później siostra Mary Fanny - usłyszeli głośne pośliżnięcie na bruku w bramie.

Ksiądz Józef odmówił specjalną modlitwę, ku jej rozczarowaniu nie za spokój Salomona - „Jestem pewna, że on miał duszę” - ale w intencji sióstr pogrążonych w smutku po śmierci konia. Wraz z poprzedzającym go małym brunatnoskórym ministrantem, protegowanym zakonnic, ksiądz Józef chciał już wyjść z kaplicy, gdy nagle przystanął, z nim zaś chłopiec, a przez szeregi zakonnic przeszło drżenie, bo przez okno kaplicy dobiegł niewątpliwy odgłos kopyt końskich stąpających po kamieniach. I ucichł. Ksiądz wyszedł, a zdyscyplinowane siostry przyklęły, by odmówić modlitwę dziękczynną. Matka Morąg ukłękła wraz z nimi, potem szybko dała znak, powstała i wyprowadziła siostry z kaplicy. Starły się wychodzić w skupieniu i spokoju. Wyspały się na dziedziniec i wtedy zadrżały naprawdę; zabrakło im tchu.

W stajni Salomona stał koń. Gdy je usłyszał, odwrócił się, jakby na powitanie. Zobaczyły, że jest ogromny i wspaniały, najpiękniejszy, jakiego oglądały w życiu.

162

.1

Trwało to tylko chwilę. Pasza Salomona nie była jeszcze całkowicie zjedzona, więc jedynym dźwiękiem, jaki się teraz rozlegał na dziedzińcu, było systematyczne chrupanie - siostry stały w milczeniu we wczesnym porannym słońcu. Choć niektóre miały łzy w oczach, twarze ich promieniały. Na koniec siostra Mary Fanny szepnęła:

- To cud, wielbna matko, prawda?

- Jeszcze nie cud. - To pytanie pobudziło Matkę Morąg do działania. - Obudźcie Dila Bahadura - zabrzmiał jej czysty, silny głos. - Powiedzcie, żeby zamknął bramę i trzymał ją zamkniętą.

W małej kancelarii Johna Quillana znajdującej się na terenie stajni stał naprzeciwko niego i pana Leventine'a po drugiej stronie stołu Ching. John nie poprosił go, żeby usiadł. Bobu Ram Sen siedział przy swoim biurku w kącie pokoju i John polecił mu:

- Notuj wszystko, co pan Ah Lee powie. Potrzebny mi raport spisany na maszynie.

Pan Ah Lee! Nie Ching! Ching widział już Johna Quillana zagniewanego, ale nigdy w takim stopniu. John był ponury, wściekły i twardy, jakby wykuty z kamienia czy lodu. Pan Leventine natomiast przypominał oszołomione niemowlę.

- Ależ to niemożliwe - powtarzał. - Koń nie może zniknąć. - Brzmiało to żałośnie. - Jest pan pewien, że wypytał pan wszystkich? W stajniach...

Nad stajniami wisiła cisza, jakby ludzie zostali ogłu-

163

szeni. Tylko Jemadar spacerował tam i sam wydając krótkie rozkazy. Konie zachowywały się normalnie, każdy w swoim boksie. Nie było jedynie Invadera.

- Pytał pan wszystkich?

- Tak - odparł krótko John.

- Zawiadomił pan policję?

- Tak - zabrzmiało jeszcze zwięźle.

- Sam pójde do inspektora.

- Proszę bardzo. - John tracił cierpliwość. Dziecięca twarz przybrała chytry wyraz.

- To na pewno jakiś spisek. Ktoś ma coś przeciwko mnie.

- Zanim wyciągniemy ostateczne wnioski, proponuję, by pan wysłuchał, co powie Ching. - Ah Lee był znów Chingiem, co za ulga dla niego. - Opowiedz panu Leventine'owi dokładnie, co się wydarzyło, od samego początku - rozkazał John.

Ching stał sztywny, usiłując nie zdradzić, że się boi i wstydzi. To jeden z chińskich zwyczajów udawać pogodę ducha w chwilach nieszczęścia.

- Niezmiernie mi przykro - zwrócił się do pana Leventine'a. - Popełniłem żaloszny błąd... - usiłował się roześmiać, co zabrzmiało jak „hee, hee, heee” - ale uważam, że to nie tylko moja wina.

- Oczywiście, że twoja - warknął ze złością John, a czarne chińskie oczka CMnga rozbiegły się na boki, jakby chciały uciec. - Patrz nam w oczy, człowieku - huknął.

Ching spojrział na niego. Za fasadą spokoju malowała się taka męka, że John złagodniał.

164

- Spróbuj nam wszystko opowiedzieć. Zacznij od początku.

- Kiedy Ted... pan Ted... pan Muffins... nie...

- Nie przyszedł i oczywiście nie mógł przyjść - pomógł mu John, bo głos Chinga ścichł z zakłopotania. - To co?

- Sahib Jemadar i ja nie wiedzieliśmy, co robić, poza tym, że trzeba wyprowadzić konie. - John kiwnął głową z aprobatą. - Wtedy Sadiq powiedział nam, że lista poleceń wydanych przez pana na ten ranek leży na stole przy łóżku Teda... pana Mullinsa. Sadiq nie chciał jej przynieść, więc...

-• Kto ją przyniósł?

- Ja. - Ching przymknął oczy, jakby chciał usunąć z pamięci widok pokoju Teda. - Sahib Jemadar nie umie czytać po angielsku, więc przeczytałem... chyba dobrze zrobiłem, co, proszę pana? - spytał.

- Tak, dobrze - odrzekł John.

- Zdecydowaliśmy, że ja pojedę zamiast pana Teda, moje miejsce zajmie pierwszy stajenny et cetera, et cetera... - Ching z dumą wymawiał to słowo. - Jemadar ustalał czas. Czy dobrze zrobiliśmy, sir?

- Tak, dobrze - powtórzył John.

-• Wsiadłem na Invadera. Niełatwo było przejechać drogę, tak dużo tam stało ludzi, ale wziętem ze sobą Sadika i Alego którzy prowadzili go z dwóch stron Potem według pana wskazówek zrobiłem jedno, dwa okrążenia, jak robił pan Ted. A potem... - Ching dławiał się słowami.

- Co potem?

165

- Kiedy wróciliśmy, stało tam pięciu czy sześciu angielskich dżokejów, którzy się nam przyglądali.

Wszyscy patrzyli na Darkiego. Byłem dumny, że to ja, Ching, na nim jadę. Jeden z dżokejów powiedział: „Spójrzcie, to ten koń, na którym mamy zdobyć Puchar Wicekróla w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia.

W tym sezonie jeszcze ani razu nie wysunął się na czoło”. Byłem bardzo dumny - opowiadał Ching. -

Wróciłem do Jemadara i opowiedziałem mu to, co usłyszałem. Wtedy podeszli dwaj dżokeje. Jednego znałem. To był sławny Tom Bacon. Widziałem jego fotografię... „Chcecie pojechać? Nie? - I śmieje się. - To dobrze. Bo ja mam ochotę”. - Ching przełknął ślinę. - Nie rozumiałem, że on tak umyślnie... Podeszedł bliżej... ucieszyłem się. Angielscy dżokeje nieczęsto się do nas odzywają. „Wy tu za wszystko odpowiadacie?” - spytał. „Dziś rano tak” - mówię. I pytam: „Czy pan Bacon? Widziałem pańską fotografię”.

Drugi dżokej się roześmiał. „To pochlebne dla ciebie, Streaky!” A potem pan Bacon popatrzył na Darkiego i mówi: „Piękny koń”, a ten drugi dorzucił: „Zdaje się, że on nie bardzo lubi pana Bacona. Dość tego, Streaky. To Dark Inva-der. Jeździłeś na nim”. „Tak, pamiętam, chyba jechałem na nim, gdy pierwszy raz biegał... W Lingfield Wygraliśmy, jak było spodziewane”. „Jeszcze drugi raz na nim pojechałeś”. „Tak? Nie pamiętam”. „Tak! W Doncaster”. - Czy tak się ta miejscowość nazywa? - spytał Ching. John kiwnął głową. - Tamten dżokej mówił dalej: „To znaczy niby pojechałeś. Bo cię zrzucił i wrócił do domu”. „Doprawdy? - zdziwił się

166

pan Bacon. - Nie pamiętam. Wiesz, Willie - ten drugi miał na imię Willie - trzeba być zawsze przygotowanym na jakiegoś guza - myślał chyba o upadku z konia - dodał Ching - w wyścigu dwulatków”. A pan Willie odpowiedział: „Nie wyglądało to na wyczyn dwulatka. Jechałem cały czas za tobą. Temu koniowi nie



podobała się chyba twoja brawura". Wtedy pan Bacon się rozgniewał - ciągnął Ching bardziej dramatycznym tonem. - „Nie chcę słuchać takiego gadania. Nie było jeszcze konia, który by mnie nie lubił”. Potem...

- Co potem!? - spytał John.

- Uśmiechnął się do mnie miło i spytał: „Chciecie pojeździć?” Mówiłem panu, nie rozumiałem, że on tak umyślnie mówił, więc odpowiedziałem... - Ching zająknął się.

- Co odpowiedziałeś? - ponaglił go John.

- Powiedziałem: „Byłby to dla mnie zaszczyt, sir” A on na to: „Doskonale. Przejadę się na nim zamiast was”. Więc zsiadłem, proszę pana. A on pytał: „Dlaczego jeździecie na takich długich strzemionach? To po staroświecku”. - Ching rzucił Johnowi spojrzenie pełne wyrzutu. - Mogłem tylko odpowiedzieć: „Tak mi kazano”. On się zaśmiał. „Jak cholerny konny policjant”. I skrócił strzemiona o pięć dziurek. Potem wziął cugle, a ja... ja go podsadziłem. Pan Willie zawołał: „Uważaj, Streaky”, ale pan Bacon nie słuchał. Powiedział do mnie: „Dziękuję, bracie”. „Bracie”, jakbyśmy byli kolegami. Więc...

- Pozwoliłeś mu odjechać - rzekł John.

167

- Tak. Hee... hee... he... - Ching znów roześmiał się nerwowo.

- Mów dalej! - ponaglił go bezlitośnie John.

- Zdawało mi się, że Darkie był zaskoczony. Ale że trzymaliśmy go z Sadikiem, ufa\* nam. - Chinga znowu zatkało.

- Co dalej?

- Pan Willie zawołał: „Uważaj!”, bo jak tylko Strea-ky usiadł w siodle, Darkie położył uszy po sobie. A oczy to miał takie, jakich nigdy u niego nie widziałem. Streaky zebrał wodze i wtedy Darkie oszalał. - Ching zadrżał. - Tamci inni angielscy dżokeje zaśmiewali się, jakby to był żart, kiedy Darkie prawie stanął na łbie, a potem dęba... Śmiali się i krzyczeli: „Gdzie twoja magia, Streaky? Ten koń cię naprawdę nie lubi”. Panu Baconowi się to nie podobało i gdy Darkie po raz drugi stanął dęba, z wściekłością zdzielił go szpicrutą, z wściekłością - powtórzył Ching. - Po udach i niżej. Z taką wściekłością, że Darkie zarżał cienko, nigdy nie słyszałem, żeby tak rżał, zrzucił go z siodła i pognał przed siebie. Złapałem szybko Flashlight, którego trzymał stajenny, i popędziłem za nim... Jemadar wysłał chłopca stajennego w drugą stronę. Ale na Chowringhee nie było nic, tylko zwykły głośny ruch... Boczna droga była pusta... Patrzyłem... pytałem... w końcu wróciłem. Streaky Bacon stał jak ogłuszony. Zaprowadzili go na trybuny. Myślę, że tego nie wybaczy.

- My też nie wybaczymy - rzekł John.

Rozdział szósty

- Matko wielebna, czy spróbujemy dziś wieczorem zaprząć do wozu Piękniś? - Dark Invader został nazwany Piękniś.

- Nie bądź niemądra, dziecko - odparła Matka Morąg. - To koń wyścigowy. - I mogłaby dodać I chyba słynny. - Gdybyśmy go zaprzęgly między dyszle, roztrzaskałby wóz.

Radość siostry Mary Fanny przygasła.

- No to nic nam po nim.

- Zobaczymy. - Matka Morąg nie powiedziała ani słowa więcej, ale uśmiechnęła się tajemniczo, jakby w duchu ubawiona.

Siostra Ignacja powtórzyła mniej więcej to samo, co siostra Mary Fanny, tylko swoim zwyczajem kwaśnym tonem:

- Wiem, że nie wolno krytykować Wszzechmocnego, ale jeśli to jego palec, to mógł nam przysłać odpowiedniego konia.

- Może uważa, że powinniśmy skorzystać z własnego rozumu.

- Co zrobimy tymczasem? - spytała siostra Ignacja.

169

- Jeśli to możliwe, w ciągu dwudziestu czterech godzin nic - odrzekła matka Morąg. - W ten sposób zwiększy się napięcie.

Trzeba było jednak podjąć pewne kroki. Na skraju warzywnika wyznaczony został tor i trzy razy dziennie Piękniś musiał go obejść w kółko co najmniej dwadzieścia razy.

- Jeśli Gulab się boi, ja się tym zajmę lub może to zrobić siostra Joanna - powiedziała Matka Morąg. - Jest przyzwyczajona do koni.

Gulab pękał z dumy, że powierzono mu opiekę nad tym kolosem, ale był też trochę przerażony.

- Będę musiała pomagać przy obrządzaniu go - stwierdziła Matka Morąg z błyskiem w oku.

Gulab był za stary, żeby stosować hart molesh. Tegoż ranka oczom zgromadzenia ukazał się budujący widok: przełożona szcotokowała ciemną sierść konia, rozczesywała palcami grzywę i ogon, przemywała gąbką oczy i nos i czyściła duże kopyta, które podtrzymywał Gulab. Nawet zręcznie podwiązała ogon „naszym najszerszym bandażem”, biadała siostra Anna, zarządzająca klasztorną infirmerią. Trzy razy

dziennie, ubrana w czarny płaszcz, Matka Morąg przemawiając do ogromnego konia oprowadzała go wokół warzywnego ogrodu.

- Co matka mówi, wielbna matko? - pytały siostry.
- Odmawiam pacierz albo psalmy. Piękniś chyba to lubi.

Spacer odpowiadał jego lenistwu, tak samo jak ka-  
170

walek chleba z solą - nagroda za dobre zachowanie - zaspokajał łakomstwo.

Istniały i inne problemy, nie tak łatwe do rozwiązania.

- Trzeba go dziś wieczorem porządnie okryć - powiedziała Matka Morąg. - Koce Salomona nie są wystarczająco grube. Tak jak i nasze. - Zastanawiały się wszystkie nad tym, aż wreszcie Matka Morąg zdecydowała: - Już wiem. Weźmiemy kołdrę z łóżka biskupa

Łóżko nie było w rzeczywistości łóżkiem biskupa - nocował on w klasztorze tylko raz - lecz był pokój przygotowany dla gości „nie nawykłych do naszych zwyczajów”. Pokoju tego używano rzadko.

- Ależ, wielbna matko - zaprotestowała siostra Ignacja - tę kołdrę dostaliśmy z Belgii. Jest ręcznie zszywana z kawałeczków materiału.

- Jest ciepła. Jeśli ten koń się zaziębi...

Przez resztę dnia siostra Ignacja chodziła mrucząc:

- Kołdra biskupa! Kołdra biskupa! Następnym problemem była pasza.

- Jeśli wydam trzy lub cztery razy to, co dawałyśmy biednemu Salomonowi... - zaczęła siostra Emanuela, szafarka.

- Koń padnie na niestrawność. - Uśmiech Matki Morąg zastąpiła pełna przygnębienia zmarszczka na czole.

- Nie mamy pieniędzy na kukurydzę, owies czy coś innego, co oni tam koniom dają.

- Nie możemy tego kupić - stwierdziła Matka

171

Morąg - ale mogłybyśmy to „zebrać”. - Zmarszczka znikła z jej czoła i Matka Morąg powiedziała: - Bunny!

- Cud! - Bunny rozplywał się z zachwytem.

Matka Morąg przyznała się siostrze Ignacji, że trochę ubarwiła historię, którą mu opowiedziała. Podobnie jak siostra Fanny, był przekonany, że nastąpił cud.

-- I matka przełożona prosi mnie, żebym wziął udział... w tym cudzie! Dziękuję, matko! Dziękuję!

- Nie usłyszałeś jeszcze, co chcemy, żebyś zrobił.

- Zrobię wszystko! Wszystko!

- Po pierwsze, chcemy coś od ciebie dostać. Bunny się spieszył.

- Ależ ja nie mam pieniędzy.

Jako niepełnoletni i równie nieobliczalny jak rozrzutny, Bunny był pod ścisłym nadzorem wyznaczonego przez rząd gubernatora okręgu. „Moja szara eminencja”, mówił o nim z całkowitym brakiem szacunku, a o rządzie brytyjskim „władza najwyższa”.

- Wie matka przecież, jak mocno trzymają mnie w garści.

Pozwalają ci mieszkać zaledwie w dwóch pałacach, podróżować do Londynu i na Riwierę, grać w polo w Indiach i w Anglii na wspaniałych kucach, pomyślała Matka Morąg.

- Mógłbym pożyczyć słonia, ale nie na wiele by się to zdało.

Matka Morąg roześmiała się wyobraziwszy sobie słonia

kroczącego wraz z siostrami i ich pojemnikami od restauracji od restauracji.

- Wiem, że to śmieszne - rzekł Bunny. Nagle jego twarz się rozjaśniła. - Mam trochę biżuterii po matce. To do państwa nie należy. Mógłbym ją oddać matce przełożonej.

- Kochany Bunny, nie potrzeba mi nic takiego. Nie chodzi o klejnoty, tylko o paszę dla konia

- Paszę dla konia?

- Tak. Najlepszą, jaka jest, wasza wysokość. - Od czasu do czasu Matka Morąg przypominała Bunny'emu o jego tytule. -- Nie chcemy, żeby ten koń odczuwał jakiegokolwiek braki. Salomonowi wystarczyło to, co kupowała siostra Emanuela.

- Co to było?

-i Mieszanka dla koni numer trzy: jęczmień, czasem z wołkami zbożowymi w środku, groch łupany, soczewica i zmiotki ze słomy ryżowej...

- AH Ъap! - wykrzyknął Bunny. -- I on o tym żył?

- Salomon żył, ale - Matka Morąg przechyliła się nad biurkiem, bo przyjęła Bunny'ego w swoim gabinecie - potrzebne nam jest to samo, co dajesz swoim kucom od polo, i to w podwójnej ilości.

- Przyślę matce całą ciężarówkę.

- Nie, nie, wasza wysokość. Proszę nie! Czy mógłbyś przywieźć ze dwa worki w bagażniku samochodu?

-• Rozumiem. - Oczy Bunny'ego rozblęły, jak przedtem Matki Morąg. - To ma być tajemnica.

- Tak. - Im bardziej sensacyjny posmak ma to

173

wszystko, co mówię, tym lepiej, pomyślała Matka Morąg.

- Zaraz to zrobię.

- I na razie wasza wysokość zachowa dyskrecję? Bunny poczuł się urażony w swej książęcej dumie.

- Moi przodkowie ucinali język każdemu, kogo posądzali o zdradę. Matka wielebna nie będzie zmuszona do czegoś takiego w stosunku do mnie.

- Bunny, nie pomyślałabym nawet o obcięciu ci języka. - Matka Morąg wstała i położyła mu serdecznie rękę na ramieniu. - Dzięki i błogosławię cię.

Bunny przywiózł worki. Dii Bahadur otworzył bramę, aby go wpuścić, i zaraz szybko zamknął. Matka Morąg wyszła na dziedziniec, żeby dopilnować złożenia paszy, a potem Bunny zobaczył Invadera.

- Na Boga! - powiedział i zarumienił się. - Proszę wybaczyć, matko wielebna, ale nie mogę doczekać się chwili, kiedy zobaczę minę Leventine'a.

- Leventine'a?

- To właściciel konia. Pan Casimir Alaric Bruce Leventine. John Quillan zamorduje matkę za to. A to heca!

- Obawiam się, że masz rację. Ale... jeszcze jedno - powiedziała Matka Morąg poważnie. - Wasza wysokość wie zapewne, że ludność uważa nasz klasztor za azyl.

- Istotnie, to święte miejsce - potwierdził Bunny.

- Staramy się, by nikt w nieszczęściu nie został stąd odprawiony. Ten koń był udręczony okropnie.

Spieniony, zбитy. Popatrz tutaj.

174

Dark Invader nie wyglądał wcale na zmaltretowanego, lecz pręga od szpicruty Bacona była jeszcze widoczna. Bunny pochylił się, żeby ją lepiej obejrzeć. Potem porzuciwszy sztuczny ton odezwał się jak prawdziwy miłośnik koni:

- Paskudne cięcie. Na skraju blizny widać krew. Trzeba wezwać kapitana Macka.

- Obawiam się, że tak.

Nuta żalu w głosie Matki Morąg sprawiła, że Bunny podniósł na nią wzrok.

- Sądzę, że matka wielebna oczekuje ode mnie pomocy. O co chodzi?

- Ponieważ nie zdołamy utrzymać dłużej sprawy w tajemnicy, rozpuść tę wiadomość, że Piękniś - bo tak go nazywamy - wpadł do nas spieniony i zбитy. Że wybrał tu sobie azyl. Wiesz przecież, że ludzie ci uwierzą.

Była to prawda. Ledwie Bunny pokazał się na placu do gry w polo, tłum go pozdrawiał. Po skończonej grze ludzie otaczali go zwartym kołem, próbując całować jego buty, rękawiczki, kij do gry, nawet kuca.

- Rozpuszczę tę wiadomość - obiecał. - Daleko i szeroko.

Kapitan Mack zazwyczaj wjeżdżał na dziedziniec klasztoru przez bramę. Tym razem ku swemu zdumieniu zastał ją zamkniętą. Dii Bahadur, który na niego czekał, poprowadził kapitana do drzwi frontowych, przez które nigdy dotąd nie wchodził. Otworzyła mu

175

jedną z sdostr i poprosiła na górę, „do gabinetu wielebnej matki przełożonej”, gdzie zastał istotnie Matk Morąg.

- Co za niezwykła oficjalność - zauważył.

- Bo i niezwykła okazja. Panie kapitanie, zechce pan wyrzeć przez okno i powiedzieć mi, co pan widzi?

- Coś takiego! - wykrzyknął usłuchawszy polecenia kapitan Mack.

Na dziedzińcu puszczonej swobodnie znany mu dobrze wielki, skarogniady koń zabiegał o względy dla siebie - trudno to określić inaczej. Siostra Barbara i dwie inne siostry stały półkołem, a on przechodził:} z powagą od jednej do drugiej, obwąchując je z nadzieją, i dostawał chleb z solą, wyniesiony z refektarza, Gulab, który zaczynał opanowywać swój lęk przed koniem, garścią słomy wycierał mu boki. Kapitan drgnął na ten widok. Takie łechtanie może spowodować, że capnie zębami którąś z zakonnicek. Invader nie zwracał jednak uwagi na to, co się działo z jego wrażliwymi zębami. Był zbyt zajęty nawiązywaniem przyjaźni i zjadaniem wszystkiego, co przy okazji dostawał.

- Ten stary czort zawsze był łakomy - powiedział kapitan Mack. - Zjadał nawet własną ściółkę.

- Mam nadzieję, że nie zje ściółki Salomona, ale to Invader, prawda, panie kapitanie?

Gęsta brązowa sierść z jedną jasną plamką, nie ulegający wątpliwości wzrost i siła, szerokie, prawie obwisłe uszy i łagodne przyjacielskie usposobienie zmuszały do jednej tylko odpowiedzi:

176

- To z pewnością on. Ale kto i dlaczego przyprowadził go tutaj?

- Nikt z tej ziemi, tak przynajmniej uważają moje siostry. Wie pan, nie miałyśmy pieniędzy na kupno konia w miejsce Salomona. Ale modliłyśmy się. - Matka Morąg gestem pełnym wyrazu uniosła w górę rękę. - Byłyśmy w kaplicy, gdy usłyszałyśmy stukot kopyt.

- Nadzwyczajne!

- Nic podobnego. Nam się to często przytrafia.

- To znaczy, że koń przyszedł tu z własnej woli? -• Najwyraźniej. Przybiegł sam, miał na grzbiecie

siodło i był obudzany. Przypuszczalnie zrzucił jeźdźca. Wysłałam Dila Bahadura, żeby sprawdził, czy nikt za koniem nie nadszedł, ale nie było nikogo. Moje siostrzyczki sądzą, że szukał on...

- Czego szukał?

- Schronienia. - I powtórzyła to, co mówiła Bun-ny'emu: - Był spieniony, zmęczony i schłostany.

- Niemożliwe. - Kapitan nie chciał być nieuprzejmy, ale dorzucił: - To jeden z koni trenera Johna Quillana.

- Czy zechciałby pan zejść na dół i obejrzeć go? Miałam nadzieję, że będzie można poczekać dwadzieścia cztery godziny, ale Bunny mówi...

-- Bunny! Czy on jest w to zamieszany? - Dzięki Bogu tak.

Kapitan Mack w najwyższym stopniu oszołomiony zszedł z Matką Morąg do stajni.

- Co pan powie na to? - spytała przełożona, gdy doktor obejrzał cięcie szpicrutą.

12 - Fuks na torze

177

Kapitan Mack podniósł na nią wzrok, oczy miał pociemniałe z gniewu.

- Ktoś musiał istotnie wpaść w furję, a nie mógł to być Ted Mullins, dżokej jeżdzący na Darkiem, ani żaden z chłopców Quillana. Bardzo, bardzo tajemnicza sprawa.

Posłał Dila Bahadura po swoją torbę, oczyścił delikatnie ranę i podał Gulabowi butelkę płynu.

- Wszystko powinno być dobrze, ale koń musi mieć ruch.

- Ma ruch. Same z siostrą Joanną zrobiłyśmy to. - Matka Morąg wskazała tor wytoczony wokół warzywnika, a kapitanowi drgnęły wargi w uśmiechu, gdy pomyślał o zakonnicach w habitach prowadzących w kółko rosnącego konia. Jego uśmiech pogłębił się, gdy zobaczył, że Gulab okrywa Invadera biskupią koldrą rozpościerając ją na zniszczonym zielonym kocu Salomona. Popręg Salomona nie objąłby Invadera, więc zakonnice musiały go przedłużyć swoimi cennymi bandażami.

- Uważa pan, że wszystko jest w porządku?

- Nie chciałbym się wtrącać, ale jednak...

- Jednak?

- Czy matka wie, co to za koń ten Invader?

- Wiem.

- Kandydat do nagrody o Puchar Wicekróla...

- To bardzo szczęśliwa dla nas okoliczność.

- ...który może wygrać setki tysięcy rupii. Twarz Matki Morąg przez moment miała wyraz wiązjonerski.

178

- Z których trochę przypadłoby może nam. To znaczy rupii, nie tysięcy.

- Czcigodna Matko, proszę się obudzić. - Kapitan był zmuszony to powiedzieć. - Jako lekarz weterynarii Klubu Wyścigowego mam obowiązek powiedzieć właścicielowi, gdzie koń się znajduje.

- Właśnie o to chcę pana prosić - odrzekła Matka Morąg.

Wyszedłszy, ze stajni kapitan Mack zobaczył Dila Bahadura. Drobny Gurkha promieniał dumą i zadowoleniem.

- Widział pan doktor naszego konia? Rozmawiali w dialekcie nepalskim.

- Tak. A skąd się tu wziął? Właśnie teraz?

- Bóg go zesłał.

- Dlaczego?

- Bo się modliliśmy. - Dii Bahadur był zdumiony, że ktoś może w to wątpić. - Wielebne siostry. Ksiądz.

Gulab poszedł do kaplicy. A ja poszedłem do świątyni. Dałem pięć rupii, obmyłem się, a jak wróciłem, koń już tu był.

- Coś podobnego! - powtórzył kapitan Mack. - Kareta w asy!

Służący kapitana zakręcił korbą starego lorda, a kapitan ujął kierownicę. Rozległ się głośny warkot i samochód ruszył gwałtownie do tyłu, do czego skłonny jest często Ford model T.

179

- Jazda! - ryknął kapitan Mack, jak do potykającego się konia, i nacisnął pedał. Odjechał drogą i nagle zaczął się śmiać.

Późnym popołudniem pan Leventine, John Quillan i Ram Sen po bezowocnych poszukiwaniach zgromadzili się znów w kancelarii.

- Kto o tym wie? - spytał pan Leventine.

- Cała stajnia oczywiście.

- Mówię o ludziach, którzy coś znaczą.

W takim wypadku każdy znaczy więcej, niż się panu zdaje, chciał powiedzieć John, ale się powstrzymał. Nie miało sensu pogłębiać jeszcze nieszczęścia.

- Ma pan na myśli dzisiejszą wieczorną defiladę? - spytał głośno. - Powiem, że wystaliśmy Darkiego do Barrackpore z... Tedem. - John z trudem zmusił się do wymówienia tego imienia. - Z powodu gromadzących się tłumów.

- Dobrze. A co z Baconem?

- Streaky jest ostatnim człowiekiem, który by opowiadał o upadku z konia. Ale inni? To zresztą kwestia czasu. A jak znajdziemy Darkiego, czy będzie mógł biegać?

- Pogłoska, że nde będzie mógł, podbiłaby stawki w totalizatorze, a wtedy wszyscy zaczęliby coś podejrzewać. Nie mogą i nie chcą dopuścić do czegoś podobnego.

Może będziesz musiał, pomyślał John, ale nie powiedział tego głośno. On myśli o swojej cennej pozycji, 180

o tym, że uściśnie dłoń wicekróla. Ale na razie pan Leventine uderzył pięścią w stół.

- Wyjaśnijmy tę sprawę. Póki nie będą znane prawdziwe fakty, żadnych przecieków do prasy ani do nikogo. Słyszysz pan? - postraszył Таби.

- Sądzę, że nie mówi pan do mnie, sir - rzeki z godnością Ram Sen. - Proszę, niech mi pan wytłumaczy, w jaki sposób zacznie pan szukać konia, skoro zabrania pan mówić, że coś panu zginęło?

- Nie coś, tylko mój koń. - Podniecenie rosnęło. - To spisek! - krzyknął pan Leventine. - Czuję > tu czyjąś zawiść. Któregoś z was przekupiono.

Na szczęście tyradę tę przerwał nadjeżdżający samochód, niewątpliwy stukot i kołatanie starego Forda T i okrzyki dzieci Johna biegnących na jego spotkanie. Kapitan Mack pozbył się ich z właściwą sobie umiejętnością - prawdopodobnie miał w wozie szczeniaki albo króliki - bo sam stanął w drzwiach.

- Dzień dobry lub raczej dobry wieczór. - Popatrzył po wszystkich. - Jest pan wyraźnie zgnębiony - zwrócił się do pana Leventine'a. - Czyżby pan zgubił jakiś drobiazg?

Pan Leventine wyprostował się na krześle. John uniósł głowę.

- Cenny drobiazg?

- Nie żartuj, Sandy.

- Ja nie żartuję.

- Znalazł go pan? - Pan Leventine zerwał się z miejsca.

- Nie, nie znalazłem. Zostałem do niego wezwany.

181

- A więc coś mu jest?

- Ma ślad po cięciu batem, ale poza tym jest cały i zdrow i prawdę mówiąc w raj.

- W raj? Gdzie jest ten raj?

- Kapitan chce powiedzieć, że koń jest pod dobrą opieką. Przestań błaznować, Sandy - rzekł John zirytowany. - Gdzie on jest?

- W klasztorze sióstr od ubogich tuż przy drodze.

- W klasztorze! - popatrzyli obaj z niedowierzaniem na kapitana Macka. - Skąd się tam wziął, na miłosierdzie boskie? - spytał John.

- Na miłosierdzie boskie, właśnie. Siostry wierzą, że to za sprawą Boga.

Pan Leventine był już przy drzwiach.

- Idę po niego. Johnny, wezwij Sadika i Alego.

- Chwileczkę - przerwał kapitan.

- Bo co?

- Dziwnym zbiegiem okoliczności ubiegłego wieczoru zakonnice straciły swój jedyny środek transportu. To znaczy konia pociągowego.

- Co to ma wspólnego z naszą sprawą?

- Wydaje się, że bardzo wiele. Jeśli zna pan psalmy - kapitan bawił się znakomicie - pamięta pan zapewne kłopotliwy werset. - I zacytował: - „Albowiem mój jest wszelki zwierz leśny i bydło na gór? tysiącu. Znam wszelkie ptactwo na górach i cokolwiek żyje na polach, jest przy mnie... Bo mój jest świat i co go napelnia”. \*  
Co oczywiście dotyczy także Invadera

• Psalm 50, 10--П. Przekład Czesława Miłosza (przyp. tłum.)

182

To moje ulubione wersy - dorzucił kapitan Mack \_\_\_

Kiedy mam dość okrucieństwa i znieczulicy, znajduję pociechę w tych słowach. Pana Leventine'a jednak te słowa nie pocieszyły.

- Bzdura - orzekł. Słowo to przejął od sir Hurnph-reya.

- Zakonnice nie uważają tego za bzdurę. Wierzą w to. - I zacytował znowu: - „Mój jest wszelki zwierz...” Ja, niestety, musiałem stwierdzić zgon konia należącego do sióstr. Modliły się o nowego i... hokus pokus!

- Dość tego!

- Chwileczkę, proszę pana - rzekł kapitan Mack. --Rzecz nie tylko w tym. Siostry uważają, że Dark Invader wybrał u nich azyl.

- Azyl?
- Tak, schronienie. Święte miejsce, gdzie zbieg, wygnaniec jest bezpieczny. Oczywiście można to załatwić - dodał kapitan - ale one postawią warunki.
- Ja im dam warunki! John, każ przyjsz stajennym.
- Posłuchaj, Cas. - John po raz pierwszy użył zniechęconego spieszczenia. - Sytuacja może być drażliwa. Znam Matkę Morąg, przełożoną klasztoru. Pozwól, że ja tam pójde.
- To mój koń. Rób, co kazałem.

Szofer zakręcił korbą samochodu, silnik zapalił, klakson zatrąbił. Dzieci, kury, psy rozpierchły się, gdy Minerva ruszyła.

Nigdy jeszcze dzwonek bramy klasztornej nie został

183

szarpięty tak mocno. Po tym nastąpił grad uderzeń, ale furtianka w czystym białym fartuchu nie wydawała się tym poruszona.

- Słucham pana? - spytała.
- Chciałbym zobaczyć się z... - Pan Leventine nagle się zmieszał. Nie wiedział, jak zatytułować osobę, z którą chciał mówić. - Z zakonnica, która tu wszystkim kieruje, i to zaraz.
- Niestety, zaraz to niemożliwe - odrzekła siostra Brygida. - Wielebna matka jest na nieszpiorach.
- Na nieszpiorach? - Pan Leventine powtórzył to słowo takim tonem, jakby spotkał go afront.
- To nasze wieczorne modły. Zechce pan zaczekać w saloniku?

I chcąc nie chcąc pan Leventine znalazł się uwięziony w niewielkim, prawie pustym pokoju, nienagannie czystym od prostej kamiennej podłogi do bielonych ścian i sufitu. Całe umeblowanie stanowiły tu: stół, drewniane krzesło i mała szafka z książkami, której a nogi stały na spodeczkach z płynem niszczącym białe mrówki. Oraz krucyfiks.

Dwukrotnie pan Leventine chwycił za dwonek i dwukrotnie zjawiała się siostra furtianka.

- Czy... jak się to nazywa... już skończone?
- Jeszcze nie. Siostry słuchają teraz czytania.
- Ależ... to trwa bez końca.
- Pół godziny. Niedługo. Za drugim razem:

184

- Już niebawem koniec. Siostry śpiewają Magnificat.
- Magnificat?
- Pieśń Matki Boskiej, pochwalną i dziękczynną. - Furtianka się uśmiechnęła. - Dziś ma ona dla nas specjalne znaczenie. Otrzymałyśmy konia.
- Otrzymałyśmy! - Pan Leventine nie dzwonił już więcej.
- Więc łaskawa pani odmawia oddania konia.
- W warunkach, jakie zaistniały, tak, I będę zmuszona dobrze się zastanowić, zanim coś wpłynie na zmianę mego postanowienia. - Przez moment orzechowe oczy pozostawały spuszczone. Matce Morąg trudno było usunąć z nich cień rozbawienia, wiedziała jednak, że musi panować nad wzrokiem i patrzeć z powagą w oczy panu Leventine'owi. Podniosła oczy. - Może będę nawet zmuszona zasięgnąć rady naszej matki generalnej w Bruges.

\_\_\_ W Bruges! To przecież/ w Belgii. Łaskawa pani!

Koń ma za pięć dni wziąć udział w wyścigu.

\_\_\_ Co za zawód dla pana - stwierdziła Matka Morąg.

Pan Leventine zdawał się puchnąć.

- Nie jestem przyzwyczajony do zawodów.
- Jakim wyjątkowym musi pan być człowiekiem - odparł chłodny głos.
- Idę prosto na policję, na Lali Bazaar. Matka Morąg skłoniła głowę na znak zgody.
- Nie będę pana zatrzymywała - rzekła.

\*

185

W ogrodzonym sztachetami budynku z czerwonej cegły, gdzie przy Lali Bazaar mieściła się komenda policji, komisarz patrzył spokojnie na pana Leventine'a. Miał już zamiar iść do domu, kiedy jego zastępca wszedł błagając:

- Szefie, nie umiem poradzić sobie z tą sprawą. Tyle o to hałas. - I podał mu swój notes.
- Teraz, pod łagodnym, baczny spojrzeniem komisarza, nawet pan Leventine jąkał się i łagodził nieco swój ton, choć krzyczał nadal:
- Nic się nie robi! Nie otrzymuję żadnej odpowiedzi. Na Boga, panie komisarzu! Ukradziono mi konia!
- Sądzę, że siostry od ubogich nie kradną. - Komisarz miał przed sobą notes, ale zadał jeszcze parę dodatkowych pytań. - Przykro mi - powiedział potem - lecz na razie lepiej będzie nic nie robić. Policja z zasady nie miesza się do religijnych dyskusji i sporów.

- To nie jest dyskusja. To fakt... fakt.  
- Do sporów - ciągnął komisarz, jakby go nie słyszał - między Hindusami, muzułmanami, buddystami, chrześcijanami... Ingerujemy tylko w razie użycia przemocy, a tu przemocy nie widzę. Siostry od ubogich to najbardziej zasłużony ze wszystkich zakładów dobroczynnych. Wiemy o tym, bo często posyłamy im nędzarzy znalezionych na ulicach lub w rynsztokach, a także starców, którzy zamieszkiwali nędzne budy. Przypuszczam, że przejeżdżając widział je pan tysiące razy - po tamtej stronie. - Pan Leventine wciągnął gwałtownie oddech. Dlaczego on, strona pokrzywdzo-

136  
na, ma wysłuchiwać kazań? Najpierw kapitan Mack, a teraz ten policjant, który mówił dalej: - Oddają temu miastu wielką przysługę i w zamian nie chcą nic.

- Tylko mego najcenniejszego konia.

- Nie dla siebie, proszę pana. Dla pana strata tego konia oznacza stratę okazji wygrania może dużej sumy pieniędzy i utratę prestiżu. Dla nich utratę możliwości zapobiegania głodowi. Nie robią tego dla siebie, lecz dla dwustu ludzi, których mają w przytułku, a jak je znam, z pewnością dla wielu jeszcze innych. Czy był pan kiedyś głodny? Nie sądzę. Oczywiście, jeśli pan zechce, może pan zaangażować w to prawo, ale narazi to pana na ludzką nienawiść i pochłonie moc czasu.

- Czas! Wyścig ma się odbyć za pięć dni! Nie, już prawie za cztery.

- Wobec tego dobrze panu radzę załatwić samemu sprawę z siostrami. Do widzenia panu.

Gdy pan Leventine wyszedł spokojniej, niż wszedł, komisarz uśmiechając się szeroko przysunął do siebie blok listowy.

„Wielebna Matko - pisał - przed chwilą widziałem się z panem Leventine'em i chcę donieść, że popieram...”

Matka Morąg otworzyła list dopiero nazajutrz rano. Gdy nadszedł, siostry odmawiały właśnie kompletę, po której nie wolno było załatwiać żadnych interesów, przyjmować listów, a nawet telefonów, chyba w nagłej potrzebie. „To jest nagła potrzeba”, wyobrażała

137

sobie odpowiedź pana Leventine'a. „Nie dla nas”, odpowiedziałyby mu. Telefon zadzwonił gniewnie dwa czy trzy razy. Ktoś łomotał do frontowych drzwi. Mimo pozornego spokoju Matka Morąg spędziła następną bezsenłą noc.

„Z radością przeczytałam list pana” - napisała do komisarza.

Na nocną rundę miały być wynajęte dwie tikka gharries.

- Nie możemy przerwać zbiórki.

- Ależ, wielebna matko, jakież to wydatek!

- To nie będzie długo trwało. Modlę się i ufam - dodała tajemniczo.

Choć wydawała się zupełnie opanowana, ufna i pogodna, dręczył ją niepokój, przede wszystkim dlatego, że nie wiedziała, czy postępuje słusznie. Dałaby wiele, by móc poradzić się księdza Józefa, lecz był to człowiek lękliwy. Dałaby wiele, by móc zasięgnąć rady matki generalnej i rady klasztornej. Co by mi powiedziały? - myślała.

Gdy wniesiono pojemniki i wyjęto z nich żywność, poszła znowu do pogrążonej w ciemności kaplicy.

Jaśniało tam tylko małe światełko przed tabernakulum, płonęło pewnie, niewzruszone. I ja muszę być pewna i niewzruszona, powiedziała sobie, ale była zbyt zmęczona, żeby się modlić. Najlepsza modlitwa to spokój - nie myśleć o tym, jaka będzie cena wynajęcia tikka gharries, gnieczonego owsa czy ściółki z brunatnej kory.

Nie trzeba też myśleć o panu Leventine'ie, o Bunnym, o Johnie Quillanie - biedny John, czy ze-

188

chce jeszcze ze mną mówić? Nie myśleć o Salomonie, o Invaderze, nawet o siostrach. O niczym, tylko powtarzać: „Boże, Boże, pomóż mi. Pomóż mi postąpić tak, jak należy w tej sytuacji. O Boże!”

Kiedy wstał świt, usłyszała, że śpiewa jakiś ptak, i podeszła do okna. Ogród klasztorny tonął jeszcze w ciemnościach, ale niebo się już rozjaśniało i dojrzała tego ptaka siedzącego na szczytowej ścianie klasztornej budynku. Był to drozd śmiało głoszący, że to jego teren, zanim inne ptaki zaczną śpiewać. I wiedziała już, że ta ładna, płynna melodia to odpowiedź dla niej. Była to nie tylko modlitwa i pean pochwalny, ale wyznanie; nie tylko dziękczynienie, ale i agresywność. To, co mam, trzymam dla mego gniazda, dla moich bezbronych piskląt.

- Dziękuję Ci - powiedziała Matka Morąg i znowu uklękła.

Pan Leventine nie posiadał się z furii i rozpacz, „Ta Matka Morąg! Ta zakonnica!” Nagle oczyma duszy zobaczył jej pełną godności postawę, czysty zarys twarzy, orzechowe oczy, delikatne łuki brwi. I ręce - zerknął na nie okiem konesera. To musiała być piękna dziewczyna - pomyślał nielogicznie - uznanie na ogół nie łączy się z uczuciem gniewu, a był wściekły.

- Gdyby nie gonitwa o Puchar Wicekróla, zostawiłbym im tego konia. Dostałyby dobrą nauczkę. Niechby spróbowały go wstawić między dyszle. Gdyby nie ten puchar...

- Ale chodzi o puchar - powiedział John.

189

- Wiem. - Głos pana Leventine'a wzniósł się prawie do krzyku. - Johnny, musisz mnie z tego wydobyć, musisz.

Tylko ty sam możesz to zrobić, pomyślał John, a głośno odpowiedział:

- Prosiłem, żebyś mi pozwolił iść do Matki Morąg. Teraz...

- Wiem, wiem. Ale ten koń z każdym dniem traci formę.

- Nie sądzę. Kapitan Mack...

- Z tego, co słyszę, te kobiety nie mają środków, żeby go żywić.

- Nie mają. Paszę dostarcza im Bunny Malwa.

- Młody maharadża! Ten nicpoń!

- To wielki przyjaciel Matki Morąg.

- Ależ... - Pan Leventine był coraz bardziej oszołomiony. - Sądziłem, że zakonnice to kobiety święte.

- Przekonasz się, że te święte nie zważają na to, z kim przestają. To tylko my przywiązujemy do tego taką wagę. - Ale Johna zaczynało to już nużyć. - No, dobrze. Spróbuję.

- Koń zmuszony został do biegu wbrew swojej woli. - Matka Morąg dowiedziała się od jednego z dzieci Johna wszystkich szczegółów dramatycznej historii Invadera. - Jechał na nim dżokej, którego koń się bał. Kto wie, jaki ból mu kiedyś zadano? Jeden z pańskich ludzi oddał go znowu w ręce tego człowieka, a gdy się zbuntował, został najokrutniej zbity, proszę

190

spytać kapitana Macka albo sama to panu pokażę. Poniósł zaślepiony strachem i bólem.

- Czy wielbna matka już skończyła? - spytał John.

- Rozumiem. Nie powinnam mówić dalej. - Matka Morąg uśmiechnęła się. - Ma pan zupełną rację.

Wiedziała, że to był łańcuch pozornych przypadków,

- Pozornych?

- Tak. Powiedziała „pozornych”, ale o tej historii będzie się mówiło, dopóki Invader tu będzie.

- Co jest dla was korzystne.

- Oczywiście. I jeszcze jedno. My, siostry od ubogich, poza trzema wymaganymi ślubami składamy jeszcze dodatkowo: ślub gościnności. Nie możemy odmówić gościny nikomu, kto znajdzie się w nieszczęściu, nawet koniowi. - John mógłby przysiąc, że dojrzał figlarny błysk w oczach zakonnicy. - I czy pan wie, że wczoraj był dwudziesty pierwszy grudnia, dzień świętego Tomasza, kiedy to każdy w potrzebie ma prawo prosić o jałmużnę?

- Matko Morąg!

- To prawda. - Oczy jej były znów szczere, niewinne.

- Moglibyśmy otrzymać nakaz sądowy.

- Wątpię. Dziś rano dostałam list od komisarza policji.

- Więc i jego matka ma w kieszeni. Pominęła te słowa milczeniem i mówiła dalej:

- W każdym razie, jeśli nawet udałoby się panu otrzymać taki nakaz, to wątpię, czy tłumy pozwoliły-

191

by wypuścić Invadera na tor. Wie pan, co to jest tłum, zwłaszcza tłum hinduski. Mogliby wderzeć się do pańskiej stajni. Obrzucić kamieniami piękny samochód pana Leventine'a. Mogłyby powstać rozruchy.

- Czy opowiada mi matka następną bajkę?

- Tym razem nie. Było już starcie między naszym odźwiernym a pańskimi stajennymi, którzy przyszli z panem Leventine'em po Invadera.

Dii Bahadur rozmawiał najpierw z Sadikiem i Ałim przez kratę w bramie.

- Czego chcecie?

- Przyszliśmy po naszego konia.

- To jest nasz koń - zaprzeczył Dii Bahadur.

- Nasz!

Dii Bahadur otworzył furtkę i wyszedł na chodnik zamykając furtkę za sobą.

Stali naprzeciw siebie dwaj muzułmanie - Sadią z groźnie podkreślonymi wąsami i mały brunatny człowieczek w wykrochmalonej drelichowej bluzie, do której przypięte były medale, włącznie z medalem za wierną służbę, i naszyte trzy szewrony. Kapelusz z czarnego pluszu w kształcie rondla nasadzony miał mocno na jedno ucho, a wygolona głowa, pocięta bliznami i pręgami pozostałymi po starych ranach, lśniła w zachodzącym słońcu. Z twarzy Dila Bahadura, która potrafiła być tak pogodna, znikła wszelka wesołość. Zaciśnięte usta tworzyły wąską linię, oczy przypominały brunatne kamyki.

- Nie wejdziecie tutaj. Nikt tu nie wejdzie. To rozkaz matki przełożonej. Ja, Dii Bahadur, wam to-mó-

192

wię. Widzicie te medale? Tym nożem ja, Dii Bahadur, uciąłem głowy ośmiu Niemcom. - Wykonał wyrazisty gest i podniósł w górę palec. - Ośmiu; a jeśli stąd nie odejdziecie, i wam utnę głowy. Nie będzie to nic trudnego. Wyoście się! - Zaczął napierać przyciskając ich do muru. - To święte miejsce - dodał.



- Co uratowało sytuację - opowiadała Matka Morąg. - Ale dwóch muzułmanów i jeden Gurkha to rzecz niebezpieczna, wie pan, jak ludzie łatwo wybuchają. Wystarczy niewielkie podniecenie.

- Które wy zapewnicie. - John był ciągle zły.

- My? - Brwi poszły w górę. - Robię, co mogę, by tego uniknąć. To nie ja mogę wszcząć lub zakończyć rozruchy.

- Więc kto?

- Pan Leventine.

- A jeśli nie zechce nic zrobić?

- Lekki nacisk ze strony Bunny'ego...

John zapomniał o Bunnym i jego wpływie; wystarczyło, by przemówił lub ruszył małym palcem. Pan Leventine nie miałby wobec niego żadnych szans.

- Jak na zakonnicę jest matka diabelnie sprytną kobietą.

- Nie diabelnie, mam nadzieję, a z pewnością nie jestem sprytna, choć przyznaję, że umiemy zebrać. A tego nauczyć się niełatwo - odrzekła Matka Morąg - zwłaszcza gdy się człowiek urodził dumny... Lecz jeśli się wierzy, że stwarza to możliwość...

- Możliwość?

- Stania się opatrnością zesłaną od Boga. - Mat-

13 - Fuks na torze

193

ka Morąg pochyliła przy tych słowach głowę. Ręce jej spoczywały na biurku - piękne ręce, pomyślał pan Leventine, ale John zauważył, że są spracowane, złożone teraz jak do modlitwy, w geście, przyszło mu nagle na myśl, przypominającym hinduskie powitanie, namaskar. Nie dostrzegł jedynie tego, że końce palców obu rąk były mocno ściśnięte. Matka Morąg uśmiechnęła się lekko. - Na szczęście Bunny wierzy w cuda.

-• Więc już tak się o tym mówi!

- Tak.

- A matka wielebna? - John był przebiegły. Przełożona znowu się uśmiechnęła.

- To, co większość ludzi nazywa cudami, dla nas jest rzeczą zupełnie normalną. Potrzebowałyśmy czegoś - w tym wypadku konia - i dzięki opatrności boskiej został nam zesłany.

-• Wasz Bóg nie bardzo zna się na koniach.

-• Jego drogi są czasem trudne do pojęcia - przyznała Matka Morąg. - Pomaga nam, ale i same musimy sobie pomagać. Może poprosiłby pan pana Le-ventine'a, żeby jeszcze raz mnie odwiedził.

- Czeka za drzwiami, wściekły.

-• To szantaż - oświadczył pan Leventine.

- A może raczej nemezis? - Ale i tego słowa pan Leventine nie znał. - Przez trzydzieści pięć lat - mówiła Matka Morąg - najpierw jako młoda siostra, a potem jako przełożona pomagałam organizować zbiór-

194

ki, z których żyją starcy w naszym przytułku - to resztki jedzenia, grosze dla ludzi tak bogatych jak pan. Nasze siostry odwiedzają biura i większość firm okazuje się hojna, ale pańska firma jest jedną z nielicznych, gdzie zawsze spotykają się z szorstką odmową. Widocznie firmy Leventine i Syn nie stać nawet na jedną

anna.

- Nie stać! - Pan Leventine poczuł się dotknięty. - Łaskawa pani, jesteśmy jedną z najlepiej prosperujących firm w mieście.

Z twoich własnych ust padły te słowa, pomyślał John. Bawiła go ta rozmowa.

- Więc może potrzebny byłby cud, by odmienić pana serce?

- Sądziłem, że mówiła matka o opatrności - wtrącił John.

- Tak, ale miałam na myśli coś więcej. Zazwyczaj można wyjaśnić działanie opatrności, leez jak pan wyjaśni, że Dark Invader poniósł, jak słyszałam, a potem zawrócił i pokłusował tutaj, choć miał tak blisko własną stajnię? Dlaczego?

- Nie wiem - odparł John.

- Nikt nie wie, ale my, siostry, możemy się domyślać. Więc jak będzie? - zwróciła się do pana Le-ventine'a. Popatrzył na nią. Wiedział,\* że przegrał. Jego serce pod ozdobną kamizelką, gdy Matka Morąg wspomniała o nim, wiedziało też, że więcej nie zniesie. Wyraz pełnych oszołomienia oczu był twardy, gdy spytał:

- Ile mam zapłacić za Invadera?

195

- Zapłacić? - Zakonnica uniosła brwi - Nie chodzi o pieniądze, proszę pana. Ludzie nigdy by tego nie zrozumieli. Dla nich jeden koń niczym się nie różni od drugiego. Gdyby pan zechciał dać nam konia pociągowego, nawykłego do uprzęży, silnego, lecz spokojnego - nasz woźnica nie jest specjalnie wprawny w powożeniu - konia nie nazbyt młodego, ale i nie starego - głos matki zdrzął na wspomnienie Salomona - takiego, którego zaaprobowałoby kapitan Mack i pan Quillan...

Pan Leventine oburzył się znowu.

- Łaskawa pani, sądzę, że przekona się pani, iż jestem równie dobrym, jeżeli nie lepszym znawcą koni niż ci panowie. Oni nie kupiliby Invadera.

[

- Masz dwadzieścia cztery godziny -- powiedzia\* John do pana Leventine'a. - Dziś jest dwudziesty dru gi, a ja muszę mieć trzy dni na przygotowanie Inva-dera.

John nie próbował zyskać na czasie - zbyt dobrze już teraz znał Matkę Morąg - ale pan Leventine spró bo wał: , - Jeśli obiecuję...

- Obietnice nie wystarczą, proszę pana. Niech pan pomyśli o ludziach. Koń może z pewnością stąd odejść, ale na jego miejsce musi przyjść inny.

- Mam nadzieję - powiedział kapitan Mack - że nie będzie próbował wykić się byle czym, czymś na 196

pokaz tylko. Pew/rie myśli, że zakonnica nie odróżnia łba końskiego od ogona.

- Pozostawmy sprawę ich biegowi - odrzekł z uśmiechem John.

Tego popołudnia pan Leventine zajechał przed klasztor naciskając z niecierpliwością nogą dzwonek w eleganckim powoziku. Powozik zaprzężony był w ładnego gniadego konia, dobrze utrzymanego i z wyglądu raczej angielskiego niż australijskiego pochodzenia. Pan Leventine zatrzymał pojazd, wysiadł i czekał z pełnym zadowoleniem na Matkę Morąg.

- Bez wątplenia niebrzydki - orzekła tonem, w którym nie było zachwytu, i ku przerażeniu pana Le-ventine'a oceniła konia jednym spojrzeniem. Podeszła do jego łba, dotknęła nosa i uniosła z wprawą palcem górną wargę, a potem powiedziała:

- Nie, dziękuję.

- Nie, dziękuję? - Pan Leventine był zaskoczony.

- Jak pan mógł! - wyrzekła surowo Matka Morąg. - Marnuje pan tylko czas swój i mój. To koń wycofany z toru. Naciągnął sobie kiedyś ścięgno, które stwardniało. Nie przeszkadzałoby mu to w pracy, ale przecież prosiłam pana, żeby koń nie był za młody, ale także i nie za stary. Ten ma dwadzieścia lat.

- Chyba się łaskawa pani myli.

- Możliwe. Może jest nawet starszy. Niech pan spojrzysz na ten ząb. On powie całe jego dzieje. Więc nie, dziękuję panu.

v

197

Pan Leventine, rozczarowany, nie poddał się jednak

- A może dać im tego deresza Raj Kumara, urodzonego tutaj, który należy do Nawaba? - spytał John. - Mam go właśnie w stajni. Na tor się nie nadaje, ale do pracy w zaprzęgu będzie dobry, jest silny, łagodny, ma sześć lat. Idealny. Nawab odstąpi go za tysiąc rupii.

- Tysiąc! Pięćset to cena za miejscowego konia.

- Nie odda go za mniej - wzruszył ramionami John. - Dobrze, rób co chcesz, ale pamiętaj, że liczy się każda godzina.

Mimo to pan Leventine nie potrafił się powstrzymać, by nie spróbować raz jeszcze. Tym razem przysłał konia jabłkowitego, „tę maść lubią podobno kobiety” - prawdziwego konia pociągowego, należącego do Greka, pana Petridesa, który co rano jeździł spokojnie do swego biura i wracał spokojnie co wieczór, a teraz przechodził na emeryturę, więc jego Bimbo był na sprzedaż. Miał dziesięć lat, ale był mało wykorzystywany, „to zaleta wozu, ale nie konia - orzekła Matka Morąg. - Ponadto jest zapasiony i niech pan posłucha”. - Podniosła nagle rękę, tak że jej rękaw zało-potał, a Bimbo przestraszony wydał głośny pomruk charakterystyczny dla konia dychawicznego. Tym razem Matka Morąg nie potrzebowała przemawiać do pana Leventine'a ani oznajmiać: „Nie, dziękuję”. Po prostu popatrzyła na niego z wyrzutem.

Pan Leventine doznał nowego dziwnego uczucia. Był wewnętrznie rozdarty: smutny, bo po raz pierwszy nie

φ

198

udało mu się przeprowadzić transakcji, i pełen podziwu dla tej niezwyklej, jego zdaniem, zakonnicy.

- Cas, a może ustąp - tłumaczył mu John. - Daj jej tego gniadosza.

- Ale cena! Tysiąc rupii!

- Ja zapłacę połowę - odrzekł John. - Ostatecznie ta cała sprawa wynikła z mojej winy.

Sam nie wiedząc dlaczego, pan Leventine odmówił

- Czy kiedykolwiek zrezygnowałem ze zrobienia interesu?

Nie wiedział, co się z nim dzieje - czuł się tak, jakby mu wyrwano ząb -ale w godzinę później zajechał znów swoim powozikiem przed klasztor. Ciągnął go koń zupełnie inny, dobrze zbudowany, ciemnognia-dy, o wygiętej szyi i długich uszach charakterystycznych dla koni indyjskich, ze wspaniałym arabskim ogo nem. Silny, krzepki, lecz wyraźnie uległy, o inteligentnym, łagodnym spojrzeniu.

- Ach! - powiedziała tylko Matka Morąg. Obejrzała go równie dokładnie jak poprzednie konie, tym razem głos jej był ciepły, a oczy jaśniały. Opuszczając na ziemię ostatnie kopyto i klepiąc konia po prawym boku powiedziała:

- Chciałabym go wypróbować.
- Wypróbować, to znaczy...
- To znaczy, że choć koń wydawać się może odpowiedni, to zanim się na niego nie wsiądzie lub nie zobaczy w zaprzęgu...

- Z przyjemnością czcigodną panią przewiozę. Proszę wsiadać.

199

Gdy wsiadł za Matką Morąg i siostrą Ignacją do po-woziku, spytał:

- Dokąd jedziemy?

- Ja będę powozić. - Matka Morąg ujęła już lejce. Panu Leventine'owi nie przyszło nigdy do głowy, że będzie oglądany w powozie z zakonnica wiozącą go wokół Ballygunj i z drugą na tylnym siedzeniu. Zapomniał jednak o swoim zakłopotaniu, gdy zobaczył, jak Matka Morąg powozi, z jaką wprawą zdobywa posłuch silnego gniadosza, jak lekko go prowadzi.

-- Skąd zakonnica tak się zna na koniach? - spytał Johna, gdy wrócił do biura.

- To proste - odpowiedział mu kapitan Mack, znajdowali się tam wszyscy - ma to we krwi. Jej ojciec to był Rattler Dawson, największy handlarz koni w Dublinie.

- Tak - potwierdził Bunny. - Stąd ją poznałem. Mój ojciec kupował konie od jej ojca. Dawson zrobił na nas majątek, bo ojciec kupował tylko kasztany, nie zważając na ich cenę. A Matka Morąg - wtedy Helena Dawson - popisywała się na koniach używanych do polowań na lisy, kiedy była jeszcze uczennicą w szkole. Przypuszczam, że wzbudzało to zdumienie młodych kawalerzystów z Curragh. Nie mogli znieść, że góruje nad nimi dziewczynka z warkoczykami. Zna się na tym - dodał.

- Z pewnością się zna - stwierdził ponuro pan Leventine.

- To mnie zadowoliło - powiedziała Matka Morąg zeskakując z kozła. Pan Leventine chciał jej pomóc, ale

200

zeskoczyła jak młoda dziewczyna, więc zajął się starą, zeszywniałą siostrą Ignacją. - Ach, jak było przyjemnie! - wykrzyknęła Matka Morąg. W jej głosie brzmiało takie podniecenie, że pan Leventine nie był przygotowany na to, co nastąpi. - Oczywiście musimy go jeszcze wypróbować z wozem.

- Z wozem?

--Tak. To o wiele trudniejsze, niż ciągnąć pięknie toczący się powozik. Wóz jest ciężki i niezdatny. Musimy także sprawdzić, czy Gulab, nasz woźnica, poradzi sobie z Raj Kumarem, który nie jest jeszcze tak wyszkolony jak Salomon, ale zobaczy pan sam.

- To znaczy... że ja mam też wsiąść na wóz? Pan Leventine wzdrygnął się teraz naprawdę, lecz o dziwo znalazł się po chwili na kozle obok woźnicy.

- Ona tak właśnie postępuje z ludźmi - powiedział mu później Bunny - i nawet nie wiadomo, jak to robi.

Wóz nie jechał, ale się turlał. Opony na jego dużych kołach były tak cienkie, że trząsał. Płócienny zniszczony dach z pewnością przeciekał, cuchnął też pleśnią. Spód wozu stanowiły gołe deski, na których pobrzękiwało kilka kanistrów wielkości pojemników na śmieci. Oświetlenie stanowiły dwie ręczne latarnie kołyszące się na hakach po dwóch stronach wozu, trzecia zwiisała wewnątrz. Dwie małe drewniane ławeczki przeznaczone były dla siostr, a z przodu szeroka deska wsparta na listwach i przykryta kawałkiem dywanu stanowiła siedzenie dla woźnicy.

201

- To niemożliwe - orzekł pan Leventine. Miał nadzieję, nieomal modlił się o to, by nikt ze znajomych nie zobaczył go siedzącego jak na grzędzie obok starego Hindusa, owiniętego w zniszczony płaszcz. A gdyby tak przypadkiem przechodził sir Humphrey? Pan Leventine skulił się i cofnął pod budę, ale nadal czuł, że rzuca się w oczy, więc powtórzył: - To niemożliwe.

- Mamy tylko ten wóz - odrzekła pogodnie Matka Morąg - i służył nam całe lata. Czy pan uwierzy, że jemu jednemu zawdzięczałyśmy możliwość wyżywienia kilkuset osób dziennie? - Nie dodała: „tym, co pan wyrzuca!” - Ale czasem nie wiedziałam, w jaki sposób Gulab sobie z nim radzi.

- Ja też nie wiem - stwierdził pan Leventine.

- Z Poziomką będzie lepiej - siostry porzuciły już 'dostojną nazwę Raj Kumar zamieniając ją na skromniejszą Poziomkę. - I Poziomka jest zgrabniejszy - dodała Matka Morąg.

Znalazłszy się znów na dziedzińcu klasztornym poklepała konia z wdzięcznością.

- Biedny stary Salomon był twardy w pysku. Z Poziomką będzie lepiej - powiedziała Gulabowi, który promieniał już z dumy.

- A jeszcze lepiej, bo dostaniecie powozik - rzekł pan Leventine.

- Powozik?

- Naturalnie, jest też własnością siostr. Zaskoczyło to Matkę Morąg.

202

- Ależ, drogi panie, co byśmy robiły z powozem? W jaki sposób zmieściłyby się w nim nasze pojemniki? Co by robiły siostry w deszcz? Wiem, że nasze płótno przecieka, ale...

- Powozu można by używać do załatwiania różnych spraw.

Przełożona potrząsnęła głową.

- Biedacy nie mają powozów, a my jesteśmy siostrami od ubogich. Załatwiamy nasze sprawy tak, jak oni je załatwiają, korzystając z autobusu, tramwaju albo na własnych nogach, kiedy nie mamy pieniędzy na przejazdy. A na zbiórki mamy tylko ten wóz i Poziomka musi go ciągnąć. Bardzo to uprzejmie z pana strony... - Urwała, a na jej twarzy pojawił się wyraz przebiegłości, w którym rozpoznał coś nieoczekiwanie bliskiego: własną przebiegłość. - Oczywiście, jeśli jest pan tak hojny, to wartość powoziku mogłaby pokryć koszt naprawy naszego wozu.

- Naprawy? Tego!? Powinnyście mieć nowy wóz. - Pan Leventine nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów, ale natychmiast zapragnął je cofnąć. Powinien był dodać: „kiedyś”, co by oznaczało nigdy. Właśnie zamierzał to dodać, gdy odezwała się stara siostra, która jak cień towarzyszyła Matce Morąg i zazwyczaj nie otwierała ust.

- Niech pana Bóg błogosławi.

Dziwne uczucie szczęścia, zrodzone jakby poza nim, ogrzało serce pana Leventine'a i rozjaśniło jego twarz. Nikt dotąd w życiu go nie błogosławił.

203

Dokumenty i świadectwa Poziomki zostały wręczone.

-- Pozostaje nam już tylko dokonać naszej przyjacielskiej wymiany - powiedział pan Leventine i ogarnęło go jeszcze dziwniejsze uczucie, uczucie zadowolenia, choć dlaczego miałby być zadowolony, gdy go zmuszono, tak, zmuszono, do wydania dużej sumy. sam nie wiedział, czuł jednak, że jest to „przyjacielska wymiana”. Zjawili się stajenni Quillana, by zabrać Invadera. Pan Leventine skłonił się na pożegnanie przed Matką Morąg, a przed bramą zgromadził się tłum, który wciąż się powiększał. Słychać było szepty i okrzyki zdumienia. Matka Morąg powiedziała nagle:

- Byłoby mądrze i sądzę, że to konieczne, aby ludzie zobaczyli, że koń chętnie stąd odchodzi.

Dark Invader nie chciał odejść chętnie. Po tych dwóch spokojnych dniach nie miał zamiaru powracać do trudów i napięć, jakie czekały go na torze. Spokojne spacerowanie wokół warzywnika, gdy zwracano się do niego łagodnym tonem albo gdy słyszał łagodne słowa - fakt, że Matka Morąg odmawiała psalm, nie sprawiał Invaderowi różnicy - smaczne kawałki chleba z solą, które pojawiały się jak manna z nieba w nieoczekiwanych momentach, delikatna krzątana Gula-ba i Matki Morąg wokół jego toalety, żadnego poszturchiwania czy klapsów, wszystko to bardzo odpowiadało dużemu, leniwemu i łakomemu konikowi. Kiedy Gulab wyprowadził go ze stajni, Invader myślał z początku, że idzie na następną spokojną przechadzkę albo po jeszcze jeden kawałek chleba z solą. Zamiast tego zobaczył zbliżających się Sadika i Alego. Stał przygląda-

204

jąc się im bacznie, potem stulił uszy, pokazał zęby i gdy Sadią sięgnął po kantar, który podawał mu Gulab, Invader rzucił łbem w bok i twardą szczęką uderzył Gulaba w twarz. Tłum wstrzymał oddech.

A potem pan Leventine i zakonnice zobaczyli taki pokaz wściekłości końskiej, jakiej nigdy nie widzieli ani nawet jej sobie nie wyobrażali. Dark Invader wierz-gał, stawał dęba, bijąc w powietrze przednimi nogami, waląc nimi z trzaskiem o kamienie i znowu wznosząc je w górę. Sadią i Ali trzymali się dzielnie, uchylając się przed migającymi kopytami, krzycząc i klnąc, a pan Leventine zawodził:

-- Przedtem robił to samo na torze, gdzie była trawa. A tu są kamienie. Upadnie, pokaleczy się.

Dopiero pojawienie się siostry Barbary i siostry Joanny, niosących jak służki chleb z solą i gruchających czule: „Piękniś! Piękniś! Piękniś!”, spowodowało, że Invader się uspokoił. Jakby nigdy nic przyjął smaczne kąski, a kiedy siostra Joanna wzięła od Sadika sznur, pozwolił się prowadzić w kierunku warzywnika, zostawiając dwóch stajennych bez tchu i pełnych wstydu, z opadającymi turbanami i wrzeszczących z wściekłością: „Allah! Ismallach! Shaitan! Satan!” Sadią mruzczał pod nosem, zawiązując na nowo turban, a Gulab tamował krew z nosa.

- Czy łaskawa pani sądzi, że to widok Sadika mógł wzbudzić w Invaderze tamten dawny strach? - spytał Matkę Morąg zdenerwowany pan Leventine.

- Na pewno nie - odparła. - Koń nie był spocony

205

ani spieniony, ani nie drżał. Po prostu chciał postawić na swoim. Ale biedny Gulab i Sadią.

- Oczywiście. - Pan Leventine klepnął się po u-dzie. - Oczywiście, ten niemądry Johnny nie powinien był ich tu przysyłać. - I ryknął: - Dlaczego nie przysłał Teda Mullinsa? - I rozkazał: - Zatelefonujcie do Quillana i powiedzcie, żeby zaraz przysłał Mullinsa. Nie, zaczekajcie - i zakończył uroczyście: - Przyprawdzą go tu sam.

- Mullins! Mullins!

Ted uniósł głowę. Siedział w tym samym miejscu, gdzie spędził większą część dwóch ostatnich dni, przy biurku w najciemniejszym kącie zaciemnionego pokoju, bo nie otworzył okiennic. Na biurku nie było nic. Jego fotografia z Ellą w koronkowej sukni i oprawiona w ramkę nowa licencja zostały zamknięte w szufladzie. Z przyzwyczajenia położył się w nocy do łóżka, nie rozbierając się nałożył na siebie nocną koszulę, aie tylko

leżał nie śpiąc. O świcie, gdy usłyszał wołanie Jemadara, wstał, ogolił się i ubrał, lecz gdy usłyszał, że konie wychodzą ze stajni, wypił filiżankę herbaty z tacy, którą przyniósł mu Ahmed, zostawiając nie tkniętą grzankę i banany, a potem znowu zamknął się w swoim pokoju.

- On umrze! - zapłakiwała się Dahlia. - Przez dwa dni nie wziął nic do ust oprócz filiżanki herbaty Umrze na pewno.

206

- Nikt nie umiera poszcząc przez dwa dni \_\_ odpowiedział John.

- Tato... musisz przebaczyć Tedowi. Musisz. - Dzieci szalały.

- Nie wolno wam się do niego zbliżać - przykazał im John, ale oczywiście nade usłuchały lub raczej nie usłuchałyby, gdyby Ted pozwolił im podejść do siebie

- Jeżeli tato mówi „nie”, to nie - zabrzmiał z wnętrza domku głos Teda.

Dzieci nie odchodziły, próbowały palcami podnieść żaluzje, wśliznąć się przez łazienkę, ale Ted zamknął wewnętrzne drzwi.

- Tato! Prosimy... Prosimy...

- Pan Mullins - powiedział John - wróci prosto do Anglii.

- Dlaczego jesteś taki surowy, John? - błagała DahUa. - Zwykle nie jesteś taki stanowczy.

- Bo zwykle wiem, czego mogę oczekiwać. I ufałem Tedowi.

Niewielu było ludzi, którym John ufał, i Dahlia wiedziała, że był nie tylko zły, ale zraniony, głęboko dotknięty.

- Nie chcę go więcej widzieć - rzekł.

Ted wiedział o tym i usuwał się w cień. A teraz usłyszał:

- Mullins, otwórzcie drzwi!

Głos brzmiał stanowczo. Ted, oszołomiony, wstał i otworzył żaluzje, krzywiąc się w słonecznym blasku.

- Co wy robicie? A właściwie czego nie robicie? - spytał pan Leventine.

207

- Czego nie robię? - bąknął Ted.

- Dlaczego nie robicie tego, co do was należy? Przy Invaderze?

- Przy... przy Invaderze, sir? - wychrypiął Ted. - Wiedziałem, że go odnaleziono, chwala Bogu. Pan Quillan przysłał mi kartkę zawiadamiając o tym. - „Dla przyzwoitości musiałem to zrobić”, powiedział John. - Ale myślałem, że Invader nie weźmie udziału w gonitwie.

- A co wy macie do myślenia? Kto powiedział, że nie weźmie udziału?

- Więc... weźmie? - Twarz Teda rozjaśniła się z radości. - To znaczy, że jest w dobrej formie! Ale... - Znów ogarnął go wstyd. - Ale ja jestem wydalony.

- Kto tak powiedział?

- Pan Quillan.

- Kto was zatrudnia? - Słowo „kto” w ustach pana Leventine'a zabrzmiało z królewską powagą. - Ja czy pan Quillan?

- Sądzę... że pan, sir.

- Właśnie - powiedział pan Leventine. - Macie służyć moich rozkazów, a w tej chwili wsiąść ze mną do samochodu, wydostać konia z tej śmiesznej sytuacji i przyprowadzić zaraz do stajni.

- Ja? - W głosie Teda brzmiało kompletne niedowierzanie.

- A kto inny? - odparł pan Leventine, opuszczając wzrok na małego człowieczka, który jakby jeszcze zmalował i postarzał się o dwadzieścia lat. Położył tłustą

208

rękę na jego prawym ramieniu i rzekł: - Myślę, że nikt poza wami nie potrafi tego zrobić, Teddy.

To spieszczenie jego imienia podniosło Teda na duchu bardziej, niż cokolwiek innego mogłoby tego dokonać. Od śmierci Elli nikt nie nazywał go „Teddym”. Wyjął z kieszeni czystą chustkę - z nawyku kładł ją tam co rano - wytarł nos, schował chustkę pedantycznie z powrotem i powiedział:

- Jestem gotów, sir.

- Mówimy na niego Piękniś - powiedziała siostra Joanna do Teda, a on rycersko stanął na wysokości zadania stwierdzając:

- Dobra nazwa, proszę pani.

- Nie jestem panią, tylko siostrą.

- Nigdy nie miałem siostry.

Był to dla Teda wieczór pełen emocji, co nie przeszkodziło, by zburczał mocno Invadera.

- Jesteś okropny! Okropny!

Opuścił go utajony strach. Nie przestawał wspominać, choć się spał, jak to Invader nie powitał go tamtego wieczora.

- Myślałem, że mnie zdradził dla pana Saddicka. Ale gdy Ted zagwizdał w klasztornym ogrodzie, Dark Invader postawił uszy. Zarżał głośno i usiłował wyrwać się Gulabowi i siostrze Joannie. Ted szybko podbiegł na ratunek.

- Jesteś okropny! Takie popisy wobec tych miłych pań. Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem, ale nie  
14 - Fuks na torze

209

myśl, że ci się to upiecze. Była pani... siostra za dobra dla niego. No, idziesz do domu, bracie - zwrócił się do Invadera, który patrzył na niego czule. Liść kapusty zwisał mu z warg - nie było nic przyjemniejszego w klasztornej ogrodzie jak skubanie świeżych jarzyn. Ted wyrzekł surowo słowo „dom” i dodał wspominając lata wojenne: - Natychmiast! Im wcześniej, tym lepiej.

- Ale jak pan ma zamiar go stąd wyprowadzić? - spytała siostra Joanna.

- Pojadę na nim wierzchem, oczywiście. Może wasz służący przyniesie mi siodło i uździenicę.

„Moje siodło, mało nie powiedział Ted, Ching nie powinien być go ruszać”. Lecz przypomniał sobie powód, dla którego Ching je ruszał, zaczerwienił się i milczał. Był zadowolony, widząc nadchodzącego z Gulabem Quillana. Quillan nie odezwał się do Teda, ale podsadził go, kiedy Invader został osiodłany i założono mu uźdę. Nie protestował nawet wtedy, kiedy Ted zacisnął popręg.

- Jest dość mądry na to, by wiedzieć, że to koniec zabawy - powiedział Ted do siostry Joanny. Znalazłszy się w siodle zebrał cugle. - Powiedz do widzenia i dziękuję.

- Czy nie byłoby bezpieczniej, gdybyśmy otworzyły ogrodową furtkę d wyszedłby tamtędy? - spytała siostra Ignacja.

- To na nic - odrzekła Matka Morąg. - Musi iść przez tłum i prawdopodobnie razem z tłumem.

Tłum gęstniał, słychać było wzmagający się pomruk

210

- Dacie sobie z nim radę? - spytał z niepokojem pan Leventine.

- Boże Wszchemocny! - odparł Ted. Siedząc znów w siodle i mając pod sobą Invadera czuł się nieomal potężny. - Czyż my z Invaderem nie przywykliśmy do tłumów? - Przesunął dłonią właściwym sobie gestem po długiej grzywie konia. Miał jednak jeszcze wątpliwości. John Quillan dał mu szansę, prawie taką samą jak pan Leventine, siedł z nim cały czas i choć milczał i nie wyglądał przyjaźnie, Ted nie zabierał Invadera bez jego zgody. - Proszę pana? - spytał błagalnie.

John uniósł głowę i może tylko Dahlia mogłaby powiedzieć, co oznaczał dziwny uśmieszek, który rzucił Tedowi ze słowami:

- Jedź, Ted.

- Tłumy prawie takie jak na wyścigu o Puchar - powiedział John.

Nie było żadnego kłopotu ani wyskoków Invadera. Matka Morąg pociągnęła go za uszy i klepnęła po zadzie zupełnie nie po zakonnemu. Siostra Joanna szepnęła:

- Będzie nam cię brakowało, Pięknisiu.

Ted wyjechał z warzywnika i przez dziedziniec, mijając dwa rzędy zakonnice i Gulaba, który ze spuchniętym nosem stał na straży stajni, gdzie Poziomka zjadał kolację. Minął salutującego mu Dila Bahadura, wjechał w tłum, który rozstał się z szacunkiem -

211

i jak przepowiedziała Matka Morąg - przygotowując się do towarzyszenia im w drodze. Przyjechał Bunny - uważałam, że będzie rozsądnie poprosić go o to - powiedziała Matka Morąg, i czuwał nad zbiegowiskiem, lecz Ted siedział w siodle swobodnie, popuściwszy koniowi wodze. Raz tylko je szarpnął, gdy Dark Invader zbyt skwapliwie wysunął pysk do podawanych mu słodyczy. Rzucano też na ziemię kwiaty i obaj zostali udekorowani girlandami. Dark Invader skłonił z wdziękiem łeb, jakby kwiaty słusznie mu się należały, ale Ted poczerwieniał i przygarbił się. Sadią i Ali szli za nimi spokojnie, a gdy zbliżyli się wszyscy do stajni Quillana, nadbiegły w podskokach dzieci, Ted zsiadł z konia, a Dahlia, która czekała przy boksie, objęła Teda za szyję i ucałowała.

- Dziś trzeba się z robotą trochę pospieszyć - powiedział do Teda John. Jakby sędę nic nie wydarzyło,,, pomyślał Ted. - Możesz praejechać na nim aż do słupka, gdzie zaznaczone jest pół mili. Ching pojedzie za tobą na Flashlight. Powtórz ten dystans w dniu Bożego Narodzenia, a rano w dniu wyścigu przejedź ćwierć mili, żeby pozbył się wiatrów. Zrozumiałeś? - spytał John.

- Tak, sir - odrzekł Ted.

Sir Humprey spotkał sędę z panem Leventine'em w dniu Bożego Narodzenia w sali bilardowej, gdzie obaj się schronili. Jak w azylu, pomyślał pan Leventine.

212

- Dobrze się pan miewa?

- Dziękuję, świetnie.

- Słyszałem, że miał pan kłopot ze swoim koniem na torze.

-- Po prostu pech. - Pan Leventine machnął ręką. - Zrobiliśmy głupstwo pozwalając dosiąść go obcemu dżokejowi.

- To niedobrze. tuż przed wyścigiem. Mam nadzieję, że to nie zmniejszy jego szansy.

- Mamy nadal nadzieję wygrać dzięki niemu. Sędzia spojrział z lekkim zdziwieniem, ale rzekł tylko:

- No to powodzenia w dniu wyścigu.
- Dzięki, sir - odrzekł pan Leventine.

Siostry ustawiły w kaplicy mały żłobek.

- W tym podnieceniu prawie zapomniałam, że jutro wigilia. - Dahlia przyproceedziła do żłobka dzieci.
- Nie bierz ich - powiedział John. - Nie rozumieją, co to jest, będą się chciały tym bawić i tylko zepsują żłobek.

Wiedziały dobrze, co oznacza żłobek. Przyniosły ze sobą dwa gliniane koniki, jednego pomalowanego na kolor ciemnobrązowy, drugiego ciemnoczerwonego.

- To nam zrobił nasz przyjaciel z bazaru, Mohan. Podobają się matce?
- Bardzo ładne - odrzekła Matka Morąg. Mohan zwyczajem hinduskich garncarzy domalował na koniach parę stokrotek i złotych naszyjników.

213

- Muszą stać blisko Jezusa - powiedział najstarszy chłopiec.
- O nie! To niemożliwe - zaprotestowała zgorzszona siostra Ignac ja.
- Dlaczego? Macie przecież osła i wołu.
- Muszą tu stać. Darkie przyszedł powiedzieć „dziękuję”, a Poziomka „proszę” - wyjaśniła najstarsza dziewczynka.
- Nie, oba przyszyły powiedzieć „dziękuję” i „proszę” - odezwało się najmłodsze dziecko, nie licząc niemowląt.

W tym momencie, zwracając duże oczka na Matkę Morąg, chłopczyk przypominał raczej mądrą sówkę niż małąkę.

- Tak, postawcie je blisko żłobka - powiedziała Matka Morąg. - Oba koniki powiedzą „dziękuję” i „proszę”, tak jak i my.

Wieczorem oznajmiła w kaplicy:

- Dziś zaśpiewamy Te Deum.

Te Deum laudamus. Te Dominum confitemur, Te aeternum patrem omnis terra veneratur... Ciebie, Boże, chwalimy... Cała ziemia cześć Ci składa...

Dark Invader przebywał znów w stajni Quillana, cały i zdrowy. Poziomka w stajni klasztoru.

- Dziś weźmiemy go na naszą zbiórkę i nie sądzę, żeby były jeszcze potrzebne kosztowne tikka gharries --- powiedziała Matka Morąg do siostry Ignacji.

214

Pan Leventine obiecał nowy wóz. John Quillan złagodniał, kapitan Mack wciąż się uśmiechał. Bunny był zachwycony, ale Matce Morąg nogi się trochę trzęsły, gdy rzekła:

- Nie chcę już widzieć ani słyszeć drozda... - Urwała. - Ale drozdy przylatują, dopiero w marcu. Więc ten, którego słyszałam - omal nie powiedziała, „który do mnie mówił” - śpiewał poza sezonem.

Rozdział siódmy

Start do wyścigu o Puchar Wicekróla odbywał się przed trybunami, co było bardzo ciężką próbą dla dżokejów i startera. Ustawienie w równej linii ognistych, niespokojnych rasowych koni wymagało nie tylko umiejętności, cierpliwości i ogromnego autorytetu, ale i bezspornej uczciwości.

Był to największy dzień w całym sezonie wyścigowym. Nad trybunami powiewały flagi, a kwiaty w doniczkach wypełniały każdy kąt: jaskrawe dalie, białe, żółte i złote chryzantemy i niebieskie cynerarie. Żadne trawniki nie były nigdy bardziej zielone, liny i bariera bielsze, a sam tor ciągnął się jak szeroka szmaragdowa wstęga w złocistym słońcu bengalskiej zimy.

Gubernator przybył z całym ceremoniałem; wicekról po nim w jeszcze większej gali; obaj w landach zaprzężonych w cztery konie, pod czerwono-złotymi parasolami. Towarzyszyli im lansjerzy dosiadający pięknie dobranych koni, z białymi owczymi skórąmi na siodłach, z chorągiewkami powiewającymi na lśniących lancach, w butach z cholewami powyżej kolan, w czerwonych kurtkach i niepokalanie białych bryczesach. Brodate ciemne twarze wyłamały się spod wspania-

216

łych, sztywnych, błękitno-złotych turbanów. Sunęli po trawie bezszelestnie, słycać było jedynie pbrzękiwanie wędzideł i skrzypienie skóry w siodłach. Trąbki zagrały powitalną królewską fanfarę.

Gospodarze toru stali w szeregu, ubrani w popielate ubrania, z białymi goździkami wpiętymi w klapy, w białych hełmach tropikalnych, które za chwilę mieli zamienić na szare cylindry.

Trybuna dyplomatyczna wypełniona była po brzegi stroje kobiet, ich kapelusze i parasolki godne były wyścigów w Ascot lub Longchamps, ale co do pdęknosci i elegancji nie mogły się równać z cudownymi, migocącymi sari Hindusek ani z turbanami przybyłych książąt. Bunny miał na sobie przezroczystą różową szatę ze szmaragdem wpiętym na froncie.

- Pańskie barwy - powiedział panu Leventine'o-wi. - Szczęście i nadzieja. Nie wolno mi grać - dodał z żalem; stracił małą fortunę na wyścigach i w kasynach, zanim jeszcze ukończył dwadzieścia lat - ale postawiłbym dwadzieścia tysięcy na pańskiego Inva-dera.

- Gdyby bukmacher chciał je przyjąć - rzekł John.
- Mógłbym postawić w totalizatorze.
- Nie można być jeszcze tak bardzo pewnym - dodał pan Leventine. Był jak zawsze przesądny.
- To trudna sprawa, pierwsza prawdziwa próba - dodał John. - Darkie nie będzie mógł galopować jak dotąd, nie w tej stawce.

Nadszedł czas najważniejszej gonitwy. Na schodach trybun stali rzędami lansjerzy ze straży przybocznej, 217

którzy zsiadli z koni. Wymagała tego niewątpliwie ta ważna chwila.

Ted po raz pierwszy był zdenerwowany. Nikt mu nie pomógł w ubieralni. Nie mógł włożyć kurtki. Rzucił ją i skinął na posługacza, żeby podał mu inną. Weszli dżokeje, którzy brali udział w poprzedniej gonitwie rozpinali jedwabne kurtki i wkładali nowe, brali siodła i odzież do wagi i kolejno się ważyli. Byli wśród nich Streaky Bacon, Willie Hunt i trzech innych angielskich dżokejów. Streaky zatrzymał się ujrawszy Teda.

- Halo! Święty Mikołaj!
- Matuzalem - dorzucił inny. Streaky podszedł bliżej.
- Widziałem was już kiedyś. Czy nie byliście przypadkiem jednym z dryblasów Michaela Traherne'a? - Staną w rozkroku. - I co robicie tutaj, można spytać?
- Jeżdżę - odparł krótko Ted.
- Jeździ dla Quillana na koniu Dark Invader należącym do pana Leventine'a - wtrącił jeden z dżokejów.
- A to dopiero! Matuzalem we własnej osobie! Na Invaderze!
- Czego ty nie potrafisz - zabrzmiał donośnie głos Williego, dodający otuchy Tedowi. - Przypomnij sobie czwartkowy ranek - dorzucił, a Bacon odwrócił się i Ted zobaczył, że zaczął się naradzać z przyjaciółmi. Tego się spodziewał.

S18

- Strzeż się Bacona - powiedział John.

Ted nie przewidział jednak, że poczuje skurcz w kiszkiach i zimny pot na szyi i rękach. Dark Invader po raz pierwszy od spotkania ze Streakym pokazał się publicznie. Ted weźmie udział w wyścigu razem z nim i przeciwko niemu. Czy będą jakieś kłopoty? Sprawdził na tablicy kolejność zapisanych do wyścigu koni Chwała Bogu, że nie jadę obok niego.

Zapiął dokładnie kurtkę, wepchnął ją w bryczesy, wziął szpicrutę, siodło i ubranie i wszedł na wagę do ostatniej kontroli.

Śpiewali teraz na jego użytek nieprzyzwoitą wersję piosenki „John Anderson, mój Jo”.

Ted starał się wolno wkładać czapkę. Nogi tak mu ze strachu zeszywniały, że prawie się chwiały idąc. Czy pojawienie się Bacona nie jest złym znakiem? Oby tylko nie zbliżył się do Invadera. Oby on, Ted, nie zawiódł Johna Quillana... Oby nade zawiódł pana Leventine'a, który tak mu ufał. Oby... Oby... Oby...

Przypomniał sobie siostrę, która prowadziła Invadera. Rozstając się z nim powiedziała:

- Ufam, że pan wygra. - I dodała: - Chyba nie wolno modlić się o zwycięstwo w wyścigu.
- Chyba nie - odrzekł Ted. Nie był przyzwyczajony do rozmów o modlitwach, ale mając na uwadze dziwność tego klasztoru dodał: - Za Invadera i za mnie może się siostra pomodlić. - Musiałem zwariować, myślałem potem. Co powiedziałaaby Ella? Ale stojąca na ogrodowej ścieżce siostra wyglądała tak wzru-

szając, że dorzucił: - Jeśli droga siostra zechce. - To „droga siostra” zabrzmiało prawie po ojcowsku. W odpowiedzi usłyszał:

- O, pomodłę się. Wszystkie będziemy się modliły - obiecała gorąco.
- Więc na pewno wygramy - odpowiedział Ted. Teraz czuł, że coś ściska go w żołądku.

Jeśli będziesz zdenerwowany, nie pozwól, by zdenerwowanie udzieliło się Invaderowi. On będzie potrzebował twojej pomocy, zapomnij więc o cholernym własnym „ja” - powiedział Ted Mullins do Teda Mullinsa.

Tłumy patrzyły, jak pierwsze jaskrawo ubrane sylwetki wynurzają się z drzwi po sprawdzeniu wagi i zasiadają na ławce. Sędziowie w budce sędziowskiej identyfikowali dżokejów. Niebieska kurtka, pomarańczowa czapka - Quarterback, pięcioletni siwek z Bombaju. Biała kurtka z czerwonymi rękawami, czerwona czapka - Backgammon, na którym jedzie Streaky Bacon, koń na gościnnych występach, sprowadzony specjalnie przez radcę Raniganja. Następny jak szachownica: kurtka w czarno-białą kratkę, szkarłatna czapka - to Flashlight lady Mehty. Za nią Volteface - czerwona kurtka z brązowymi rękawami i czarna czapka. Potem kurtka różowo-zielona i zielona czapka - mały, mniejszy od pozostałych, Ted Mullins na sławnym Invaderze.

Quarterback, Backgammon, Volteface, Dark Inva-

220

der, Flashlight. To pięć, ale jeźdźców było jedenastu. Pozostałe sześć koni: Racing Demon, Postillion, Bezi-que, Tetrasona i Moonlighter. A ostatni Ching - pawia kurtka, białe spodnie, biała czapka - po raz pierwszy jadący w wyścigu o Puchar Wicekróla na Greens-leaves, należącym do jednego z syndykatów i trenowanym



przez Johna Quillana. Gdy zabrzmiał dzwon, konie wyszły na padok, gdzie zgromadzili się trenerzy, i chłopcy stajenni zaczęli je oprowadzać.

Padł rozkaz: dosiadać koni, szybkie ręce podsadzały na śmiesznie małe siodła niewysokich mężczyzn o twardych mięśniach, w jaskrawych dżokejskich barwach. Ostatnie podciągnięcie popręgu, rzut oka na puśliska i - silne nogi Streaky'ego znalazły się nieomal pod nim, jakby klęczał na końskim kłębie. „Diabeł nie koń” - powiedział ktoś z tłumu o Invaderze, ale mały Mullins siedział na nim zupełnie spokojnie. Na siwym Quarterbacku znalazł się krępy, niski dżokej z zadartym nosem, o niebieskawej szczęce - to Anglik Tim Stubbs. Quarterback był też diabelnym koniem. Za nim Flashlight z małą główką, trochę za krótkimi uszami, z białą plamką na oku - koń wyścigowy ze sportowej ryciny - a na nim angielski dżokej Syd Johnson, biały jak płótno i oblany potem. „Ma problemy z wagą, biedak”. I ostatni Willie Hunt na Racing Demon.

Nadszedł moment defilady. Konie, zgromadzone na starcie, szły jeden za drugim przed trybunami i zebranym tłumem - wydawało się, że pół Kalkuty wypełniło po brzegi cały teren ogrodzony barierami

-

221

i przed miejscem finiszu w porządku zapisanym na tablicy. Dark Invader piąty za Backgammonem pod Streakym. Czy słyszał okrzyki „Darkie! Darkie!”, które rozbrzmiewały głośniejsz niż kiedykolwiek? A potem konie zawróciły jeden za drugim krótkim galopem, pogonione kłaśnięciem cugli, mignęły kolorowe kurтки, rozniósł się lekki zapach końskiego potu, pozostała zgnieciona trawa.

- Jedyne wyścigi, które naprawdę chciałabym zobaczyć - powiedziała Matka Morąg - to właśnie ten.

Myślałam, że już nigdy nie będę chciała oglądać wyścigów.

Dahlia czuła to samo. Chodziło jej nie tylko o suknię, którą zobaczyła w firmie Hall i Anderson, jedwabną, w jej ulubionym brzoskwiowym kolorze i przybraną koronką, i o prześliczną parasolkę z frędzlami. Chodziło o Teda i o Invadera.

- Gdybyśmy mogli pójść wszyscy, dzieci także. Dzieci naturalnie pobiegły na wyścigi, z wolnymi akurat chłopcami stajennymi, którzy wsadzili je sobie na ramiona, ale Dahlia wiedziała, że musi pozostać w domu.

Kiedy jeźdźcy znaleźli się znów na starcie, strumień poleceń popłynął z ust startera, bo konie odwracały się w niewłaściwą stronę, wyłamywały się z szeregu, kręciły się w kółko. Rozbrzmiewały przekleństwa, okrzyki: „Nie, sir! Nie!”, co wyraźnie słychać było na trybunach. Pan Leventine, pocąc się w kapeluszu, na który zamienił swój hełm tropikalny, ocierał czoło; jego różowa twarz spurpurowiała. John był błydy. Ted ni-

i

222

gdy jeszcze nie wydawał się taki mały, zgarbiony i stary. Dark Invader nigdy tak wielki i przerażający John zauważył jednak, że Ted siedzi swobodnie, trzyma spokojnie cugle, a koń postawił uszy. Dark Invader był gotów. Gotów, pomyślał John ze zdumieniem. Bariera się uniosła. I zanim ostry zgrzyt podnoszonej bariery zdolał do niego dotrzeć, sędzia przy zegarze nacisnął guzik stopera. W następnej chwili ziemia zadrzęła tętentem kopyt, rozległy się okrzyki i przekleństwa strachu, gdy konie pędziły, aby zająć miejsca na pierwszym zakręcie. W parę sekund masa grzyw, rozdętych nozdrzy i ludzkich twarzy zmieniała się w sznur silnych nóg i małych, napiętych pośladków dżokejów, unoszących się w oddali na końskich grzbietach.

- No, są wszystkie - rzekł zastępca sędziego, który pilnował, by żaden koń nie pozostał na starcie.

Sędzia główny zaczął odczytywać innym sędziom porządek gonitwy.

- Prowadzi Volteface, za nią jest Quarterback. Racing Demon i Dark Invader przy bandzie.

Współzawodniczące o zwycięstwo konie rozciągnęły się w szereg na przeciwległej prostej, kolorowe plamki, przesuwając się nad dalekimi białymi barierami, pozostawiając za sobą białe kopuły Victoria Memoriał. Głos głównego sędziego spokojnie, miarowo ciągnął dalej:

- E, racing Demon, Postillion, Quarterback, Backgammon, Volteface, Dark Invader, Beziąque, Flashlight, Tetrazone, Moonlighter i Greensleeves. - I dalej: --

223

Ten sam porządek. Moonlighter i Greensleeves zostają w tyle.

Konie przebiegły już trzy ósme mili, przyspieszyły walcząc o pozycje, a potem nastąpiła rzecz nieoczekiwana. John, obserwujący gonitwę przez lornetkę, wciągnął gwałtownie oddech. Na kalkuckim torze ostatni zakręt przed wyjściem na prostą jest ostry.

- Widziałem - opowiadał później Ted - co ta banda wykombinowała. Skupili się wszyscy, by mnie pilnować. Streaky, Joe, Syd Johnson, Tim, wszyscy z wyjątkiem Williego. Znali ten zakręt i skupili się, by go zatarasować. Cała piątka. Do diabła! Przez chwilę myślałem, że będę musiał popędzić Invadera, ale on... Jak mówiłem panu, zastosował naszą metodę.

- Naszą metodę?

- Tę, którą polecił mi pan za pierwszym razem... żeby jechać po dużym kole. Tylko że on to zrobił sam! - John ujrzał ciemny kształt odrywający się wyraźnie od grupy koni i obierający własną drogę, właśnie po dużym kole. - Biegł w ten sposób i jak Boga kocham, pędził tak, że nie mogli nas dogonić - opowiadał Ted.

Główna grupa wpadła z grzmiotem kopyt na prostą, a sędzia podnieconym głosem komunikował:

- Backgammon, Volteface, Racing Demon. - A do sędziego przy zegarze zawołał: - Przygotuj numer Backgammona.

Lecz skarogniady koń biegnący po dużym kole zyskiwał przewagę i z każdą chwilą wydawał się większy.

Migały jaskrawe kolory: różowy, zielony, różowy,

224

zielony i rozległy się okrzyki: „Darkie! Darkie!”, które zmieniały się w ryk. Spokojny głos nie zadrżał.

- Prowadzi Dark Invader, za nim jest Backgammon i Volteface! Przygotuj numer Invadera i trzymaj go. Dark Invader, Backgammon, Racing Demon, Volteface. - A potem dźwięcznie i stanowczo: - Pierwszy Dark Invader, drugi Racing Demon, trzeci Backgammon. Czwarty i piąty Volteface i Postillion. Dwie długości, pół długości, o szyję, o szyję. Dobra. Czas? - spytał sędziego przy zegarze.

- Trzy minuty, cztery i trzy czwarte sekundy. Zgoda? Dobrze. Dark Invader.

Z piskiem i zgrzytem nie naoliwionych bloczków pomocnik wciągnął w górę numery pierwszego, drugiego, trzeciego i czwartego konia, które walczyły w wyścigu o Puchar Wicekróla.

Pan Leventine wydał obiad na czterdzieści osób w restauracji Firpa. Wśród zaproszonych byli sir Rea-dymoney i lady Mehta, komisarz policji, Bunny i kapitan Mack. Dwaj ostatni wyszli wcześniej, „mając inne zobowiązania”. John Quillan i Dahlia otrzymali zaproszenie, ale z niego nie skorzystali. Sir Humphrey wznosił toast.

Obiad składał się z ośmiu dań w stylu edwardiańskim. Po zakąskach zupa żółwiowa, potem - podane na sałacie - miejscowe langusty zamiast homarów jako symbol barw wyścigowych pana Leventine'a. Po-

15 - Fuks na torze

225

tern nadziewane przepiórki na grzankach i pantarki w sosie migdałowym.

Nastąpiła konieczna przerwa na sorbet, też w okolicznościowych kolorach różowym i zielonym. Podano przedtem brunatne rosyjskie papierosy, a potem z nową energią biesiadnicy zabrali się do jagnięcego combra. Następnie wniesiono tort z portretem Invadera, obłany czekoladowym lukrem i z olbrzymią kopią Pucharu Wicekróla ze złotej folii, po rozcięciu której ukazał się mrożony pudding.

Zakończono ucztę diabełkami na koniach - były to śliwki owinięte w bekon.

- Czy pan nie uważa, że będą mieli dosyć i bez tego? - spytał John.

- Ale to tak pasuje - odrzekł płacząco pan Le-ventine i włączył śliwki do menu. Wina, poczynając od wytrawnego sherry przy zakąskach, poprzez Cha-blis, Rudesheimer z roku 1929, Bordeaux, Chateau Cheval Blanc, szampana, Veuve Cliquot, a kończąc na maderze i brandy.

Przygrywała orkiestra i wystąpił kabaret.

Ted wydał na swojej werandzie przyjęcie wieczorne dla dzieci. Zostali też zaproszeni John i Dahlia. Menu składało się z kiełbasek i lodów. Dla Johna i Dahlii była whisky i szampan, ale gdy Sadią i Ali przyprowadzili Dark Invadera, by wznieść toast na jego cześć, dzieci, Saddq, Ali i Ted wypili sorbet. Zabawiano się fajerwerkami, Bunny i kapitan Mack, którzy zdążyli przyjść, pomagali je zapalać.

226

\*

Nikt, kto oglądał pana Leventine'a we wspaniałym fraku, białej muszce, z brylantowymi spinkami przy mankietach, szczęśliwego i prostodusznie rozpromienionego, nigdy by nie podejrzewał, że spędził on wieczór w rozterce, walcząc z samym sobą.

Prowadził swego zwycięskiego konia pośród aplauzu i ryku tłumu. Twarz Teda, w uśmiechu szczęścia, znaczyły tysiące zmarszczek. Dark Invader strzygł uszami i pochylał łeb, spokojny i wcale niespieszony.

Późnym wieczorem pan Leventine otrzymał z rąk wicekróla złoty puchar i wygłosił miłe przemówienie, nienagannie skromne, oddające sprawiedliwość Johnowi Quillanowi, Tedowi i samemu Invaderowi.

Potem oznajmił, że Dark Invader będzie prawdopodobnie znów biegał następnej zimy, a więc uwaga; potem jednak zostanie wycofany i odesłany do stadniny Ale nie do Anglii. Pan Leventine wyprostował się na całą swoją wysokość i wyciągnął rękę do lady Mehty która stała obok niego. Tutaj, w Indiach, zostanie założona stadnina dla popierania indyjskiej hodowli i wyścigów. Wzniesie się nowe budynki i prowadzona będzie wzorowo, a całe to przedsięwzięcie zostało umożliwione dzięki współpracy jego drogich przyjaciół: sir Prakasha, lady Mehty i - tu wyciągnął drugą rękę do Bunny'ego - jego wysokości maharadży Malwy.

Zabrzmiały ogłuszające oklaski. Pan Leventine podniósł rękę prosząc o ciszę.

- Z radością zapewne usłyszą państwo, że z Inva-derem znajdzie się tam jego nieodłączna druga połowa,

227

dżokej Ted Mullins, który będzie głównym stajennym w stadninie. Nikt - dodał pan Leventine - nie potrafi ich nawet w myślach rozdzielić.

Żadne przemówienie nie mogłoby zostać przyjęte goręcej i serdeczniej. Pan Leventine poczuł się zespólny z ludźmi. „Z ludźmi”, wyrzekł z szacunkiem i było już pewne, że zostanie prezesem klubu.

Opuściwszy tor, udał się prosto do stajni, gdzie zobaczył Invadera leżącego na wygodnej podściółce, ciepło okrytego. Nie przejmował się zdobytym pucharem, był tylko zmęczony. Podniósł łeb w nadziei, że dostanie smaczny kąsek - ciągle jeszcze tęsknił za chlebem z solą - ale pan Leventine dawał mu jabłka, co gorszyło siostrę Ignację, oraz duże kawałki cukru trzcinowego. Sadią dostał gratyfikację w wysokości stu rupii, a Ali pięćdziesięciu rupii. Potem pan Leventine po-sze'dł do przybudówki potwierdzić swój prezent dla Teda.

- Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni. Powiniennem może spytać was, zanim to publicznie obwieściłem. Ale Ted nie słyszał obwieszczenia. Był zanadto zmęczony i zanadto dumny z Invadera, aby wysłuchiwać jakichkolwiek przemówień.

- Wszyscy tylko mówili i mówili, i wydawało mi się, że nigdy nie słyszałem takich oklasków. - Teraz powiedział: - Stadnina! - kiedy pan Leventine wyjaśnił mu wszystko, a John to potwierdził. I John, i Bunny byli z Tedem. - Pan... sir, ma zamiar założyć stadninę?

- Tak. - Pan Leventine skinął ręką, która wyda-

228

wała się Tedowi ręką czarodzieja. - Teren już zakupiony, rozpoczęto stawianie budynków. Będzie to wzorowa budowa finansowana przeze mnie, sir Prakasha i lady Mehtę, no i... i - nie był pewny, czy tytułować Bunny'ego jego wysokością, czy po prostu maharadzą. - I...

- I mnie - dokończył Bunny. - Tak. Moi opiekunowie pozwalają mi zainwestować w to pieniądze. Uważają, że tym razem pomysł jest rozsądny, nawet moja szara eminencja tak sądzi.

- A jeśli się nam powiedzie - dorzucił pan Leventine - może się do nas przyłączy pan Quillan. To nie będzie byle jaka stadnina.

- I pan chce mnie... na głównego stajernego? - Ted z trudem zadał to pytanie.

- A kogóż mógłbym chcieć innego? Nie zapominajcie, kto będzie pierwszy w stadninie. Dark Invader. Ted ujrzał nagle oczyma duszy zieloną trawę i białe ogrodzone padoki. Dark Invader, okazały patriarcha z gęstą grzywą, i on, Ted, jego towarzysz do końca ich dni. A wszystko razem, wedle wizji i wspomnień z dzieciństwa, skapane w złotym słonecznym blasku.

- Coś takiego! - I po raz pierwszy wyrzekł głośno: - Gdyby Ella mogła o tym wiedzieć!

Kiedy pan Leventine wyszedł, by się przebrać na bankiet, zapadł już krótki kalkucki zmierzch, a potem pojaśniało. Na Maidanie migotały światła, ogniska rozniecone przez żebraków odcinały się w ciemności jak

229

małe świetne punkciki. Pora zmierzchu budziła w nim zawsze uczucie smutku i samotności, jakby czegoś brakowało w jego czynnym, pełnym sukcesów życiu. Ale nie dzisiaj, pomyślał. Z pewnością nie dzisiaj. Lecz gdy w pół godziny później, już ubrany, stanął, jak lubił, przed kominkiem w swojej bibliotece, tamto uczucie trwało nadal. Puchary zdobyte przez Invadera zostały ustawione bezpiecznie, wszelka obawa o nie była nieuzasadniona. Trzy po lewej stronie; kielich, czara na różę i czarka o dwóch uszach - po prawej, a pośrodku złoty puchar na smukłej ślicznej nóżce. Wicekról okazał się hojny. Jutro odda się puchar do wygrawerowania napisu, ale teraz lampy zapalone w bibliotece odbijały w oczach pana Leventine'a złoty blask trofeów. Puchar Wicekróla zostanie zaniesiony na bankiet i ustawiony na miejscu honorowym; przyszło mu do głowy, by napełnić go szampanem i podać wszystkim w koło, niczym „kielich miłości", jak powiedział Johnowi. Słowa „kielich miłości" wydawały mu się piękne, ale John uważał, że taki zwrot mógłby brzmieć przesadnie.

W całym swoim życiu pan Leventine nie miał tak szczęśliwego i pomyślnego dnia. Dlaczego więc dręczyła go dokuczliwa myśl, że jeszcze czegoś brakuje do zupełnego szczęścia? Mówił sobie: „Nonsens, nonsens! Daj sobie spokój". I znów skarcił się głośno, podobnie jak karciała go matka:

- Casimir Alaric Bruce, to nonsens.

Lecz choć powtarzał to tu, we własnej bogatej bibliotece, uczucie niedosytu nie ustępowało. Co gorzej.

230

wiedział, na czym ono polega tak pewnie, jakby jakiś inny głos mówił mu: „Pieniądze wygrane na wyścigach". Są moje. Wygrałem je! - dowodził pan Leventine. - Czyż nie okazałem się przewidujący i odważny? Niewątpliwie. I były mi potrzebne. - Ale to był naprawdę nonsens. Tegoż ranka pan Leventine sfinalizował niezwykle korzystny „ciepły" interes w Val-paraiso. „Ciepły" to było jego określenie na pęcznienie pękatego już rachunku bankowego.

Nie wiedział, skąd przyszła mu do głowy myśl o wygranej z wyścigów. Może nasunęły ją te ogniska rozpalone przez żebraków. A może to, że mijając klasztor pomyślał o Matce Morąg i zakonnicach i zadał sobie pytanie, czy jest im dostatecznie ciepło. Był prawie pewny, że nie. Co mnie zresztą do tego? Dość już ze mnie wyciągnęły.

„Niezupełnie wyciągnęły", odezwał się tamten nieubłagany głos. Usłyszał znów słowa Matki Morąg:

„Oczywiście oddałybyśmy panu w końcu Invadera Chciałyśmy tylko się przekonać, czy pan jest szczodry". A może nie byłem szczodry? Tamten koń kosztował tysiąc rupii. Tysiąc rupii za konia urodzonego tutaj! I chciałem też dać powozik. Czy to moja wina, że odmówiły? Ale i tę odmowę zachowałem w pamięci. „Nie mogłybyśmy mieć tak drogiego powoziku. Jesteśmy siostrami od ubogich, ubogich, proszę pana. Bie - dacy

nie mają powozów, choć przydałby się im wóz do pracy". - Drgnął na wspomnienie swojej jazdy na wozie. Dałem im przecież nowy wóz. To dosyć! Dosyć! - orzekł i klasnął w dłonie. Nie miał w mieszka-

231

niu dzwonek. Służący w nieskalanie białym ubraniu, przepasany złotą szarfą, ze złotą opaską na turbanie, był zawsze dostatecznie blisko, by się zjawić na takie kłaśnięcie.

- Przynieś mi dużą whisky z wodą sodową - rozkazał pan Leventine i zapalił cygaro.

Whisky poprawiła mu samopoczucie. Na pieniądze z wyścigów z pewnością zasłużył. Popatrz, ile wydałem na tego konia. „Nie tak wiele - odpowiedział głos, który mógłby być głosem Johna Quillana. - Kupiłeś go tanio. Sam to mówiłeś i jak się okazało, dostałeś także Teda Mullinsa". Nie byłem skąpy. Rozdawałem hojnie prezenty. „Może starałeś się kupić ludzką życzliwość?"

Ta myśl była przykra i pan Leventine zamrugał, jakby łzy napłynęły mu do oczu. Prawda niezupełnie tak wyglądała. Z przyjemnością wybierał te prezenty, zwłaszcza strzelby wiatrówki, choć z ich powodu na chwilę ogarnął go smutek - a myśląc o ludziach, dla których te prezenty były przeznaczone, szczególnie o siodle Teda, odczuwał ogromną radość. Jeszcze większą, gdy powiedział Tedowi o stadninie, gdy zobaczył błysk nadziei i entuzjazm w oczach Johna Quillana i usłyszał pełen zachwytu okrzyk Dahlii: „O, John! To będzie coś cudownego dla dzieci!" Czuł się jak czarodziej, doznawał podobnego uczucia jak wtedy, gdy stara siostra powiedziała: „Niech pana Bóg błogosławi".

- To straszne utrapienie być przedmiotem błogo • sławieństwa - odparł pan Leventine. - I bardzo kosztowne.

232

- Sahib... już prawie ósma. Samochód czeka. Czas jechać.

Pan Leventine z ulgą rzucił cygaro do kominka. Starszy lokaj trzymał jego płaszcz i biały jedwabny pas, a młodszy poszedł przynieść z szacunkiem złoty puchar, który miał być zabrany na bankiet. Puchar Wicekróla, ale pieniądze wygrane na wyścigach...

Pan Leventine zobaczył kartę z menu opartą o puchar, ozdobioną złotymi zawijasami i obrazkami małych koników.

Wina

Menu

Fino San Patricio

Rors d'oeuvres varies

Chablis

Potage

Rudesheimer 1929

Tortue Clair

Poisson

Langoustines Mayonnaise Salade Verte Entrées Chateau Cheval Blanc 1928 Cailles farcies a cheval

Wzrok jego przeniósł się z menu na złoty puchar. „Czy był pan kiedy głodny?" Był to głos głównego komisarza, którego zobaczył za parę minut.

- Do wszystkich diabłów! - wykrzyknął pan Le-ventine, a do służących powiedział: - Zaczekajcie! - Podeszedł do swego ogromnego biurka i wyjął książeczkę czekową.

-- Czy siostra widzi to samo, co ja? - spytała Matka Morąg. Przesunęła ręką po oczach, a potem spoj-

233

rzała znowu na kartkę papieru, którą trzymała w ręku. - Czy siostra odczytuje to samo, co ja przeczytałam? - pytała dalej siostrę Ignację.

Siostra Ignacja przeczytała i usiadła.

Po pełnej osłupienia chwili ciszy Matka Morąg szepnęła:

- Pięćdziesiąt tysięcy rupii! Będziemy mogły spłacić dług hipoteczny na nową infirmerię.

- Może mogłybyśmy zainstalować wentylatory.

- Otworzyć nową kuchnię.

Nazajutrz siostra Ignacja, nieskłonna do takich rzeczy, wycięła z gazety fotografię Dark Inyadera i oprawiła ją w passe-partout. Matka Morąg pozwoliła zawiesić ją w kaplicy.

\*%

Epilog

W dwa lata później nadszedł z Bangalore telegram do pana Leventine'a i drugi taki sam do Johna Quilla-na. Ich treść brzmiała:

„Krótco po północy Fairytale się ożrebiła wszystko w porządku". - W swym entuzjazmie Ted dodał.

„Wyjątkowo ładny żreback wykapany Dark Invader".

- To znaczy - wyjaśnił panu Leventine'owi kapitan Mack - że to kopia Dark Inyadera.

- A skąd Ted o tym wie?- spytał John. - Nie był przy urodzeniu Invadera.!

- Oto nadzieja - rzekł pan Leyentine\*. - Nasz pierwszy żreback.

- Po Inyaderze od Fairytale - powiedział w zamyśleniu kapitan Mack. - Powinien się chyba nazywać Dark Legend.

OD AUTORKI

Opowieść ta oparta została na wydarzeniu, które miało miejsce w Kalkucie przed około pięćdziesięciu laty i stało się legendą w kołach wyścigowych tego miasta. Publikowano je kilkakrotnie w różnych wersjach,

zmieniając postacie, ale zawsze anegdota sprowadzała się do tego samego. Jest ona udokumentowana w oficjalnej historii Królewskiego Kalkj<sup>^</sup>ckiego Klubu Wyścigowego, lecz występujący w niej zakon nazwałam siostrami od ubogich, gdyż prawdziwy zakon z tej historii woli pozostać nie znany.